



UUK

HARRY HARRISON

KU GWIAZDOM
CZEŚĆ PIERWSZA — OBLICZA ZIEMI

Przekład: Jerzy Śmigieł



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	2
Rozdział 1	3
Rozdział 2	9
Rozdział 3	15
Rozdział 4	23
Rozdział 5	35
Rozdział 6	41
Rozdział 7	48
Rozdział 8	53
Rozdział 9	61
Rozdział 10	69
Rozdział 11	75
Rozdział 12	84
Rozdział 13	92
Rozdział 14	102
Rozdział 15	109
Rozdział 16	115
Rozdział 17	122
Rozdział 18	129
Rozdział 19	137
Rozdział 20	142
Rozdział 21	147

Rozdział 1

— To po prostu potworność! Nieprawdopodobna kombinacja rur, zniszczonych zaworów i współczesnej technologii. To wszystko powinno zostać wysadzone w powietrze i poskładane ponownie.

— Nie jest tak źle, wasza dostojność. Naprawdę, wydaje mi się, że nie jest aż tak źle — Radcliffe otarł nerwowo wierzchem dłoni koniuszek poczerwieniałego nosa. Widząc, że pozostał na niej wilgotny ślad, spojrzął ze wstydem na stojącego tuż obok wysokiego inżyniera. Ten jednak wydawał się tego nie dostrzegać. Radcliffe wytarł skrupulatnie dłoń o nogawkę spodni. — To wszystko działa, produkujemy tutaj doskonały jakościowo spirytus. . .

— Działa, ale jedynie na słowo honoru — Jan Kulozik był już zmęczony i nie starał się tego ukrywać. W jego głosie pobrzmiwały ostre nuty. — Wszystkie te uszczelki dławikowe powinny zostać wymienione natychmiast, w przeciwnym wypadku to wszystko może eksplodować! Powinniście to zrobić już dawno i to bez żadnej pomocy z mojej strony. Spójrz tylko na te przecieki i kałuże pod spodem.

— Natychmiast rozkażę tu posprzątać, wasza dostojność.

— Nie o to mi chodzi. Najważniejszą sprawą jest zaplombowanie wszystkich przecieków. To na początek. Zrób coś konstruktywnego, człowieku. To rozkaz.

— Zostanie zrobione, jak wasza dostojność mówi.

Drżący Radcliffe schylił głowę w wyrazie posłuszeństwa i pokory. Jan, spoglądając z góry na tę łysiejącą już głowę, na zlepione olejem i pokryte łupieżem resztki włosów, czuł jedynie obrzydzenie. Ci ludzie nigdy się niczego nie nauczą. Nie są w stanie myśleć za siebie. Nawet wydane wcześniej polecenia realizowane są jedynie w połowie. Ten stojący przed nim dyspozytor był równie efektywny, jak kolekcja antycznych kolumn frakcyjnych, fermentacyjnych kadzi i porzewiałych rur, które składały się na te dziwaczne, wykorzystujące paliwo roślinne, zakłady. Instalowanie tutaj zespołu automatycznego sterowania procesami wydawało się zwykłą stratą czasu.

Wpadające przez wysokie okna zimne światło z ledwością wyłuskiwało z mroku stojące w hali ciemne kształty maszyn i urządzeń; nieliczne reflektory rzucały na podłogę plamy żółtego blasku. Nagle w polu widzenia ukazał się jeden

z pracowników. Zawahał się na moment, przystanął i sięgnął do kieszeni. Ruch ten nie uszedł uwadze Jana.

— Ty tam! Uważaj człowieku! — wykrzyknął.

Rozkaz był niespodziewany i zaskakujący. Pracownik nie spodziewał się, że inżynier będzie właśnie tutaj. Wystraszony upuścił płonąca zapałkę prosto w kałużę płynu, przed którą stał. Natychmiast buchnął wysoki płomień. Jan, biegnąc po zawieszoną na ścianie gaśnicę, barkiem odepchnął pracownika na bok. Zerwał gaśnicę z haka i jeszcze w biegu przekręcił zawór. Mężczyzna usiłował zdeptać płomień, ale jego gwałtowne ruchy podsycaly jedynie ogień.

Z gaśnicy wystrzeliła struga białej piany i Jan skierował ją w dół. Ogień został natychmiast zduszony, lecz płomień wykwitły na nogawkach spodni pracownika. Jan skierował biały strumień na jego nogi, a po chwili, w przypływie gniewu, podniósł dyszę i pokrył puszystą pianą tors i głowę mężczyzny.

— Jesteś głupcem! Zupełnym głupcem!

Zakręcił zawór i odrzucił gaśnicę. Spoglądał zimno na stojącego przed nim pracownika, który kaszlał gwałtownie i wycierał pokryte białą pianą oczy.

— Wiesz przecież, że palenie jest tutaj zabronione. Musiano powtarzać ci to wystarczająco często. A ty w dodatku stoisz pod napisem zabraniającym palenia.

— Ja. . . Ja nie czytam zbyt dobrze, wasza dostojność — mężczyzna zakrztusił się i splunął gorzkim płynem na podłogę.

— Niezbyt dobrze. Prawdopodobnie wcale. Jesteś zwolniony. Wynoś się stąd.

— Nie, wasza dostojność, proszę tak nie mówić — jęknął mężczyzna, spoglądając na Jana pełnym przerażenia wzrokiem. — Pracuję ciężko — moja rodzina — przez lata na zasiłku. . .

— A teraz pozostaniesz na zasiłku do końca życia — powiedział zimno Jan, chociaż na widok klęczącego przed nim w kałuży piany mężczyzny czuł, jak rozdrażnienie zaczyna go powoli opuszczać. — I ciesz się, że nie oskarżę cię o sabotaż.

Sytuacja stała się nie do zniesienia. Jan odwrócił się i odszedł do sterowni, nieświadom ścigających go spojrzeń dyspozytora i milczącego pracownika. Tutaj było o wiele przyjemniej. Mógł się rozluźnić, uśmiechnąć, spoglądając na lśniący porządek instalacji, którą właśnie zmontował.

Izolowane kable wiły się we wszystkich kierunkach, spotykając się ostatecznie w module kontrolnym. Nacisnął w odpowiedniej sekwencji kilka przycisków elektronicznego zamka i pokrywa odsunęła się cicho, łagodnie i z gracją. Mikrokomputer w samym sercu tego urządzenia sterował wszystkim z nieomylną precyzją. Końcówka terminala spoczywała w uchwytach u pasa. Wyjął ją, wetknął do komputera i wystukał na klawiaturze polecenie. Ekran rozjaśnił się natychmiastową odpowiedzią. Żadnych problemów, nie tutaj. Chociaż oczywiście nie odnosiło się to do innych miejsc w tym zakładzie. Gdy zażądał generalnego raportu o stanie technicznym urządzeń, na ekranie zaczęły pojawiać się maszerujące w górę linie:

ZAWÓR AGREGATU 376-L-9 PRZECIEK
ZAWÓR AGREGATU 389-P-6 DO WYMIANY
ZAWÓR AGREGATU 429-P-8 PRZECIEK

Było to tak deprymujące, że szybkim naciśnięciem odpowiedniego przycisku skasował te dane. Od strony drzwi dobiegał go cichy, pełen respektu głos Radcliffe'a:

— Proszę o wybaczenie, inżynierze Kulozik, ale chodzi mi o Simmonsa. Tego człowieka, którego pan właśnie zwolnił. To dobry pracownik.

— Nie wydaje mi się — gniew ucichł, ustępując miejsca rozwadze. Jan jednak postanowił być stanowczy. — Wielu ludzi z utęsknieniem czeka na jego posadę. Ktoś inny może wykonywać tę pracę równie dobrze — a nawet lepiej.

— On uczył się przez lata, wasza dostojność. Lata. To o czymś świadczy. A teraz będzie na zasiłku.

— Zapalenie zapalki świadczy o czymś więcej. O głupocie. Przepraszam. Nie staram się być okrutny, lecz muszę także myśleć o pozostałych pracownikach. Co wy wszyscy robilibyście, gdyby on rzeczywiście spalił ten zakład? Jesteś dyspozytorem, Radcliffe i w taki właśnie sposób powinieneś myśleć. Jest to trudne i może nie być rozumiane przez innych, ale wierz mi, to właśnie metoda. Zgadzasz się ze mną, prawda?

Nim padła odpowiedź, poprzedziła ją chwila widocznego wahania.

— Oczywiście. Ma pan zupełną rację. Przepraszam, że panu przeszkodziłem. Zaraz się go pozbędę. Nie możemy pozwolić sobie na zatrudnianie tego typu ludzi.

— Właśnie. Widzę, że rozumiałeś.

Nagle uwagę Jana przyciągnął głośny brzęczyk i czerwone, pulsujące światełko na pulpicie kontrolnym. Wychodzący Radcliffe zawahał się stojąc już w progu. Komputer odnalazł kolejną usterkę i informował o tym Jana, wyświetlając dane na monitorze:

ZAWÓR AGREGATU 928-9-R NIEOPERATYWNY.

ZABLOKOWANY W POZYCJI OTWARTEJ. ODCIĘTY DO WYMIANY.

— 928-R. Brzmi znajomo — Jan zakodował tę informację w komputerze osobistym i skinął głową. — Tak myślałem. Ta jednostka powinna zostać wymieniona w zeszłym tygodniu. Czy zostało to zrobione?

— Zaraz sprawdzę — odparł pobladły nagle Radcliffe.

— Nie musisz się trudzić. Obaj wiemy, że nie. A więc przynieś ten zawór i zrobimy to teraz.

Jan odłączył jednostkę napędową szarpiąc za odporne obejmy śrubowe. Były zupełnie przeżarte rdzą. Typowe. Najwidoczniej okresowe przeglądy i oliwienie były tu zbyt wielkim wysiłkiem. Odszedł na bok i obserwował krzątanie spoczynnych proli, którzy wymontowywali właśnie uszkodzony zawór, próbując unikać przy tym strumienia płynu, który wypływał końcówką rury. Gdy pod jego okiem

nowy zawór został już dopasowany i zamontowany — tym razem nie robiono niczego połowicznie — ponownie podłączył jednostkę napędową. Praca została wykonana bez zbędnego gadania, a po jej zakończeniu robotnicy pozbiali swoje narzędzia i wyszli.

Jan powrócił do komputera, by odblokować odcięty zawór i ponownie przywrócić agregat do życia. Zażądał wydruku raportu stanu technicznego urządzeń. Gdy tylko wąski pasek papieru wysunął się z drukarki, Jan pochwycił go i opadł wygodnie na fotel. Z uwagą przyglądał się poszczególnym pozycjom, podkreślając te, które wymagały natychmiastowej interwencji. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, dobiegającym już do trzydziestki. Kobiety uważały go za przystojnego — wiele z nich mu to nawet mówiło — ale on sam nigdy nie brał ich zbyt poważnie. Kobiety były miłą rzeczą w jego życiu, ale musiały znać swoje miejsce. A było ono tuż za inżynierią mikro obwodów. Czytał, od czasu do czasu marszcząc brwi, a wtedy na jego czole pojawiała się pionowa zmarszczka. Przeczytał całą listę po raz drugi i uśmiechnął się szeroko.

— Skończone! Nareszcie skończone!

To, co miało być zwykłym przeglądem konserwatorskim zakładów w Walso-ken, zmieniło się w pracę, która wydawała się nie mieć końca. Była jesień, gdy przybył tu razem z Buchananem, inżynierem hydraulikiem. Lecz Buchanan miał pecha — lub szczęście — nabawił się ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego. Zabrano go helikopterem szpitalnym i nigdy już nie powrócił. Nie przysłano także zastępstwa. Tak więc Jan zmuszony został, obok swych własnych prac, do nadzorowania instalacji urządzeń mechanicznych, a tymczasem jesień zmieniła się w zimę i wciąż nie było widoków na ostateczne zakończenie prac.

Lecz ta wyczekiwana z utęsknieniem chwila wreszcie nadeszła. Montaż instalacji i główne naprawy zostały już zakończone; po raz pierwszy od miesięcy zakłady funkcjonowały bez zgrzytów. Jedyne, co mu pozostało do zrobienia, to wynieść się stąd. I to co najmniej na parę tygodni — a dyspozytor w tym czasie będzie musiał radzić sobie sam. No, ale to już jego zmartwienie.

— Radcliffe, chodź tutaj. Mam dla ciebie parę interesujących wiadomości.

Słowa te słyszalne były we wszystkich pomieszczeniach zakładu, dzięki porozmieszczanym na ścianach głośnikom. W przeciągu paru sekund rozległ się tupot biegnących stóp i do pokoju wpadł zdyszany dyspozytor.

— Słucham... wasza dostojność?

— Wyjeżdżam. Dzisiaj. Nie gap się tak na mnie, człowieku. Powinieneś się raczej cieszyć. Ta antyczna rupieciarnia pracuje na razie bez zarzutu i tak pozostanie, jeżeli będziesz przestrzegał czynności konserwacyjnych, które wyszczególniłem ci na tej liście. Komputer zaprogramowany został w taki sposób, że jakiegokolwiek kłopoty natychmiast tutaj kogoś ściągną. Ale nie powinno być żadnych kłopotów, prawda Radcliffe?

— Nie, sir, oczywiście że nie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, sir. Dziękuję.

— Mam nadzieję. I może to twoje „wszystko” będzie trochę lepsze, niż bywało w przeszłości. Wrócę, gdy tylko będę mógł i jeszcze raz sprawdzę wszystkie procesy i twoją listę realizacji. A teraz — chyba, że jest coś jeszcze — mam szczerzy zamiar opuścić wreszcie to miejsce.

— Nie. To wszystko, sir.

— Dobrze. A więc dopilnuj, aby wszystko funkcjonowało jak należy.

Jan machnięciem ręki odprawił dyspozytora i ponownie umieścił końcówkę komputera przy pasie. Z prawdziwą rozkoszą włożył na siebie podbite prawdziwym baranem futro i nasunął na dłonie rękawiczki. Jeden przystanek w hotelu, aby spakować swe rzeczy, a potem w świat! Gwizdał coś pod nosem, z trzaskiem odgradzając się drzwiami od ponurego, zimowego popołudnia. Ziemia zamrznięta była na kość, a powietrze przesycone śniegiem. Jego lśniący, czerwony samochód był jedyną plamą koloru pośród bieli otaczającego go krajobrazu. Płaską przestrzeń po obu stronach w głównej mierze wypełniały pola, pod szarym niebem martwe teraz i ciche. Gdy przekręcił kluczyk w stacyjce wskaźnik paliwa zapłonął ognistą czerwienią, a do kabiny wtargnął strumień ciepłego powietrza. Ruszył i wolno, opuszczając parking zakładów, wjechał na brukowaną drobną kostką drogę.

Okolica ta była niegdyś szerokim rozlewiskiem, została jednak osuszona i zarwana. Lecz jeszcze widoczne były pozostałości starych kanałów, a Wisbech w dalszym ciągu było portem śródlądowym. Była to ostatnia tego typu miejscowość i Jan był nawet zadowolony mogąc ją obejrzeć.

Tuż za miasteczkiem rozpoczynała się autostrada. Stojący przy wjeździe policjant zaszalutował, a Jan odpowiedział niedbałym machnięciem ręki. Gdy po wjechaniu na autostradę pojazd znalazł się w sieci sterowania automatycznego, powierzył kontrolę nad pojazdem autopilotowi, podając jako miejsce docelowe LONDYN TRASA 74. Informacja ta poprzez transponder pod samochodem pomknęła wzdłuż zakopanych głęboko w ziemi kabli do komputera sieciowego, który go prowadził, i w przeciągu mikrosekund powróciła do komputera pokładowego samochodu w formie serii poleceń. Nastąpił powolny wzrost przyspieszenia, gdy samochód osiągnął swą zwykłą prędkość 240 km/h. Już po chwili migający za oknami krajobraz stał się jedynie rozmazaną plamą. Jan rozluźnił się i razem z fotelem okręcił do tyłu. Po naciśnięciu guzika w barku pojawiła się whisky i woda. Kolorowy telewizor emitował właśnie jedną z oper Petera Grimesa. Jan przez chwilę spoglądał na ekran z zainteresowaniem — podziwiając sopran nie tylko za jej piękny głos — i zastanawiając się, kogo mu ona właściwie przypomina.

Aileen Pettit — oczywiście! Wspomnienie dawno nie widzianej dziewczyny spłynęło na niego falą miłego ciepła. Oby tylko nie była zajęta. Od czasu rozwodu nie miała właściwie wiele do roboty. Nie powinna mieć większych oporów przed

ponownym spotkaniem. Myśleć znaczyło działać. Szybko podniósł słuchawkę telefonu i wystukał na klawiaturze jej numer. Odpowiedziała prawie natychmiast:

— Jan. To miło, że dzwonisz.

— To miło, że odebrałaś telefon. Masz jakieś kłopoty z wizją? — zapytał, wskazując na ciemny ekran telewizjera.

— Nie, sama wyłączyłam. Właśnie siedzę w saunie — ekran rozjaśnił się nagle i dziewczyna roześmiała się, widząc wyraz jego twarzy. — Nigdy jeszcze nie widziałeś nagiej kobiety?

— Jeżeli nawet widziałem, to już zapomniałem. Tam, skąd właśnie wracam nie było żadnych kobiet. A przynajmniej takich atrakcyjnych i mokrych jak ty. Mówię szczerze, Aileen. Jesteś najpiękniejszą dziewczyną pod słońcem.

— Twoje pochlebstwa zaprowadzą cię wszędzie.

— A ty pójdziesz tam razem ze mną. Jesteś wolna?

— To zależy, co ci chodzi po głowie, kochanie.

— Trochę gorącego słońca, ciepłe morze, wyśmienite posiłki, szampan i ty. Jak ci się to podoba?

— Brzmi cudownie. Moje konto czy twoje?

— Ja stawiam. Zasluguję na coś po zimie na takim pustkowiu. Znam niewielki hotelik nad samym brzegiem Morza Czerwonego. Jeżeli wyjedziemy rano, będziemy mogli...

— Ani słowa więcej, kochanie. Wracam do sauny i czekam na ciebie. Tylko nie zwlekaj zbyt długo.

Z ostatnim słowem przerwała połączenie. Jan roześmiał się. Tak, życie zapowiadało się dużo ciekawiej. Opróżnił szklanke Scotch'a i sięgnął po następną. Zakłady przetwórcze szybko stały się jedynie mglistym wspomnieniem. Nie wiedział, że człowiek, którego zwolnił z pracy, Simmons, nigdy nie powrócił na zasiłek. Popełnił samobójstwo mniej więcej w tym samym czasie, gdy Jan dojeżdżał do Londynu.

Rozdział 2

Owalny cień ogromnego sterowca wolno przesuwał się po błękitnej powierzchni Morza Śródziemnego. Silniki elektryczne zostały wyłączone, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był cichy szum śmigieł. Były stosunkowo niewielkie i prawie niewidoczne wobec ogromu Beachy Head. Służyły jedynie do przesuwania kadłuba sterowca w powietrzu. Siłę nośną stanowiły zbiorniki wypełnione helem, umieszczone pod grubą powłoką kadłuba. Sterowce stały się doskonałym środkiem transportu, a — co istotne — charakteryzowały się niezwykle niskim wskaźnikiem zużycia paliwa.

Ładunek sterowca stanowiły tony ciężkich, czarnych rur. Jednak Beachy Head przewoziła także pasażerów porozmieszczanych w kabinach na rufie.

— Widok jest wręcz niewiarygodny — powiedziała Aileen, siedząc przed łukowatym oknem, które stanowiło całą przednią ścianę ich kabiny. Obserwowała przesuwaną się wolno w dole pustynię. Jan wyciągnięty wygodnie na łóżku skinął ugodowo głową — ale spoglądał na dziewczynę. Czesłała właśnie swe długie do ramion, miedziane włosy. Zgodnie z ruchem unoszących się w górę ramion unosiły się także jej foremne nagie piersi. Oświetlona promieniami słońca wyglądała niezwykle ponętnie.

— Niewiarygodne — powiedział Jan.

Dziewczyna roześmiała się, odłożyła grzebień, przysunęła się bliżej i pocałowała go.

— Wyjdiesz za mnie? — zapytał z błakającym się na ustach figlarnym uśmiechem.

— Dziękuję, ale nie. Od mojego rozvodu nie upłynął nawet miesiąc. Na razie chcę się cieszyć wolnością.

— A więc zapytam cię o to w przyszłym miesiącu.

— Zrób to... — przerwało jej uderzenie dekoracyjnego kurantu. Po chwili kabinę wypełnił głos stewarda:

— Uwaga, pasażerowie. Wylądujemy w Suezie za trzydzieści minut. Proszę przygotować bagaże. Powtarzam — za trzydzieści minut. Prawdziwą przyjemnością było gościć państwa na pokładzie i w imieniu kapitana Beachy Head oraz całej załogi dziękuję, że zechcieli państwo skorzystać z usług British Airways.

— Jeszcze tylko pół godziny, a spójrz na moje włosy! I nawet nie zaczęłam się jeszcze pakować...

— Nie ma pośpiechu. Nikt przecież nie wyrzuci cię z tej kabiny. To wakacje, pamiętasz? Ubiorę się teraz i wydam polecenia w sprawie naszych bagaży. Spotkamy się po wylądowaniu.

— Nie możesz na mnie poczekać?

— Zaczekam, ale na zewnątrz. Chcę zobaczyć, co właściwie wylądowują.

— Te cholerne rury interesują cię bardziej, niż ja.

— Właśnie — ale jak na to wpadłaś? Ta okazja jest jedyna w swoim rodzaju. Jeżeli techniki ekstrakcji cieplnej zdadzą swój egzamin, może ponownie będziemy wydobywać ropę. Po raz pierwszy od przeszło dwustu lat.

— Ropę? A skąd? — zapytała Aileen zduszonym głosem. Wydawała się być bardziej zainteresowana wciąganiem przez głowę bluzki, niż tym, co mówi Jan.

— Spod ziemi. Były tu niegdyś bogate złoża roponośne. Wypompowane do sucha przez Uzurpatorów, utlenione i zmarnowane, jak wszystko. Fantastyczne źródło węglowodoru, które po prostu spalono.

— Nie wiem zupełnie, o czym ty właściwie mówisz. Ale zawsze byłam słaba z historii.

— Do zobaczenia na dole.

Gdy Jan wysiadł z windy na najniższym poziomie wieży cumowniczej, miał wrażenie, że przechodzi przez otwarte drzwiczki pieca. Nawet pośrodku zimy słońce grzało tu tak mocno, jak nigdy na północy. Po miesiącach samotnego wygnania była to przyjemna odmiana.

Ciężkie wiązki rur wylądowywane były właśnie przy pomocy gigantycznych dźwigów. Spływały w dół majestatycznego sterowca kołyszając się powoli, by z metalicznym szczękiem wylądować wreszcie w skrzyniach czekających ciężarówek. Jan rozważał możliwość wystąpienia o zezwolenie obejrzenia miejsca montażu — lecz już po chwili zarzucił ten zamiar. Może w drodze powrotnej. Na razie musi przestać zachwycać się wspaniałościami techniki, a poświęcić więcej czasu na odkrywanie bardziej fascynujących wspaniałości Aileen Pettit.

Gdy dziewczyna ukazała się wreszcie u wyjścia z wieży cumowniczej, udali się razem do budynku odpraw celnych, rozkoszując się ciepłymi dotykami słońca na skórze.

Tuż obok komory odpraw celnych stał poważny, ciemnoskóry policjant i z uwagą obserwował, jak Jan wkłada do szczeliny swą kartę personalną.

— Witamy w Egipcie — przemówił automat miękki, kobiecym kontraltem. — Mamy nadzieję, że pobyt tutaj uzna pan za niezwykle przyjemny... panie Kulozik. Proszę o przyłożenie kciuka do płytki identyfikatora. Dziękuję. Może pan wyjąć kartę. Proszę udać się do wyjścia numer cztery, gdzie oczekuje już na pana przewodnik. To wszystko. Następnym razem proszę.

Komputer uporał się z Aileen równie sprawnie. Po zwyczajowych formułkach powitalnych sprawdził jej identyfikację, porównując wzór odcisniętego na płycie kciuka z wzorem na karcie personalnej. Potem upewnił się, czy plan podróży został potwierdzony i opłacony.

Przy wyjściu czekał już na nich spocony, opalony na ciemny brąz mężczyzna w niebieskim uniformie.

— Pan Kulozik? Jestem z Magna Pałace, wasza dostojność. Bagaże państwa są już na pokładzie i możemy wyruszać w każdej chwili — jego angielski był nieskazitelny, posiadał jednak cień obcego akcentu, którego Jan nie potrafił zidentyfikować.

— Możemy wyruszać natychmiast.

Port lotniczy usytuowany został nad samym brzegiem zatoki. Na końcu mola kołysał się przycumowany niewielki poduszkowiec. Kierowca otworzył przed nimi drzwi i wśliznął się do klimatyzowanego wnętrza. W środku było dwanaście foteli lecz wyglądało na to, że byli jedynymi pasażerami. Po chwili pojazd uniósł się na poduszcze powietrznej i stopniowo nabierając prędkości wypłynął na wody zatoki.

— Kierujemy się na południe Zatoki Sueskiej — wyjaśnił kierowca. — Po lewej stronie widzicie państwo półwysep Synaj. Przed nami, trochę po prawej stronie zobaczycie państwo wkrótce szczyt góry Ghano, która mierzy sobie tysiąc siedemset dwadzieścia trzy metry wysokości. . .

— Już tutaj byłem — przerwał Jan. — Możesz sobie oszczędzić tych turystycznych opisów.

— Dziękuję, wasza dostojność.

— Ale ja chcę tego posłuchać, Janie. Nie wiem nawet, gdzie my właściwie jesteśmy.

— Czy z geografii byłeś równie słaba, jak z historii?

— Nie bądź nieznosny.

— Przepraszam. Po wypłynięciu na Morze Czerwone skęcimy ostro w lewo i wpłyniemy do zatoki Akaba, gdzie zawsze świeci słońce i jest niezwykle ciepło, z wyjątkiem lata, gdy jest jeszcze cieplej. A pośrodku tego słonecznego rajy mieści się Magna Pałace, do którego właśnie zdążamy. Kierowco, chyba nie jesteś Anglikiem, prawda?

— Nie, wasza dostojność. Pochodzę z Południowej Afryki.

— Więc jesteś daleko od domu.

— Cały kontynent, sir.

— Chce mi się pić — wtrąciła Aileen.

— Zaraz przyniosę coś z barku.

— Ja to zrobię, wasza dostojność — powiedział kierowca. Przełączył sterowanie pojazdem na automatyczne i zerwał się na równe nogi. — Co państwo sobie życzą?

— Cokolwiek... Jak właściwie się nazywasz?

— Pięt, sir. Mamy zimne piwo i...

— Może być. Dla ciebie też, Aileen?

— Tak, poproszę.

Jan szybko uporał się z połową oszronionej szklanki i westchnął z rozkoszą. Wreszcie zaczął się czuć jak na prawdziwych wakacjach.

— Weź sobie piwo, Pięt.

— Dziękuję. To bardzo uprzejme z pańskiej strony.

Aileen z ciekawością przyglądała się kierowcy. Wyczuwała, że mężczyzna ten stanowi pewnego rodzaju zagadkę. Chociaż całe jego zachowanie nacechowane było uprzejmością, to jednak brakowało w nim charakterystycznej służalczości, tak typowej dla wszystkich proli.

— Wstydzę się do tego przyznać, Pięt — powiedziała dziewczyna. — Ale nigdy nie słyszałam jeszcze o Afryce Południowej.

— Niewiele osób słyszało — przyznał kierowca. — Samo miasto nie jest duże — kilka setek białych mieszkańców pośrodku morza czarnych. Mieszkamy tuż obok kopalni diamentów. Ponieważ nie podobała mi się praca w kopalni — a nie ma tam właściwie nic innego do roboty — więc wyjechałem. Podoba mi się praca tutaj. Mogę sporo podróżować — na stłumiony sygnał brzęczyka odłożył szklankę na stolik i pospieszył za stery.

Było już późne popołudnie, gdy na horyzoncie zamajaczyła nareszcie Magna. Promienie słońca odbijały się złocistymi błyskami od szklanych wież kompleksu wypoczynkowego, a spokojne wody zatoki upstrzone były różnokolorowymi żaglami.

— Już mi się to podoba! — roześmiała się dźwięcznie Aileen.

Poduszkowiec wśliznął się na plażę w sporej odległości od żaglówek i pływaków, tuż na skraju rozsypujących się chat krajowców. Niedaleko przemknęło paru Arabów w turbanach, lecz zniknęli, zanim jeszcze otworzyły się drzwi pojazdu. Czekala już na nich riksza, z zaprzęgniętym osiołkiem. Aileen na widok ciemnoskórego woźnicy w białym turbanie zaklaskała z radości. Podróż do hotelu nie zajęła im dużo czasu. Przed frontowymi drzwiami przywitani zostali przez dyrektora, który życzył im przyjemnego pobytu. Skinął ręką w stronę bagażowych, a sam zaprowadził ich do pokoju. Zamówiony apartament okazał się niezwykle przestronny, z szerokim balkonem wychodzącym bezpośrednio na morze. Na stole czekała patera z owocami, a dyrektor sam otworzył stojącą obok butelkę szampana.

— Jeszcze raz życzę państwu przyjemnego pobytu — powiedział kłaniając się i jednocześnie wyciągając w ich stronę wysokie kieliszki.

— Uwielbiam to — powiedziała Aileen, gdy tylko pozostali sami i pocałowała Jana. — Chodźmy się wykąpać.

— Dlaczego nie?

Woda była rozkosznie ciepła, a słońce przyjemnie grzało ich nagą skórę. Anglia i zima były złym snem, gdzieś daleko stąd.

Pływali, dopóki się nie zmęczyli, a potem wyszli z wody i usiedli pod palmami, popijając drinki i rozkoszując się malowniczym zachodem słońca. Kolacja podana została na tarasie, tak więc nie musieli się nawet przebierać. Gdy skończyli posiłek nad pustynią stał już pełny, jaskrawo świecący księżyc.

— Po prostu nie mogę w to uwierzyć — powiedziała w pewnym momencie Aileen. — Musiałeś to wszystko przygotować wcześniej.

— Oczywiście. Według rozkładu księżyc powinien wejść dopiero za dwie godziny, ale udało mi się go przekonać, aby ze względu na ciebie zrobił to dzisiaj wcześniej.

— To bardzo miłe z twojej strony, Janie. Spójrz, co oni robią?

— Nocny jachting. Właśnie stawiają żagle.

— A czy nie moglibyśmy tak popływać? Potrafisz?

— Oczywiście! — odparł autorytatywnie, próbując odświeżyć w pamięci skąpy zasób wiadomości na ten temat, które nabył podczas swej ostatniej wizyty w ośrodku. — Chodź. Pokażę ci.

Lecz okazało się, że wcale nie jest to takie proste. Szybko zaplątali się w zalegające pokład liny i w końcu zmuszeni zostali krzyknąć ze śmiechem o pomoc. Smukły Arab z przepływającej nieopodal łodzi pomógł im uporać się z takielunkiem. Od łądu powiała lekka bryza, postawili żagiel i już wkrótce sunęli przez spokojne wody zatoki. Jasny księżyc oświetlał drogę, niebo aż po horyzont usiane było gwiazdami. Jan jedną ręką trzymał rumpel, a drugą objął Aileen. Dziewczyna przytuliła się mocniej i pocałowała go.

— Zbyt dużo — szepnęła.

— Nigdy nie jest zbyt dużo.

Mając pomyślny wiatr w żagle nie zmieniali kursu i wkrótce w zasięgu wzroku nie było już pozostałych łodzi, a linia brzegu rozplynęła się w otaczających ich ciemnościach.

— Czy nie odpłynęliśmy zbyt daleko? — zapytała z niepokojem Aileen.

— Nie sądzę. Przyszło mi do głowy, że taka chwila samotności na morzu może być przyjemna. Mogę sterować według księżycy, a zresztą, jeżeli będziemy musieli, zawsze możemy zrzucić żagiel i dopłynąć do brzegu na silniku pomocniczym.

— Nie wiem o czym mówisz, ale zakładam, że masz rację.

Pół godziny później, gdy odczuli narastający chłód, Jan postanowił zawrócić. Udało mu się bez większych kłopotów wykonać zwrot i już wkrótce dostrzegli przed sobą jasne światła hotelu. Było bardzo cicho. Jedyнным dźwiękiem był szmer rozcinanej dziobem wody, usłyszeli więc rumor silników na długo przedtem nim byli w stanie cokolwiek zobaczyć. Dźwięk ten zdawał się szybko narastać.

— Ktoś się spieszy — mruknął Jan, wpatrując się w ciemność.

— Co to takiego?

— Nie mam pojęcia. Ale wkrótce się przekonamy. Wydaje mi się, że słyszę dwa silniki. Płyną prosto na nas. Powiedziałbym, że to raczej dość dziwna pora na wyścigi.

Buczący dźwięk przybierał na sile i nagle z mroku wyprysnął pierwszy statek. Ciemny kształt w otoczce białej piany. Wydawał się pędzić prosto na nich. Aileen krzyknęła, gdy łódź, rycząc przeciążonymi silnikami przemknęła tuż obok. Pokład załały strugi wody, a cały jacht przechylił się niebezpiecznie na bok.

— Na Boga, ależ to było blisko! — wykrzyknął zdumiony Jan. Jedną ręką uchwycił się kurczowo pokrywy luku, a drugą przyciągnął przerażoną dziewczynę bliżej.

Odwrócili się, spoglądając w ślad za pierwszym statkiem, nie zobaczyli już więc drugiego, zanim nie było za późno. Jan jedynie kątem oka dostrzegł zarys wyłaniającego się z mroku ostrego dziobu. W następnej chwili ciemny kształt uderzył jacht tuż za bukszprytem, wywracając niewielką łódeczkę do góry dnem. Jan i Aileen znaleźli się w wodzie.

Gdy morze zamknęło się nad nim, Jan poczuł, że coś uderzyło go silnie w nogę. Nie wypuszczał jednak dziewczyny z objęć, dopóki nie wyłynęli na powierzchnię. Otaczały ich pływające szczątki łodzi. Samego jachtu jednak już nie było — najwidoczniej zatonął. Nie było także dwóch tajemniczych statków — odgłos pracy ich silników zamierał właśnie w oddali. Byli sami pośrodku nocy, kołysani falami ciemnego oceanu.

Rozdział 3

Początkowo Jan nie zdawał sobie w pełni sprawy z grożącego im obojgu niebezpieczeństwa. Sama walka o utrzymanie się na powierzchni była już wystarczająco trudna, a jedną ręką musiał dodatkowo podtrzymywać oszołomioną dziewczynę, która, kaszląc gwałtownie, usiłowała się pozbyć z płuc resztek wody. Przepychając się przez zalegające wokół szczątki, uderzył nagle dłonią o unoszący się na wodzie ciemny kształt. Zorientował się, że była to pneumatyczna poduszka ratunkowa. Przyciągnął dziewczynę bliżej i włożył jej poduszkę pod ramiona. Gdy upewnił się, że Aileen jest względnie bezpieczna, puścił ją i odpłynął w poszukiwaniu czegoś podobnego dla siebie.

— Wracaj! — wykrzyknęła Aileen głosem, w którym dźwięczała panika.

— Wszystko w porządku. Chcę zobaczyć, czy nie pływa tu gdzieś taka druga poduszka.

Znalazł przedmiot swych poszukiwań stosunkowo szybko i wkrótce płynął w stronę zaniepokojonej dziewczyny.

— Już wróciłem. Uspokój się.

— Co to znaczy: uspokój się? Potopimy się tutaj, wiem o tym!

Przez dłuższą chwilę do głowy nie przychodziła mu żadna sensowna odpowiedź, miał bowiem straszliwe przeczucie, że dziewczyna ma rację.

— Znajdą nas — powiedział w końcu. — Statki zawrócą, albo wezwą pomoc przez radio. Zobaczysz. Ale na razie spróbujmy płynąć w stronę brzegu. To niedaleko.

— A gdzie właściwie jest brzeg?

Było to bardzo dobre pytanie. Księżyc był dokładnie nad ich głowami, przesłonięty w dodatku chmurą. A z miejsca, w którym się teraz znajdowali, światła hotelu stały się niewidoczne.

— Tam — powiedział Jan starając się, aby zabrzmiało to pewnie i popchnął lekko dziewczynę do przodu.

Tajemnicze statki nie wróciły, brzeg znajdował się w odległości ładnych paru mil — zakładając, że płyną we właściwym kierunku, w co mocno wątpił — a na dodatek robiło się coraz zimniej. Byli też coraz bardziej zmęczeni. Aileen sprawiała wrażenie półprzytomnej. Jan podejrzewał, że podczas wypadku dziewczyna

musiała uderzyć w coś mocno głową. Wkrótce musiał ją podtrzymywać, aby nie ześliznęła się z poduszki do wody.

Czy uda im się przetrwać aż do rana? To pytanie nurtowało go już od dłuższego czasu. Z pewnością nie uda im się dopłynąć do brzegu. Która teraz mogła być godzina? Najprawdopodobniej nie ma jeszcze północy. A zimowe noce są długie. Woda także nie była już tak ciepła, jak wieczorem. Poruszał gwałtownie nogami, aby przywrócić krążenie krwi. Z dreszczem grozy spostrzegł, że skóra Aileen staje się coraz chłodniejsza w dotyku, a oddech coraz płytszy.

Gdyby zmarła, byłaby to jego wina. To on przywiózł ją w to miejsce i wystawił na niepotrzebne ryzyko. Gdyby rzeczywiście straciła życie, on także zapłaci za swój błąd. Z pewnością nie dotrwa do świtu. A nawet gdyby — to czy ktokolwiek ich odnajdzie?

Pod wpływem nękających go bez ustanku czarnych myśli szybko popadł w depresję. A może łatwiej byłoby rozluźnić się, przestać walczyć i dać pochłonąć się po prostu wodzie? Jednak ta ostatnia myśl sprawiła, że wierzgnął dziko nogami, popychając ich oboje do przodu. Jeżeli ma już umierać, to z pewnością nie na skutek samobójstwa. Szybko zaprzestał jednak próżnego wysiłku machania nogami i zatrzymał się, aby złapać oddech. Przytulił twarz do zimnego policzka Aileen. A więc tak ma wyglądać ich koniec?

Niespodziewanie coś musnęło go w stopy. Przerażony straszną myślą o przemykających tuż pod nim niewidzialnych stworach, Jan ugiął gwałtownie nogi w kolanach. Rekiny? Czyżby po tych wodach krążyły rekiny? Żałował, że nie zapytał o to wcześniej.

Coś uderzyło go od spodu ponownie, tym razem dużo silniej, podnosząc w górę. Nie było przed tym ucieczki. Mimo, że usilnie starał się odpłynąć na bok, to było wszędzie dookoła niego.

Nagle tuż za nim, z morza wynurzyła się jakaś ociekająca wodą ściana, ciemniejsza nawet, niż sama noc.

Jan pod wpływem bezrozumnej paniki zamachnął się pięścią i uderzył boleśnie kostkami o twardy metal.

Nagle ze zdumieniem stwierdził, że razem z Aileen znajdują się wysoko ponad wodą na czymś w rodzaju platformy, wystawieni na przenikliwe powiewy zimnego wiatru. Jego mózg przeszła nagła myśl, którą wykrzyczał głośno:

— Łódź podwodna!

A więc ich wywrotka została jednak przez kogoś dostrzeżona. Łodzie podwodne nie wynurzają się przypadkowo pod czyimiś stopami w środku nocy. Być może dostrzegli ich przez peryskop na podczerwień lub też wyłowili na nowym, mikropulsyjnym radarze. Delikatnie ułożył Aileen na kratownicy pokładu, układając jej głowę na poduszkę.

— Jest tam kto? — zawołał, stukając pięścią w strzelisty kiosk. Może jakieś wejście jest po drugiej stronie. Kierował się właśnie na drugą stronę kiosku, gdy

ze zgrzytem odskoczyła pokrywa wjazdu i na pokład weszło kilku ludzi. Jeden z nich klęknął nad Aileen i dotknął jej nogi czymś błyszczącym.

— Co wy robicie, do diabła! — wrzasnął i rzucił się w ich kierunku. Ulga natychmiast zastąpiona została gniewem.

Najbliższa postać odwróciła się błyskawicznie i wyciągnęła rękę, mierząc czymś błyszczącym w stronę nadbiegającego Jana. Złapał wyciągnięte ramię i mocno nacisnął. Zaskoczony mężczyzna pod wpływem paralizującego bólu krzyknął i wytrzeszczył szeroko oczy. Szarpnął się gwałtownie, lecz już po chwili zwiotczał. Jan odepchnął go na bok i z zaciśniętymi wściekle pięściami zwrócił się w stronę pozostałych mężczyzn. Otaczali go półkolem, w pozycjach gotowych do ataku. Mówili coś do siebie w gardłowym, niezrozumiałym dla Jana języku.

— Och, do diabła z tym — powiedział wreszcie jeden z nich po angielsku. Wyprostował się i gestem dłoni nakazał cofnąć się swym towarzyszom do tyłu. — Wystarczy tej walki. Przyznaję, że spartoliliśmy.

— Ale nie możemy przecież. . .

— Owszem, możemy. Schodzimy pod pokład. Pan też — dodał, spoglądając znacząco na Jana.

— Co jej zrobiliście?

— Nic groźnego. Mały zastrzyk nasenny. Mieliśmy jeszcze jeden, ale biedny Ota zamiast panu, zaaplikował go sobie. . .

— Nie zmusicie mnie, abym poszedł z wami.

— Niech pan nie będzie głupcem! — wykrzyknął gniewnie nieznajomy mężczyzna. — Mogliśmy was zostawić, ale jednak wynurzyliśmy się, aby uratować wam życie. A każda chwila na powierzchni zwiększa niebezpieczeństwo naszego wykrycia. Niech pan zostaje, jeśli pan chce.

Odwrócił się i skierował za pozostałymi w stronę otwartego wjazdu, pomagając nieść nieprzytomną Aileen. Jan zawahał się na moment i ruszył za nimi. Myśl o samobójstwie wciąż napawała go obrzydzeniem.

Gdy zszedł po metalowej drabince na dół zamrugał nerwowo, zaskoczony rozbłyskującymi intensywną czerwienią światłami lamp alarmowych. W widmowej poświacie otaczające go sylwetki przywodziły, na myśl gorejące w piekle diabły. Nastąpiła chwila zamieszania, podczas której zamykano pośpiesznie wjazd i wydawano liczne rozkazy. Gdy skryli się już bezpiecznie pod powierzchnią wody, mężczyzna, który rozmawiał z Janem na pokładzie, oderwał się od peryskopu i gestem wskazał na owalne drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia.

— Chodźmy do mojej kabiny. Przydałoby się panu jakieś suche ubranie i coś ciepłego do wypicia. O dziewczynę proszę się nie martwić, zatroszczymy się o nią.

Jan usiadł na brzegu koi, drżąc silnie pomimo okrywającego mu ramiona kocea. W dłoni ścisnął filiżankę mocnej herbaty, którą popijał z wdzięcznością. Jego wybawca — lub porywacz? — usiadł naprzeciwko pykając spokojnie fajkę. Był

to mężczyzna dobiegający już pięćdziesiątki, o przyprószonych siwizną włosach, ogorzałej cerze, ubrany w podniszczony mundur khaki ze wskazującymi na wysoką rangę epoletami na ramionach.

— Jestem kapitan Tachauer — powiedział, wydmuchując kłęb gryzącego dymu. — Czy mogę poznać pańskie nazwisko?

— Kulozik, Jan Kulozik. Kim jesteście i co tu właściwie robicie? I dlaczego chcieliście nas uśpić?

— Początkowo wydawało się to dobrym pomysłem. Nie chcieliśmy pozostawić was tam na górze, abyście potonęli. Co prawda zaproponowano i takie rozwiązanie, ale nie wywołało ono zbyt dużego entuzjazmu. Nie jesteśmy mordercami. Jednak gdyby dostrzeżono tutaj naszą obecność, mogłoby to wywołać bardzo daleko idące reperkusje. W końcu zaaprobowaliśmy plan z zastrzykami usypiającymi. Co innego mogliśmy zrobić? Ale jak pan widzi, nie jesteśmy profesjonalistami w tych sprawach. Ota zamiast panu, zrobił podczas waszej szarpaniny zastrzyk samemu sobie i ma przed sobą parę godzin błogiego snu.

— Ale kim jesteście? — ponownie spytał Jan, spoglądając na nieznanego kroju uniform i na stos książek, których tytuły na grzbietach wypisane były w alfabecie, którego nigdy dotąd nie widział. Kapitan Tachauer westchnął z rezygnacją:

— Jesteśmy jednostką Marynarki Izraelskiej — powiedział w końcu. — Witamy na pokładzie.

— Dziękuję. I dziękuję także za uratowanie nam życia. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego tak bardzo obawia się pan, że widzieliśmy was tutaj. Jeżeli bierzecie udział w tajnym rejsie wywiadowczym ONZ, to nikomu nie powiem ani słowa. Nie raz byłem już zobligowany zachować pełną tajemnicę.

— Proszę, ani słowa więcej, panie Kulozik. — Kapitan niecierpliwym ruchem uniósł w górę dłoń. — Widzę, że jest pan zupełnym ignorantem, jeśli chodzi o sytuację polityczną panującą w tej części świata.

— Ignorantem! Nie jestem zwykłym prolem. Moje wykształcenie zamyka się dwoma stopniami naukowymi.

Brwi kapitana w wyrazie uznania powędrowały w górę, ale oprócz tego nic nie wskazywało na to, że ostatnia uwaga Jana zrobiła na nim jakieś większe wrażenie.

— Nie miałem tu na myśli pańskiego doświadczenia technicznego, które, wierzę, musi być znaczne. Chodzi mi raczej o pewne braki w pańskiej wiedzy na temat historii ogólnej, spowodowane przez sfałszowane fakty, celowo i z pełną premedytacją wprowadzone do podręczników historii.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi, kapitanie Tachauer. Edukacja klas wyższych w Wielkiej Brytanii nie podlega tego rodzaju cenzurze. W Związku Radzieckim być może, ale nie u nas. Mam pełną swobodę w wyborze jakiegokolwiek książki z naszych bibliotek, tak jak komputerowych programów konsultingowych.

— Bardzo interesujące — mruknął kapitan, nie sprawiając jednak wrażenia zainteresowanego. — Nie było moją intencją dyskusowanie z panem o kwestiach

polityki o tak późnej porze. Wiem, jak wiele pan ostatnio przeszedł. Chce tylko panu powiedzieć, że państwo Izrael nie jest przemysłowym i rolniczym zapleczem Narodów Zjednoczonych, tak jak uczono tego w pańskich szkołach. To wolny i niepodległy naród — prawdopodobnie ostatni już na naszym globie. Lecz możemy zachować naszą niepodległość jedynie wtedy, gdy nie opuścimy tego obszaru lub nie zdradzimy naszej pozycji komukolwiek, kto posiada władzę w pańskim świecie. A na takie właśnie niebezpieczeństwo naraziliśmy się, ratując wam życie. Pańska wiedza o naszym istnieniu, szczególnie tutaj, gdzie nigdy nie powinniśmy się znaleźć, może zaowocować niewyobrażalnymi wręcz konsekwencjami. Doprowadzić może nawet do nuklearnej zagłady naszego kraju. Ludzie rządzący pańskim światem nigdy nie pogodzą się z faktem istnienia niepodległego państwa, które nie podlega ich kontroli. Gdyby tylko było to możliwe, już jutro starliby nas z powierzchni ziemi. . .

Dalsze słowa kapitana przerwane zostały przez nagły brzęczyk telefonu. Tachauer podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał w milczeniu.

— Jestem potrzebny na mostku — powiedział odkładając słuchawkę i wstając. — Proszę się rozgościć. Herbatę znajdzie pan w termosie.

O czym, do diabła, ten człowiek właściwie mówił? Jan popijał mocną herbatę, pocierając nieświadomie granatowy siniak, który zaczął pojawiać się na jego nodze. Przecież książki historyczne nie kłamią. A jednak ten okręt podwodny był tutaj — działając w dodatku bardzo ostrożnie — a jego załoga najwidoczniej się czegoś obawiała. Żałował, iż jest w tej chwili zbyt zmęczony, aby móc rozumować logicznie. Ostatnie słowa kapitana spowodowały w jego głowie kompletny zamęt.

— Czujesz się już lepiej? — zapytała młoda dziewczyna, odsuwając na bok kurtynę skrywającą drzwi do kabiny. Wśliznęła się do środka i usiadła na krześle, zajmowanym poprzednio przez kapitana. Miała jasne włosy, zielone oczy i była bardzo atrakcyjna. Ubrana była w bluzkę khaki i szorty. Oderwanie wzroku od jej kształtnych, opalonych nóg przyszło Janowi z wyraźnym trudem. Dziewczyna uśmiechnęła się miło. — Na imię mi Sara, a ty jesteś Jan Kulozik. Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić?

— Nie, dziękuję. Chociaż... poczekaj chwilę. Mogłabyś udzielić mi kilku informacji. Czy wiesz, co to były za statki, które zniszczyły nasz jacht? Chciałbym o nich zameldować.

— Nie wiem.

Nie dodała jednak niczego więcej. Po prostu siedziała i patrzyła na niego. Cisza przedłużała się, dopóki Jan nie zdał sobie wreszcie sprawy, że dziewczyna uważa temat za wyczerpany.

— Nie chcesz mi powiedzieć? — zapytał w końcu.

— Nie. Dla twojego własnego dobra. Jeżeli powiesz o tym komukolwiek, Służba Bezpieczeństwa natychmiast wciągnie cię na listę niepewnych i znajdziesz

się pod stałą obserwacją. Do końca życia. Awans, kariera, właściwie wszystko stanie pod wielkim znakiem zapytania aż do końca twych dni.

— Obawiam się, Saro, że niewiele wiesz o moim kraju. To prawda, że mamy Służbę Bezpieczeństwa. Mój szwagier piastuje w niej nawet dość wysokie stanowisko. Ale nie jest ona tym, czym mówisz. Prole być może są trzymani pod obserwacją, zgoda, jeżeli przysparzają kłopotów. Ale nie ktoś z moją pozycją. . .

— To ciekawe. A jaka jest właściwie ta twoja pozycja?

— Jestem inżynierem, pochodzę z dobrej rodziny. Mam doskonałe koneksje.

— Rozumiem, jeden z apresorów. Władca niewolników.

— Czuję się dotknięty tymi wszystkimi insynuacjami. . .

— Nic ci nie insynuuję, Janie. Stwierdzam po prostu fakt. Mamy własny model społeczeństwa, odmienny od waszego. Demokracja. Być może nie ma to teraz znaczenia, ponieważ jesteśmy ostatnim już chyba państwem demokratycznym na świecie. Rządzimy się sami i wszyscy jesteśmy równi. W przeciwieństwie do waszego ustroju niewolniczego, gdzie wszyscy już z urodzenia są nierówni, żyjąc i umierając w sposób, który nigdy nie może się zmienić. Być może z twojego punktu widzenia nie jest to wcale takie złe. Jesteś przecież człowiekiem z samego szczytu. Ale nie przeciągaj struny, Janie. Jeżeli staniesz się osobą podejrzaną, twoja pozycja w tym świecie bardzo szybko może ulec zmianie. A w twoim ustroju zmiana pozycji społecznej prowadzi w jednym tylko kierunku. W dół.

Jan roześmiał się gromko.

— Pleciesz nonsensy.

— Naprawdę tak uważasz? A więc dobrze. Powiem ci o tych statkach. Morze Czerwone jest ożywionym szlakiem przemytniczym. Tradycyjny szlak ze wschodu. Heroina dla mas. Szmuglowana przez Egipt lub Turcję. Gdziekolwiek jest potrzebna — a wasi prole często potrzebują chwilowego choćby zapomnienia — zawsze znajdują się odpowiedni ludzie z pieniędzmi w kieszeniach, którzy zapewnią im odpowiednie dostawy. Narkotyki nie przechodzą jednak przez obszary, które kontrolujemy — kolejny powód, dla którego nie cieszymy się zbyt dużą sympatią. Nasz okręt jest właśnie na jednym z takich patroli. Tak długo, jak przemytnicy omijają nas z daleka, pozostawiamy ich w spokoju. Lecz statki waszej Służby Bezpieczeństwa także patrolują te akweny i jeden z nich ścigał właśnie jednostkę przemytniczą, gdy zdarzył się ten wypadek. Tak, Janie, to okręt Straży Przybrzeżnej zatopił wasz jacht, pozbawiając was przy tym nieomal życia. Chociaż sądzimy, że nawet was nie zauważyli w ciemnościach. Niemniej jednak zatroszczyli się o przemytników. Dostrzeżliśmy błysk eksplozji i śledziliśmy patrolowiec przez całą drogę powrotną do portu.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem — powiedział Jan, kiwając bezradnie głową. — Przecież prole mają wszystko to, czego potrzebują. . .

— Potrzebują narkotyków, aby zapomnieć o szarej, beznadziejnej egzystencji, jaką prowadzą. I proszę nie przerywaj mi co chwila mówiąc, że o czymś nie

słyszałeś. Ja wiem — i dlatego próbuję ci to wszystko wytłumaczyć. Prawdziwy świat nie jest takim, jak ten, o którym nauczono cię w szkole. Oblicza Ziemi są różne, inne dla każdej z klas. Dla ciebie nie ma to znaczenia, należysz bowiem do warstwy rządzącej, sytej i bogatej w otaczającym was morzu głodu. Ale chciałeś wiedzieć. A więc mówię ci, że Izrael jest wolnym i niepodległym państwem. Gdy arabska ropa skończyła się, świat odwrócił się plecami od Bliskiego Wschodu, szczęśliwy, że uwolnił się wreszcie spod dominacji bogatych szejków. Lecz my zostaliśmy tutaj na stałe — a Arabowie nigdy stąd nie odeszli. Napadli na nas zbrojnie, lecz bez stałych dostaw z zewnątrz nie mogli wygrać. Część z nas przeżyła i dzięki wrodzonym zdolnościom mego narodu udało nam się poprawić stosunki z sąsiadami. Gdy populacja Arabów ustabilizowała się nareszcie, ponownie nauczyliśmy ich tradycyjnych metod uprawy roli i hodowli, które zarzucili zupełnie w czasach finansowej prosperity. Zanim reszta świata zdała sobie sprawę z naszego istnienia, byliśmy już prężnym, ustabilizowanym państwem. Eksportowaliśmy nawet nadwyżki owoców i jarzyn. To zrozumiałe, że świat nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy — niemniej jednak musiał to zaakceptować. Szczególnie, gdy udowodniliśmy, że nasze rakiety z głowicami nuklearnymi są równie dobre, jak ich. Zrozumieli, że gdyby próbowali nas zaatakować, muszą liczyć się z potężnym odwetem. Ten polityczny impas w niezmienionej formie trwa aż do dziś. Być może cały nasz kraj jest jednym wielkim gettem, ale my przywykliśmy już mieszkać w gettach. A w obrębie jego ścian jesteśmy przynajmniej wolni.

Jan miał ochotę zaprotestować, lecz po chwili namysłu pociągnął jedynie z kubka. Sara skinęła aprobująco głową.

— A więc już wiesz. I dla własnego bezpieczeństwa nie chwal się tymi informacjami przed nikim. A dla naszego bezpieczeństwa jestem zmuszona prosić cię o przysługę. Kapitan z pewnością nigdy by cię o to nie poprosił, lecz ja nie mam tego typu skrupułów. Nie mów nikomu o naszym okręcie. Także dla własnego dobra. Wyszadzimy was na brzeg za kilka minut, w miejscu, do którego po takiej przygodzie moglibyście dopłynąć o własnych siłach. Tam was znajdą. Dziewczyna o niczym nie wie. Była nieświadoma tego, że dają jej zastrzyk. Nasz lekarz zapewnia, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Tobie także nic nie grozi, jeżeli tylko nie piśniesz nikomu ani słowa. Zgoda?

— Oczywiście, nikomu nie powiem. Uratowaliście nam przecież życie. Ale myślę, że większość z tego, co mi powiedziałaś, to kłamstwa. To nie może być prawdą.

— Mam nadzieję, że dotrzymasz tej obietnicy — dziewczyna wyciągnęła dłoń i poklepała go po ramieniu. — I myśl sobie, co chcesz, ingileh, pod warunkiem, że będziesz trzymał swoją wielką, gojowską gębę na kłódkę.

Zanim zdołał pozbierać myśli i wykrztusić coś w odpowiedzi, dziewczyna zniknęła już za drzwiami. Kapitan nie pojawił się już więcej. W końcu Jan usły-

szał, że wywołują go na pokład. Aileen już się na nim znajdowała i w chwilę potem płynęli w stronę brzegu nadmuchiwym pontonem. Towarzyszyło im dwóch ludzi z załogi. Gdy dopłynęli na plażę, mężczyźni łagodnie położyli Aileen na piasku i zdjęli z niej okrywający ją do tej pory koc. Cisnęli na brzeg dwie nadmuchiwane poduszki z jachtu i zniknęli w mroku. Jan odciągnął dziewczynę poza linię przyływu; jedynymi śladami na piasku były odciski jego stóp. Po pontonie i okręcie podwodnym pozostało jedynie wspomnienie. Wspomnienie, które z każdą upływającą minutą stawało się coraz bardziej nierzeczywiste.

Kopter ratunkowy odnalazł ich tuż po wschodzie słońca. Sanitariusze umieścili nieprzytomną wciąż Aileen na noszach i razem z Janem przetransportowali prosto do szpitala.

Rozdział 4

— Wszystko w absolutnym porządku. Jest pan zdrow jak ryba — powiedział ubrany na biało lekarz, postukując palcem w monitor komputera. — Proszę spojrzeć na odczyt ciśnienia krwi — sam chciałbym mieć takie. Wyniki EKG i EEG także są znakomite. Dam panu wydruk do rejestru dla pańskich lekarzy — dotknął klawiatury komputera diagnostycznego i po chwili z boku maszyny jęła wysuwać się gęsto zapisana, długa taśma papieru.

— Nie martwię się o siebie, doktorze. Niepokoję się stanem pani Pettit.

— A więc może przestać się pan o to niepokoić, mój drogi młodzieńcze — gruby lekarz dotknął kolana Jana z czymś więcej, niż tylko zawodową sympatią. Jan odsunął nogę i spojrzał zimno na przyodzianego w biały kitel mężczyznę. — Dziewczyna opłała się trochę morskiej wody i przeżyła niewielki wstrząs. W sumie nic poważnego. Może pan się z nią zobaczyć, kiedy tylko pan zechce. Chciałbym, aby została tutaj jeszcze przez jeden dzień. Wypocznie i nabierze sił, a dalsza opieka lekarska nie będzie właściwie potrzebna. Proszę, oto pański wydruk.

— Nie potrzebuję tego. Przekażcie to bezpośrednio do kartotek lekarzy w mojej kompanii.

— To może być trudne.

— Dlaczego? Macie przecież łączność satelitarną, a więc połączenie nie powinno sprawić większych kłopotów. Mogę zapłacić, jeżeli uważa pan, że nie mieści się to w zakresie usług tego szpitala.

— Ależ nic z tych rzeczy. Zaraz zajmę się tym osobiście. Lecz teraz niech mi się pan pozwoli, ha, ha, odłączyć — doktor zaczął zdejmować z ciała Jana liczne końcówki zimnych czujników. W końcu wyjął mu tkwiącą w żyłę igłę i przetarł to miejsce watką zmoczoną w spirytusie.

Jan nakładał właśnie spodnie, gdy pchnięte gwałtownie drzwi otworzyły się szeroko i znajomy głos zawołał:

— A więc jesteś cały i zdrowy! To dobrze, zaczynałem się już o ciebie martwić.

— Smitty! Co ty tutaj robisz?

Jan potrząsnął entuzjastycznie wyciągniętą ku niemu dłoń szwagra. Imponujący nos i ostre rysy twarzy wydały mu się czymś przyjemnie swojskim, bowiem

cukierkowa grzeczność lekarzy i pielęgniarek zaczynała już go męczyć. Thurgood-Smythe także sprawiał wrażenie zadowolonego ze spotkania.

— Napędziłeś mi niezłego stracha, chłopcze. Byłem właśnie na konferencji we Włoszech, gdy dowiedziałem się o tym wypadku. Pociągnąłem za parę sznurków, porwałem wojskowy odrzutowiec i oto jestem. Tuż po wylądowaniu dowiedziałem się, że znaleziono was całych i zdrowych. Na szczęście wydajesz się w dobrej formie.

— Jasne. Powinieneś mnie być zobaczyć wczoraj — jedną ręką obejmującego dmuchaną poduszkę, drugą Aileen i płynącego tylko przy pomocy jednej nogi. Nie jest to przeżycie, którego chciałbym doświadczyć po raz drugi.

— Brzmi rzeczywiście nieciekawie. Ale nałóż wreszcie tę koszulę. Zabieram cię na drinka i wtedy wszystko mi opowiesz. Czy widziałeś ten statek, który w was uderzył?

Jan odwrócił się, by sięgnąć po leżącą na kanapce koszulę. Wkładając ręce w rękawy, przypomniał sobie wszystkie usłyszane poprzedniej nocy ostrzeżenia. Czy mu się tylko wydawało, czy głos szwagra zmienił się lekko, gdy zadawał to ostatnie niewinne pytanie. Ostatecznie był przecież wyższym funkcjonariuszem Służb Bezpieczeństwa. Posiadał dostateczne uprawnienia, aby w środku nocy oddano mu do dyspozycji wojskowy myśliwiec. Jan wiedział, że nadeszła krytyczna chwila. Powiedzieć całą prawdę — lub zacząć kłamać. Gdy naciągał koszulę przez głowę, odezwał się zduszonym przez materiał głosem:

— Przykro mi, ale nie widziałem absolutnie nic. Noc była niezwykle ciemna, a te statki nie posiadały żadnych świateł pozycyjnych. Pierwszy przepłynął tak blisko, że niemal nas wyrócił, a drugi nas zatopił — jak do tej pory żadnego kłamstwa. — Chciałbym się dowiedzieć, kim były te sukinsyny. Co prawda ja także nie miałem świateł, ale przecież...

— Masz zupełną słuszność, chłopcze. Zajmę się tym. Dwa okręty wojenne na manewrach daleko poza obszarem, na którym powinny się znajdować. Po powrocie do portu, kapitanów tych jednostek spotka nieprzyjemna niespodzianka, możesz być tego pewien.

— Do diabła z tym, Smitty. To był wypadek.

— Jesteś zbyt pobłażliwy. Zajrzymy jeszcze do Aileen i chodźmy na tego drinka.

Aileen pocałowała ich obydwu i troszeczkę popłakała z radości. Potem uparła się, że opowie Thurgood-Smythe'owi wszystko jeszcze raz od początku. Jan czekał cierpliwie, starając się nie okazać po sobie narastającego w nim napięcia. Czy dziewczyna pamięta okręt podwodny? I ktoś tutaj kłamał — opowieści o tych dwóch statkach różniły się kompletnie. Przemysłowcy i eksplozja, czy dwa okręty wojenne? Co było prawdą?

— ... i nagle — bang! Znaleźliśmy się w wodzie. Zachłysnęłam się i zaczęłam krztusić, ale obecny tutaj marynarzyk zdołał mnie utrzymać na powierzchni.

Wpadłam w panikę. Nigdy przedtem nie uświadomiłam sobie, co to słowo naprawdę znaczy. Rozbolała mnie głowa i wszystko zaczęło mi się rozmywać przed oczami. A potem znaleźliśmy te poduszki i zaczęliśmy dryfować. Pamiętam, że próbował mnie pocieszyć, ale ja nie wierzyłam w ani jedno jego słowo. Co było dalej — nie pamiętam.

— Zupełnie? — zapytał Thurgood-Smythe.

— Zupełnie. Obudziłam się na tym łóżku i dopiero lekarze musieli mi powiedzieć, co się właściwie stało — łagodnym ruchem ujęła Jana za rękę. — Nigdy nie będę w stanie wyrazić ci mojej wdzięczności. Dzisiaj dziewczętom nieczęsto się zdarza, aby ktoś ratował im życie. Wynoście się stąd, zanim się ponownie rozplączę.

Opuścili szpital w milczeniu. Na ulicy Thurgood-Smythe wskazał gestem w stronę najbliższej restauracji.

— Może wejdziemy?

— Oczywiście. Rozmawiałeś z Liz?

— Nie zeszedł nocy. Nie chciałem, aby zaczęła niepotrzebnie się martwić. Lecz dzwoniłem do niej rano, gdy tylko dowiedziałem się, że jesteście cali i zdrowi. Przesyła ci siostrzane wyrazy miłości i przestrzega na przyszłość przed jachtami.

— Cała Liz. Na zdrowie.

Stuknęli się szklankami. Podwójna brandy przyjemnie rozgrzewała Jana, zmniejszając przy okazji nieznośne napięcie, w którym trwał do chwili niespodziewanego przybycia szwagra. Ze wszystkich sił starał się zwalczyć narastającą pokusę opowiedzenia mu o wszystkich wypadkach poprzedniej nocy. O okręcie podwodnym, niespodziewanym ratunku, o dwóch statkach, o wszystkim. A może zatajając to popełnia jakieś przestępstwo? Tylko jedna rzecz powstrzymywała go przed natychmiastowym wyznaniem prawdy. Ci z Izraela uratowali mu życie — a Sara wyznała, iż narazi ich na poważne niebezpieczeństwo, opowiadając o okręcie podwodnym. A więc musi o wszystkim zapomnieć.

— Mam ochotę na jeszcze jeden — powiedział, wskazując pustą szklankę.

— Ja także. Zapomnij o wczorajszej nocy i zacznij cieszyć się z wakacji.

— Właśnie mam taki zamiar.

Lecz wspomnienie tych tajemniczych wydarzeń uparcie tkwiło gdzieś w zakamarkach mózgu. Gdy pożegnał się z Thurgood-Smythe'm na lotnisku, był zadowolony, że nie dał się zaskoczyć i nie powiedział właściwie nic, co w jakimś większym stopniu byłoby kłamstwem.

Słońce, posiłki, woda, wszystko było wspaniale — chociaż za obopólnym milczącym porozumieniem nie wypływali już nigdy żagłówką. Aileen nocami wyrażała mu swą wdzięczność, z namiętą pasją, która nieodmiennie pozostawiała ich rozkosznie wyczerpanymi. Jednak jedno ze wspomnień nie opuszczało Jana nigdy. Gdy budził się rankami przytulony do ciepłego ciała Aileen, powracał my-

śłami do Sary i do tego, o czym mu powiedziała. Jak to możliwe, aby całe jego życie okazało się kłamstwem? Chociaż wydawało się to mało prawdopodobne, myśl ta nie dawała mu spokoju.

Tak jak to zazwyczaj bywa, dwa niezwykle przyjemne tygodnie upłynęły równie szybko. Byli jednak zadowoleni. Tęsknili do chwili, w której będą mogli zaprezentować swą wspaniałą opalenizną zawistnym przyjaciółom w Anglii. Oboje tęsknili już za domem. Ich ostatni, długi i namiętny pocałunek miał miejsce na dworcu lotniczym Victoria, a potem Jan udał się do mieszkania. Zaparzył sobie Filiżankę mocnej kawy i zaniósł ją do pracowni. Po wejściu do swego ulubionego pomieszczenia uśmiechnął się lekko, czując falę przyjemnego odprężenia. Ściany zastawione były rzędami lśniących instrumentów. Centralne miejsce pracowni zajmował warsztat, pełen skomplikowanych narzędzi i mechanizmów. Stał na nim aparat, nad którym Jan pracował jeszcze przed wyjazdem na wakacje. Usiadł przy warsztacie i wprawił aparat w ruch rotacyjny, sięgając jednocześnie po lupę, by sprawdzić mikroskopijne złącza przylutowanych przewodów. Urządzenie było już prawie na ukończeniu — a symulacja komputerowa wykazała, że powinno działać. Sam pomysł był niesłychanie prosty.

Wszystkie większe jednostki oceaniczne posługują się w swej nawigacji systemem satelitów nawigacyjnych. Zawsze co najmniej dwa tego typu satelity widoczne są nad horyzontem z każdego miejsca na oceanie. Urządzenia nawigacyjno-namiarowe statku wysyłają sygnały, które po odpowiednim przetworzeniu powracają do pokładowego komputera statku. Sygnały te, zawierające azymut, kierunek oraz dane o trajektorii satelity, pozwalają na ustalenie aktualnej pozycji statku z dokładnością do paru metrów. Urządzenia są niezwykle efektywne, lecz zarazem nieporęczne i niezwykle kosztowne — co jest bez znaczenia tylko dla wielkich jednostek. A co z mniejszymi statkami, na przykład jachtami? Jan od dłuższego czasu pracował nad uproszczoną wersją takiego urządzenia, które spełniałoby podobne funkcje na każdej jednostce, niezależnie od jej wielkości. Powinno być odpowiednio małe i tanie, aby każdy właściciel jachtu mógł sobie na coś takiego pozwolić. Gdyby mu się udało, mógłby to opatentować, zarabiając na tym niezły grosz. Ale to dopiero przyszłość. Na razie musi jeszcze popracować, miniaturyzując odpowiednio wszystkie niezbędne podzespoły. Jednak dzisiejszego wieczoru praca nie pochłaniała go całkowicie, tak jak bywało zazwyczaj. Po głowie krążyła mu uporczywie pewna myśl. Dopił resztkę herbaty i zaniósł tacę do kuchni. W drodze powrotnej przystanął przy biblioteczkę i sięgnął po trzynasty tom encyklopedii Brytannica. Przez chwilę kartkował strony, aż wreszcie wzrok jego padł na akapit, którego szukał.

IZRAEL. Rolniczo-przemysłowa enklawa nad brzegami Morza Śródziemnego. W przeszłości miejsce państwa Izrael. Wyludnione po latach plagi, ponownie zaludnione ochotnikami ONZ w 2065 ro-

ku. Centrum administracyjne nad rolniczymi okręgami arabskimi na północy i południu. Główny dostawca produktów żywnościowych na tym obszarze.

A więc było to, czarno na białym w książce, której mógł ufać. Pozbawione wszelkiej emocji fakty, po prostu fakty...

To nie była prawda. Przecież był na tym okręcie podwodnym i rozmawiał z Izraelitami. Lub przynajmniej z ludźmi, którzy się za nich podawali. A jeżeli było tak rzeczywiście, to kim byli naprawdę? W co się dał wplątać?

Co powiedział kiedyś T.H. Huxley? Pamiętał, że jeszcze na pierwszym roku studiów przepisał to zdanie i postawił przed sobą na biurku. Brzmiało to tak: „... największą tragedią nauki jest uśmiercanie najpiękniejszych hipotez przy pomocy pospolitych faktów”. Dobrze zapamiętał sobie te słowa i przez cały okres studiów w taki właśnie sposób usiłował podchodzić do zagadnień współczesnej nauki. Dajcie mi fakty, a wszystkie hipotezy upadną same.

A więc jakie właściwie były te fakty? Był na pokładzie okrętu podwodnego, który nie mógł istnieć w świecie, który znał. Lecz ten okręt istniał. A więc jego wyobrażenie o otaczającym go świecie musi być fałszywe.

Ujęty w ten sposób problem stawał się łatwiejszy do zaakceptowania — lecz jednocześnie wzbudzał w nim wściekłość. Okłamano go. Do diabła z resztą świata, ale on, Jan Kulozik, przez wszystkie lata swego życia okłamywany był w celowy, perfidny sposób. Nie podobało mu się to. Ale jak oddzielić teraz kłamstwo od prawdy? Słowa Sary o zagrażającym mu niebezpieczeństwie musiały być prawdziwe. Kłamstwa oznaczały sekrety, a sekrety powinny zostać zachowane w tajemnicy. A to oznaczało z kolei tajemnicę stanu. Cokolwiek by odkrył, nikomu nie może o tym powiedzieć.

Od czego właściwie zacząć? Gdzieś przecież powinny być pełne dane historyczne — lecz Jan nie wiedział nawet, czego właściwie szukać. Będzie to wymagało starannego zaplanowania. Było jednak coś, co mógł zrobić od razu. Mógł bliżej przypatrzeć się otaczającemu go światu. Jak Sara go nazwała? Władca niewolników. To ciekawe. Nigdy nie czuł się kimś takim. Tak to już było, że jego klasa troszczyła się o różne rzeczy, nawet o ludzi, którzy nie potrafili zadbać o samych siebie. Prole z pewnością nie mogli być odpowiedzialni za cokolwiek, bowiem wszystko już dawno rozsypało się w gruzy. Nie byli po prostu dostatecznie inteligentni. Nie posiadali poczucia odpowiedzialności. Było to naturalne i wszyscy o tym wiedzieli.

Zgoda, prole byli na samym dole — setki milionów nigdy nie mytych ciał, większość z nich na zasiłku. Było tak od czasu, kiedy gigantyczne kampanie doprowadziły świat do ruiny. To wszystko było w podręcznikach historii. To, że prole do tej pory pozostawali przy życiu nie było zasługą ich samych, lecz spowodowane zostało ciężką pracą ludzi z jego klasy, którzy przejęli w swoje ręce

ster rządów. Inżynierów i techników, którzy zdołali zachować kurczące się gwałtownie zasoby świata. Dziedziczni członkowie Parlamentu mieli coraz mniej do powiedzenia w kwestii sprawowania rządów nad stechnicyzowanym społeczeństwem. Królowa była jedynie marionetką. Prawdziwym władcą była wiedza i ona właśnie utrzymywała świat przy życiu. To dzięki niej ludzkość przetrwała. Stacje orbitalne z powodzeniem zażegnały światowy kryzys wywołany wyczerpaniem się złóż naftowych, a fuzja wszystkich narodów pod skrzydłami jednej organizacji zaowocowała bezpieczeństwem i potęgą.

Lecz bolesna lekcja nigdy nie została zapomniana — szybko stało się jasne, że krucha równowaga ekologiczna planety bardzo łatwo może zostać zachwiana. Skończyły się surowce, potrzebowano więc nowych materiałów. Pierwszym krokiem był księżyc. Potem pas asteroidów, który stanowił niezwykle bogate źródło surowców i minerałów. A potem gwiazdy. Stało się to możliwe dzięki dokonaniu przez Hugo Fascolo odkryciu, znanemu później jako Efekt Nieciągłości Fascolo. Fascolo był matematykiem, zapomnianym geniuszem, zarabiającym na życie jako nauczyciel w Brazylii, w mieście o nieprawdopodobnej nazwie Pindamonhangaba. Nieciągłość była częścią teorii względności i gdy Fascolo po raz pierwszy opublikował wyniki swych badań w podręcznym czasopiśmie matematycznym, musiał się gęsto tłumaczyć z podważania uznanych teorii wielkiego człowieka i polemizować pokornie z tłumem rozjuszonych matematyków i fizyków, którzy za wszelką cenę starali się obalić jego równania, wskazując na nieistniejące w nich błędy.

Fascolo jednak nie ugiął się — i w ten sposób droga ludzkości do gwiazd została utorowana. Zaledwie sto lat zajęło skolonizowanie najbliższych systemów gwiazdnych. Była to piękna karta w najnowszej historii człowieka, a do tego z całą pewnością prawdziwa, ponieważ kolonie takie rzeczywiście istniały. Jan wiedział, że nie było żadnych niewolników, był nawet zły na Sarę, że to powiedziała. Na Ziemi panował teraz pokój i sprawiedliwość, żywności starczało dla wszystkich. Jakiego słowa ona właściwie użyła? Demokracja. Z pewnością była to jakaś forma rządów. Nigdy o czymś takim nie słyszał. Z lekką niechęcią ponownie zajrzał do encyklopedii. Nie miał ochoty na odkrywanie błędów w tych grubych tomach. Zupełnie, jakby jakiś cenny obraz okazał się w rzeczywistości imitacją. Zdjął z półki odpowiedni tom i poszedł w stronę okna.

DEMOKRACJA. Archaiczny termin określający starożytną formę rządów, która przez krótki okres dominowała w niektórych z miast-państw Grecji. Według Arystotelesa, demokracja jest wyznaczoną formą trzeciego stopnia ustroju. . .

Definicja zawierała więcej tego typu rzeczy, podanych w równie interesujący sposób. Historyczny rodzaj rządów, jak kanibalizm, który dawno odszedł już w zapomnienie. Ale co to ma właściwie wspólnego z tymi Izraelczykami? Wszystko

to było odrobinę zastanawiające. Jan wyjrzał przez okno na skute lodem wody Tamizy. Wzdrygnął się, wspominając dotyk tropikalnego słońca na swej skórze. Od czego zacząć?

Z pewnością nie od historii — nie była to jego dziedzina. Nawet nie wiedziałby, gdzie szukać. Ale czy rzeczywiście musi czegoś szukać? Mówiąc zupełnie szczerze wcale nie podobał mu się ten pomysł. Miał w dodatku niejasne przeczucie, że skoro raz zacznie, nie będzie już drogi powrotnej. Otwarta puszcza Pandory nie będzie już mogła zostać zamknięta ponownie. A więc czy naprawdę chce dowiedzieć się o tych wszystkich rzeczach? Tak! Nazwała go przecież władcą niewolników — a Jan z całą pewnością nie był tego rodzaju człowiekiem. Nawet proli rozśmieszyłyby ta sugestia.

No właśnie. Prole. Od tego powinien zacząć. Zna ich przecież, nawet z nimi pracuje. Może wrócić do zakładów w Walsoken z samego rana — jest tam przecież oczekiwany, w związku z kontrolą instalacji i przebiegiem prac konserwacyjnych. Jednak tym razem porozmawia ze zgromadzonymi tam prolami. Podczas swej ostatniej wizyty nie miał na to zbyt wiele czasu. Jak długo pozostanie rozważny, nie powinien popaść w żadne kłopoty. Obowiązywały wszak pewne reguły dotyczące towarzyskich spotkań z prolami, a Jan z całą pewnością nie miał zamiaru łamać żadnej z nich. Lecz mógł przecież zadawać pytania i słuchać uważnie odpowiedzi.

Jednak nie zajęło mu dużo czasu stwierdzenie, iż nie jest to takie proste, jak się wydawało.

— Witamy z powrotem, wasza dostojność, witamy — wykrzyknął dyspozytor, wybiegając, przez drzwi na powitanie wysiadającego z samochodu Jana.

— Dziękuję, Radcliffe. Mam nadzieję, że podczas mojej nieobecności nie mieliście większych kłopotów?

Niepewny uśmiech Radcliffe'a zdrzął na krawędzi zakłopotania.

— Raczej nie, sir. Ale z przykrością muszę stwierdzić, że nie zakończyliśmy jeszcze wszystkich prac w terminie. Wciąż występują braki w częściach zapasowych. Być może przy pańskiej pomocy uda się je wreszcie uzupełnić. Ale teraz proszę do środka, pokażę panu wszystkie niezbędne wydruki.

Wewnątrz zakładów nic się nie zmieniło. Pod stopami wciąż połykiwały kałuże cieczy, pomimo apatycznych ruchów młodego mężczyzny, który najwyraźniej bez efektu usiłował usunąć je przy pomocy szmaty, owiniętej dookoła szczotki. Jan miał zamiar powiedzieć parę ostrych słów — otwierał właśnie usta — gdy nagle zmienił zamiar. Radcliffe najwidoczniej także oczekiwał bolesnej reprimandy, rzucał bowiem przez ramię bojaźliwe spojrzenia. Jan, napotykając na jedno z takich spojrzeń uśmiechnął się w odpowiedzi. Punkt dla niego. Być może wcześniej rzeczywiście był zbyt szybki w wynajdowaniu różnych niedociągnięć, lecz tym razem nie miał zamiaru popełniać podobnego błędu. Więcej można zdzia-

łać posługując się uprzejmymi słowami, niż niepotrzebnym wrzaskiem. Jak do tej pory metoda ta sprawdzała się całkiem nieźle.

Jednak gdy przeglądał wydruki, opanowanie najwyższego wzburzenia przyszło mu jedynie z największym trudem. Niemniej jednak musiał coś powiedzieć.

— Naprawdę, Radcliffe, nie chciałbym się powtarzać, ale wy przecież nie zrobiliście dosłownie nic! Minęły dwa tygodnie, a lista jest tak samo długa, jak przedtem.

— Mamy ciężką zimę, sir. Wielu ludzi jest chorych. Ale proszę spojrzeć, to przecież wykonane. . .

— Owszem, ale mieliście też więcej usterek, niż nadążaliście usuwać. . . — Jan, słysząc w tonie swego głosu nutki gniewu, ponownie zamknął usta. Tym razem nie może sobie pozwolić na utratę panowania nad sobą. Podeszedł do drzwi biura i wyrzwał na główne pomieszczenie zakładów. Kątem oka spostrzegł w korytarzu popychany przez starszą kobietę wózek, zastawiony filiżankami z parującą herbatą. Właśnie, przydałby mu się teraz łyk mocnej herbaty. Podeszedł do leżącej na krześle torby i otworzył ją.

— Cholera!

— Co się stało, sir?

— Właściwie nic. Gdy rano odbierałem z hotelu bagaże, zapomniałem zabrać termos z herbatą.

— Mogę wysłać kogoś na rowerze, sir. Wróci za kilka minut.

— Nie warto — nagle przyszedł mu do głowy niezwykle pomysł.

— Przyrowadź ten wózek tutaj. Razem napijemy się po filiżance.

Oczy Radcliffe'a otworzyły się szeroko i przez dłuższą chwilę nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

— Och nie, wasza dostojność — wyjąkał w końcu. — Nasza herbata z pewnością nie będzie panu smakowała. To po prostu paskudztwo. Zaraz wyślę. . .

— Nonsens. Przyrowadź tutaj ten wózek.

Jan, pogrążony w przeglądaniu wydruków z ustaloną wcześniej kolejnością prac nie dostrzegł pełnego dezaprobaty spojrzenia Radcliffe'a. Kobieta za wózkiem wycierała bezustannie ręce w przybrudzony fartuch i kłaniała się lekko w jego kierunku. Radcliffe wysunął się z pomieszczenia i po chwili powrócił trzymając w dłoni świeży, biały ręcznik. Podał go kobiecie, która z niezwykłą pieczołowitością wytarła jedną z filiżanek. W końcu ustawiła ją na poobijanej tacy.

— Ty także, Radcliffe. To polecenie służbowe.

Herbata była gorąca i to właściwie wszystko, co można było o niej powiedzieć, a wyszczerbione brzegi filiżanki nieprzyjemnie drażniły go wargi.

— Bardzo dobra — powiedział jednak.

— Tak, wasza dostojność, rzeczywiście — widoczne znad filiżanki oczy Radcliffe'a patrzyły na Jana błagalnie. .

— Będziemy musieli to powtórzyć.

Tym razem jedyną odpowiedzią była cisza. Jan nie miał pojęcia, jak dalej podtrzymać tę sztuczną konwersację. Cisza wydłużała się, aż opróżnił filiżankę i nie pozostawało nic innego, jak wracać do pracy.

Było aż nadto bieżących napraw, którymi powinien się zająć natychmiast. Pograżony w pracy Jan dopiero grubo po szóstej przeciągnął się i ziewnął, zdając sobie przy okazji sprawę, że dzienna zmiana pracowników już poszła do domu. Przypomniawszy sobie dyspozytora, który zajrzał tu na chwilę i o coś zapytał. Jednak samo pytanie uleciało mu już z pamięci. Jan czuł się zmęczony i postanowił, że na dzisiaj dosyć. Spakował papiery, nałożył kożuszek i wyszedł na zewnątrz. Noc była mroźna, na niebie wyraźnie widoczne były płonące zimnym blaskiem gwiazdy. Daleko stąd do słonecznych plaż Morza Czerwonego. Wśliznął się do samochodu i z westchnieniem ulgi wyłączył ogrzewanie.

Odczuwał wyraźną satysfakcję z dobrze przepracowanego dnia. Układy kontrolne pracowały wreszcie bez zarzutu, a jeżeli podgonią trochę z robotą, wszystkie naprawy i prace konserwacyjne mogą zostać zakończone w terminie. Muszą zostać zakończone. Gwałtownym ruchem szarpnął kierownicę, by ominąć roweryzstę, który nagle pojawił się w światłach samochodu. Jan spojrzał na mijanego właśnie mężczyznę. Ciemne ubranie, czarny rower i żadnego światełka odblaskowego. Czy ci ludzie nigdy się niczego nie nauczą? Po obu stronach drogi rozciągały się puste pola, w zasięgu wzroku nie było widać żadnego domu. Co do diabła ten człowiek robił pośrodku takiej pustyni i to w dodatku w absolutnych ciemnościach?

Odpowiedź na to pytanie znajdowała się za najbliższym zakrętem. Tuż przed sobą dostrzegł promieniujące ciepłym blaskiem okna. Oczywiście, to ten przydrożny zajazd, który mijał niezliczoną ilość razy. Zwolnił. Żelazny Książę, jak głosił wymalowany ozdobnymi literami napis na tablicy nad drzwiami. Poniżej przedstawiono samego Księcia, z zadartym wysoko do góry arystokratycznym nosem. Lecz klientela tego miejsca najwidoczniej nie wywodziła się z arystokracji — przed frontem budynku, przed paroma rowerami, nie stał zaparkowany żaden inny pojazd. Nic dziwnego, że nie zwrócił wcześniej jego uwagi.

Powodowany nagłym impulsem uderzył nogą w hamulec. Oczywiście! Może przecież wstąpić tu na drinka, porozmawiać z ludźmi. Z pewnością nie było to nic złego. A starzy bywalcy powinni być zadowoleni, że trafia się ktoś nowy. Wnieście to spore ożywienie. Niezły pomysł.

Jan wysiadł z samochodu, zamknął drzwiczki na klucz i podszedł do frontowych drzwi. Pod naporem jego dłoni otworzyły się szeroko i wkroczył do jasno oświetlonego pomieszczenia, pełnego gryzących chmur tytoniowego dymu i oparów marihuany. Z głośników zawieszonych na ścianach dobiegały dźwięki głośniejszej, prostackiej muzyki, skutecznie zagłuszającej gwar rozmów prowadzonych przy barze i niewielkich stolikach. Z zaskoczeniem zauważył, że nie było tu żadnych kobiet. W normalnym pubie połowę klienteli — lub nawet większość —

stanowiły kobiety. Znalazł wolne miejsce przy barze i postukał palcem o blat, aby zwrócić na siebie uwagę barmana.

— Witamy pana, sir — powiedział spieszący w stronę Jana niewielki człowieczek z przylepionym do grubych warg szerokim uśmiechem. — Czym możemy służyć?

— Duża whisky — i sobie też coś nalej.

— Dziękuję, sir. Dla mnie może być także whisky.

Jan nie dostrzegł nazwy podanego mu alkoholu, trunek był jednak o wiele mocniejszy, niż ten, który zazwyczaj pijał. Lecz smakował całkiem nieźle. Ludzie tutaj nie mieli powodów do narzekań.

Przy barze zrobiło się teraz więcej miejsca — właściwie miał go w całości dla siebie. Jan odwrócił się i przy pobliskim stoliku dostrzegł Radcliffe'a, siedzącego w towarzystwie kilku innych pracowników z Walsoken. Jan pomachał w ich kierunku i podszedł bliżej.

— Chwila relaksu po pracy, Radcliffe?

— Można to tak określić, wasza dostojność — wypowiedziane przez mężczyznę słowa były chłodne i formalne, z niejasnych powodów wydawał się być zakłopotany.

— Nie macie nic przeciwko, abym się do was przysiadł?

Kilka dobiegających od strony stołu nieokreślonych mruknięć Jan uznał za wyraz aprobaty. Przysunął sobie stojące przy sąsiednim stoliku wolne krzesło, usiadł i rozejrzał się dookoła. Jednak żaden z siedzących mężczyzn nie odwzajemnił jego spojrzenia, wszyscy wydawali się odkryć coś niezwykle interesującego w stojących przed nimi kufiach z piwem.

— Zimna noc, prawda? — jedyną odpowiedzią było głośne siorbnięcie w wykonaniu jednego z mężczyzn. — Przez kilka kolejnych lat, zimy w dalszym ciągu będą niezwykle mroźne. Spowodowane to zostało niewielkimi zmianami pogody w obrębie większych cykli klimatycznych. Oczywiście nie grozi nam jeszcze kolejna epoka lodowcowa, ale te surowe zimy potrważą jeszcze jakiś czas.

Jego słuchacze nie wydali się przykładać nadmiernej uwagi do tego wyводу i Jan szybko doszedł do wniosku, że robi z siebie głupca. Dlaczego właściwie tutaj przyszedł? Czego chciał się dowiedzieć od tych pustogłowych tępaków? Cały ten pomysł był po prostu głupi. Jan szybko dopił whisky i postawił szklankę na stole.

— A więc miłego wieczoru, Radcliffe. Do zobaczenia jutro rano w pracy. Musimy podgonić trochę prace konserwacyjne. Mamy opóźnienia.

Mruknęli coś, czego już nie dosłyszał. Do diabła z teoriami i blondynkami w okrętach podwodnych. Musiał chyba zwariować, myśląc i postępując w taki sposób, jak przed chwilą. Do diabła z tym wszystkim. Wyszedł na zewnątrz. Po zaduchu zadymionego pomieszczenia mocny haust zimnego, świeżego powietrza był niezwykle ożywczy. Jego samochód stał tam, gdzie go postawił, ale przy otwartych teraz drzwiach stało dwóch mężczyzn.

— Co wy robicie? Zostawcie to!

Jan rzucił się biegiem w kierunku samochodu, ślizgając się na zamrzniętym gruncie. Mężczyźni rozejrzeli się szybko dookoła, odwrócili się i pobiegli w ciemność.

— Stójcie! Słyszycie mnie — macie się zatrzymać!

— Włamali się do jego samochodu. Kryminaliści! Nie ujdzie im to na sucho. Pobiegł za nimi za róg budynku. Jeden z uciekających mężczyzn zatrzymał się. Dobrze! Odwrócił się powoli i...

Jan nie zauważył nawet pięści stojącego przed nim mężczyzny. Nagle w szczęce poczuł eksplozję bólu i przewrócił się na plecy.

Było to uderzenie równie nieoczekiwane, co potężne. Jan musiał być przez kilka chwil nieprzytomny, bowiem gdy odzyskał w pełni zmysły, zorientował się, że tkwi na czworakach w śniegu, wolno potrząsając trzeszczącą z bólu głową. Po chwili otoczył go gwar podniesionych głosów, czyjeś ręce pomogły mu powstać na nogi. Ktoś pomógł mu wejść do zajazdu, zaprowadził do niewielkiego pokoju, gdzie Jan usiadł ciężko w jednym z głębokich foteli. Poczuł, jak do czoła i bolącej szczęki przykładany jest mokry ręcznik. Podniósł wzrok i spostrzegł stojącego tuż obok Radcliffe'a. Oprócz niego w pokoju nie było nikogo.

— Znam tego człowieka. Tego, który mnie uderzył — powiedział Jan.

— Nie sądzę, sir. Nie wydaje mi się, aby był to ktoś z naszych pracowników. Wysłałem człowieka, aby obejrzał pański samochód, sir. Z tego co wiem, na szczęście nic nie zostało skradzione. Trochę uszkodzeń przy drzwiach, gdyż zamek wyłamano siłą, ale...

— Powtarzam ci, że znam tego mężczyznę. Widziałem jego twarz zanim mnie uderzył. I jestem pewny, że pracował w fabryce!

Okład z zimnego ręcznika wydawał się przynosić wyraźną ulgę.

— Sampson, czy jakoś tak. Mężczyzna, który spowodował pożar w hali maszyn, pamiętasz? Simmons — teraz sobie przypominam. To on!

— To niemożliwe, sir. On nie żyje.

— Nie żyje? Nie rozumiem. Przecież jeszcze dwa tygodnie temu cieszył się doskonałym zdrowiem.

— Popełnił samobójstwo, sir. Nie mógł pogodzić się z powrotem na zasilek. Uczył się przez lata, aby dostać tę pracę. A przepracował zaledwie kilka miesięcy.

— No cóż, nie możesz winić mnie za jego niekompetencję. Sam zgodziłeś się ze mną, że zwolnienie go było najlepszą rzeczą, jaką można było zrobić. Pamiętasz?

Radcliffe tym razem nie spuścił wzroku. Gdy odpowiadał, w jego głosie zabrzmiała nadspodziewanie twarda nuta:

— Pamiętam jak prosiłem, aby mógł pracować nadal. Pan jednak odmówił.

— Czy przypadkiem nie sugerujesz, że to ja jestem odpowiedzialny za jego śmierć, Radcliffe?

Tym razem dyspozytor nie odpowiedział. Nie odrywał także wzroku od oczu Jana, który zmuszony był w końcu odwrócić głowę.

— Czasami decyzje takie są niezwykle trudne. Niemniej jednak trzeba je podjąć. Jednak przysięgam ci, że był to Simmons. Wyglądał dokładnie, jak on.

— Ma pan rację, sir. To był jego brat. Gdyby pan zechciał, mógłby pan się tego łatwo dowiedzieć.

— Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Policja znajdzie go stosunkowo szybko.

— Policja, inżynierze Kulozik? — Radcliffe wyprostował się na swym krześle, a jego ton przybrał barwę, której Jan nigdy u niego nie słyszał. — Czy naprawdę musi im pan o tym powiedzieć? Czy nie wystarczy panu, że Simmons nie żyje? Jego brat musi opiekować się żoną i dziećmi. Wszyscy są na zasiłku. I tak jak wielu innych, pozostaną już na nim aż do końca życia. Nie staram się usprawiedliwić tego człowieka — nie powinien był włamywać się do pańskiego samochodu. Ale dziwi się pan, że jest rozgoryczony? Jeżeli zachowa pan ten fakt tylko dla siebie, miejscowi ludzie przyjmą to z prawdziwą wdzięcznością. Od czasu śmierci brata człowiek ten nie zachowuje się zupełnie normalnie.

— Ale mam przecież obowiązek...

— Obowiązek, sir? Jaki obowiązek? Trzymania się swojej własnej klasy i pozostawienia nas w spokoju. Gdyby nie przyszedł pan tutaj węszyć, wpychając się tam, gdzie nikt pana nie chce, nic takiego by się nie wydarzyło. Powtarzam, proszę zostawić nas w spokoju. Niech pan wsiada do swojego samochodu i odjeżdża stąd. A sprawy proszę pozostawić takimi, jakimi są.

— Nikt nie chce...? — trudno było zaakceptować myśl, że przez ten czas ci ludzie tutaj traktowali go po prostu jak intruza.

— Nie jest pan tutaj osobą pożądaną. Ale powiedziałem już dużo, wasza dostojność. Być może zbyt dużo. Niech pan postąpi tak, jak pan postanowi. To, co się stało, już się nie odstanie. Ktoś pozostanie przy samochodzie do czasu, gdy wyruszy pan w dalszą drogę.

Wyszedł, pozostawiając Jana w poczuciu dojmującej samotności, jakiej nie zaznał jeszcze nigdy w życiu.

Rozdział 5

Gdy Jan dojechał wreszcie do hotelu w Wisbech, pod czaszką kłębiło mu się istne mrowie myśli. Szybko przemknął przez zatłoczony o tej porze bar i skierował się do swego pokoju. Stłuczone miejsce na szczęce było bardziej bolesne, niż na to wyglądało. Zanurzył ręcznik w zimnej wodzie, przyłożył do twarzy i spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Czuł się jak ostatni idiota.

Po wyjściu z łazienki skierował się do barku, nalał sobie podwójną whisky i pustym wzrokiem zapatrzył się w okno. Próbował zrozumieć, dlaczego właściwie nie zameldował o wszystkim na policji. Z każdą upływającą minutą stawało się to coraz trudniejsze, bowiem na posterunku z całą pewnością będą chcieli wiedzieć, co spowodowało to opóźnienie. A więc dlaczego nie składa tego meldunku? Został brutalnie zaatakowany, a jego samochód podczas włamania poważnie uszkodzony. Miał wszelkie prawa, aby oskarżyć tego człowieka.

Czy rzeczywiście był odpowiedzialny za śmierć Simmonsa?

To niemożliwe. Jeżeli ktoś nie wykonuje swojej pracy dobrze, nie zasługuje, aby posiadać ją dłużej. W sytuacji, w której o jedną posadę ubiega się dziesięciu ludzi, pracownik musi być dobry, albo zostanie wyrzucony na bruk. A Simmons nie był dostatecznie dobry. Został więc wyrzucony. A teraz jest martwy.

To nie była moja wina — powiedział głośno Jan i zaczął pakować bagaże. Do diabła z zakładami w Walsoken i wszystkimi pracującymi tam ludźmi. Jego odpowiedzialność skończyła się, gdy instalacja kontrolna została zamontowana i przetestowana. Prace konserwacyjne to nie jego działka. Ktoś inny może się o to martwić. Z samego rana wysłał raport do zarządu i tam niech się już zastanawiają, co robić dalej. Czeka na niego mnóstwo innej pracy — ze swoim stopniem starszeństwa może przecież wybierać. Z pewnością nie pozostanie w tej przeciekającej bimbrowni, pośrodku jałowych, zamarzniętych pól.

Głowa bolała go bez przerwy i w trakcie podróży powrotnej wypił o wiele więcej, niż powinien. Przy wjeździe do Londynu spróbował przełączyć sterowanie samochodem na ręczne, ale bez rezultatów. Komputer pokładowy wyświetlił na ekranie informację o ilości znajdującego się w jego krwi alkoholu, która była grubo powyżej legalnego maksimum i nie pozwolił na przejęcie kontroli nad pojazdem. Jazda była powolna, nudna i okropnie irytująca, ponieważ komputer mógł

prowadzić samochód jedynie głównymi ulicami Londynu, co było niepotrzebną stratą czasu. I w dodatku to przepuszczanie na skrzyżowaniach każdego pojazdu, który kierowany był ręcznie. Komputer wyłączył się dopiero przed drzwiami garażu i jedyną satysfakcją Jana stał się szybki wjazd po rampie i gwałtowne, wykonane przy wtórze pisku opon, hamowanie w wyznaczonym kwadracie. Potem było kilka kolejnych szklaneczek whisky i obudził się o trzeciej nad ranem, stwierdzając, że światło wciąż się jeszcze pali, a stojący w kącie telewizor pomrukuje coś do siebie cichutko. Powyłączał wszystko i ponownie zapadł w sen. Obudził się późno i kończył właśnie pierwszą filiżankę kawy, gdy zamontowany przy drzwiach sygnalizator zagwizdał, anonsując czyjeś przybycie. Jan wyciągnął rękę i nacisnął odpowiedni przycisk. Na ekranie komunikatora ukazała się twarz jego szwagra.

— Nie wyglądasz zbyt dobrze, chłopcze. Co się stało? — zapytał Thurgood-Smythe, obrzucając badawczym spojrzeniem twarz Jana. Płaszcz i rękawiczki położył wcześniej na kanapie.

— Kawy?

— Poproszę.

— Czuję się dokładnie tak, jak wyglądam — powiedział Jan decydując się na opowiedzenie kłamstwa, które wymyślił wkrótce po przebudzeniu. — Pośliznąłem się na lodzie. Cholera, myślę, że obluzował mi się ząb. Po powrocie do domu wypilem chyba troszeczkę zbyt dużo, ale chciałem osłabić ból. Ten cholerny samochód nie pozwolił mi nawet prowadzić.

— Przekleństwo automatyzacji. Byłeś u lekarza?

— Nie, nie ma potrzeby. To tylko siniak. Za to czuję się jak głupiec.

— Zdarza się najlepszym. Elizabeth zaprasza cię dzisiaj wieczorem na kolację. Będziesz miał czas?

— Oczywiście. Ma najlepszą kuchnię w Londynie. Przyjdę pod warunkiem, że tym razem nie będzie próbowała mnie swatać — spojrzał podejrzliwie na szwagra, który pogroził mu palcem i roześmiał się.

— Tak jej właśnie powiedziałem i chociaż protestowała, że to dziewczyna jedna na milion, zdecydowała się jej w końcu nie zapraszać. Kolacja będzie na trzy osoby.

— Dziękuję, Smitty. Liz nie może pogodzić się z faktem, że nie jestem typem skorym do żeniaczki.

— No właśnie. Powiedziałem jej, że będziesz chciał sobie jeszcze poużywać leżąc na łożu śmierci, a ona na to, że jestem wulgarny.

— Obyś miał rację z tym łożem. Ale nie przejechałeś pół miasta, aby zaprosić mnie jedynie na kolację. Równie dobrze mogłeś zrobić to przez telefon.

— Masz rację. Przyniosłem coś, abyś na to spojrzał — powiedział wyciągając z kieszeni niewielkie, płaskie pudełeczko.

— Nie wiem, czy dzisiaj będę w stanie cokolwiek zrobić. Ale oczywiście spróbuję. — Jan wziął z rąk szwagra pudełeczko i otworzył je. Wewnątrz leżało kilka maleńkich urządzeń. Po umieszczeniu na obudowie monitoru kontrolnym zorientował się, że muszą to być pewnego rodzaju przyrządy pomiarowe. Wyglądały jednak na niezwykle skomplikowane. W przeszłości Thurgood-Smythe nieraz już przynosił do pracowni Jana podobne techniczne cudenka. Zazwyczaj były to jakieś elektroniczne urządzenia, które technicy z Bezpieczeństwa właśnie testowali lub też zjawiał się z problemami, które wymagały specjalistycznej analizy kogoś z zewnątrz. Wszystko pozostawało w rodzinie i Jan nawet cieszył się mogąc okazać szwagrowi swą pomoc. Szczególnie wtedy, gdy mógł poświęcić swój prywatny czas i otrzymywał za to całkiem spore gratyfikacje pieniężne.

— Wygląda interesująco — powiedział, oglądając uważnie jedno z urządzeń. — Ale nie mam najmniejszego pojęcia, do czego może to służyć.

— Do wykrywania podsłuchu telefonicznego.

— Niemożliwe.

— Taka właśnie panuje powszechna opinia, a my w naszych laboratoriach mamy kilku naprawdę łebskich facetów. To urządzenie jest tak wrażliwe, że analizuje najmniejszą nawet zmianę oporu i spadku mocy dla każdego elementu obwodu. Powiedziano mi, że sam fakt wykrywania podsłuchu na jakiejś linii powoduje niewielkie zmiany w sygnale początkowym, które także mogą zostać zarejestrowane. Rozumiesz coś z tego?

— Troszeczkę. Ale w transmitowanej wiadomości występuje niezwykle wiele przypadkowych spadków mocy na przełącznikach, złączach wyjściowych i tak dalej. Nie wyobrażam sobie, jak w takich warunkach ta rzecz może efektywnie działać.

— Ten przyrządek ma za zadanie wyszukiwać każdy spadek mocy i analizować jego wartość początkową. Jeżeli jest prawidłowa, przechodzi do następnej przerwy w sygnale.

— A więc mogę tylko zagwizdać z podziwu. Jeżeli ci twoi chłopcy potrafią wpakować tyle obwodów i kontrolek do czegoś tej wielkości, to rzeczywiście znają się na swej robocie. Ale czego właściwie oczekujesz ode mnie?

— Jak moglibyśmy przetestować to w najprostszy sposób poza laboratorium?

— Właśnie w najprostszy. Zamontuj to na kilkunastu telefonach w swoim biurze, a potem do kilku przypadkowo wybranych podłączysz podsłuch. To powinno wystarczyć.

— Rzeczywiście, brzmi dosyć prosto. Chłopcy powiedzieli, że należy to podłączyć do końcówki mikrofonu. Mógłbyś spróbować?

— Oczywiście — Jan podniósł słuchawkę telefonu i zamontował urządzenie tuż przy podstawie mikrofonu. Na niewielkim monitoru rozbłysło światło pełnej gotowości. — Wystarczy teraz, abys powiedział do mikrofonu parę słów swoim naturalnym głosem.

— Zadzwoń do Elizabeth i powiem, że będziesz dziś wieczorem.

Po wypowiedzeniu zaledwie paru słów obaj z zainteresowaniem obserwowali, jak na tarczy monitora wykwitają nagle wyraźne, faliste linie. Wyglądało na to, że urządzenie sprawuje się bez zarzutu. Thurgood-Smythe przerwał połączenie i faliste linie zamarły. Zamiast tego na ekranie pojawił się płonący czerwienią napis:

LINIA NA PODSŁUCHU W CENTRALI

— Wygląda na to, że działa — powiedział Thurgood-Smythe spoglądając znacząco na Jana.

— Działa... Ale to przecież wykryło podsłuch w moim telefonie! Dlaczego do diabła... — Jan zamyślił się na chwilę, a potem wymierzył oskarżycielsko palec w stronę szwagra. — Wiedziałeś o tym Smitty, prawda? Wiedziałeś, że moja linia jest na podsłuchu i specjalnie przyszedłeś, aby mi to pokazać. Ale dlaczego?

— Powiedzmy, że coś podejrzewałem, Janie. Nie byłem jednak pewien — Thurgood-Smythe wolnym krokiem podszedł w stronę okna i wyjrzał na zewnątrz. — Moja praca opiera się na niepewnych poszlakach i podejrzaniach. Jakiś czas temu dotarło do mnie parę pogłosek, że jesteś pod dyskretną obserwacją ludzi z pewnego departamentu. Nie mogłem jednak zapytać o to wprost, bowiem bez trudu zaprzeczyliby wszystkiemu — obrócił na Jana spochmurniałą nagle twarz. — Ale teraz już wiem i z pewnością pospadają głowy. Nie pozwolę, aby jacyś twardogłowi biurokraci ingerowali w sprawy mojej rodziny. Osobiście zajmę się wszystkim i chciałbym, abyś o tym jak najprędzej zapomniał.

— Ja także bym chciał, ale obawiam się, Smitty, że nie mogę. Muszę wiedzieć, o co tu naprawdę chodzi.

— Sądzę, że chyba mogę ci to powiedzieć — rzekł Thurgood-Smythe i skinął powoli głową. — Po prostu przypadkiem znalazłeś się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. A to wystarczyło, aby cała machina poszła w ruch.

— Ale nie byłem przecież w żadnym niezwykłym miejscu — być może jedynie tam, gdzie staranował mnie statek.

— Właśnie. Tam w szpitalu nie powiedziałem ci o tym wypadku całej prawdy. Zrobię to teraz, ale ty daj mi słowo, że nic z tego, co w tej chwili usłyszysz, nie opuści nigdy ścian tego pokoju.

— Wiesz przecież, że nie musisz o to prosić.

— Przepraszam. Oczywiście, mam do ciebie pełne zaufanie. A więc o tych statkach. Na pierwszym byli kryminaliści, przemytnicy. Szmuglowali nielegalnie narkotyki. Druga jednostka była okrętem naszej Straży Granicznej. Dopadli przemytników i wysadzili ich w powietrze.

— Nielegalne narkotyki? Nawet nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje. Ale jeżeli takie wypadki rzeczywiście się zdarzają i straż z powodzeniem łapie tych ludzi — dlaczego nie mówi się o tym w wiadomościach? Przecież to bomba!

— Osobiście się z tobą zgadzam, ale inni niestety nie. Rząd uważa, że podanie tego do publicznej wiadomości zachęcałoby jedynie do dalszych prób nielegalnego przerzutu narkotyków. To sprawa polityki, dzięki której wszyscy mamy w pewien sposób związane ręce. A ty przypadkowo wpadłeś w to po uszy. Ale już nie na długo. Po prostu zapomnij o podsłuchu i o tym wszystkim, co przed chwilą słyszałeś i bądź o ósmej na kolacji.

Jan położył dłoń na ramieniu szwagra.

— Jeżeli nie potrafię wyrazić w tej chwili swojej wdzięczności to tylko dlatego, że mam kaca. Ale dziękuję. Dobrze wiedzieć, że jesteś w pobliżu. Nie rozumiałem połowy z tego, co mi powiedziałeś i wcale nie jestem przekonany, że rzeczywiście chciałbym zrozumieć.

— Bardzo rozsądne podejście. A więc do zobaczenia wieczorem.

Gdy drzwi za jego gościem zamknęły się, Jan wylał filiżankę zimnej już kawy do zlewu i poszedł do barku. Takich niejasnych sytuacji zazwyczaj starał się unikać, ale nie dzisiaj. Czy Smitty rozgrywał jakąś gierkę, czy tym razem powiedział prawdę? A może kryło się za tą historią coś więcej? Jediną rzeczą, jaką mógł w tej chwili robić to działać, jakby było tak rzeczywiście. I uważać, co mówi przez telefon.

A więc wszystko to, co Sara powiedziała mu na pokładzie tego okrętu podwodnego, okazało się być prawdą. Świat to jednak nie takie spokojne miejsce, jak mu się zawsze wydawało.

Za oknem padał śnieg i widok na Tamizę zastąpiony został drgającą, białą kurtyną. Co powinien teraz zrobić? Wiedział, że znalazł się na rozdrożu. Drogą, którą teraz wybierze, być może będzie zmuszony podążać już do końca swych dni. Dawka niespodzianek, które spotkały go w ciągu ubiegłych kilku tygodni była o wiele większym szokiem, niż wszystko, czego doświadczył przez całe swoje życie. Nauka w szkole podstawowej, egzaminy na studia, pierwsze miłości, praca dyplomowa — wszystko to było niezwykle łatwe. Brał życie takim, jakim było. Wszystkie dotychczasowe decyzje były niezwykle łatwe, ponieważ zawsze płynął z prądem. Jednak stojąca przed nim w tej chwili decyzja była niezwykle trudna — a w istocie decydująca.

Może oczywiście nic nie zrobić. Zapomnieć o wszystkim i dalej prowadzić życie takie, jak do tej pory.

Lecz prawdopodobnie nie mógłby tak postąpić. Przecież wszystko się zmieniło. Świat, w którym żył, nie był światem prawdziwym, jego spojrzenie na otaczającą go rzeczywistość także nie odpowiadało prawdzie. Izrael, przemytnicy, okręty podwodne, demokracja, niewolnictwo. Był ślepy, jak ludzie przed Kopernikiem, którzy uważali, że Słońce kręci się dookoła Ziemi. Wierzyli — nie, oni wiedzieli, że taki stan rzeczy był prawdą. Ale przecież wszyscy się mylili. On jednak znał swój świat — a jednak postrzegał go tak samo błędnie, jak oni.

Nie miał jednak najmniejszego pojęcia, dokąd to wszystko może go doprowadzić. Być może stanie w obliczu niewyobrażalnego niebezpieczeństwa — czuł jednak, że takie ryzyko musi zostać podjęte. Zawsze szczyił się niezależnością swych poglądów, zdolnością racjonalnego i pozbawionego emocji sposobu myślenia, co jak do tej pory zawsze doprowadzało go do prawdy.

A na tym świecie istnieje dużo rzeczy, o których nie ma najmniejszego pojęcia. Ale się dowie. I nawet już wiedział, jak się do tego zabrać. Było to stosunkowo proste. Co prawda zostawi za sobą parę śladów, ale jeżeli rozegra to dobrze, nigdy nie wpadną na jego trop.

Uśmiechając się pod nosem, usiadł za biurkiem i zaczął pisać program dla komputerowego złodzieja.

Rozdział 6

— Nawet nie wyobraża pan sobie jak jestem rada, że zdecydował się pan przyłączyć do naszego zespołu — powiedziała Sonia Amariglio. — Większość naszych mikroobwodów jest już tak nieprawdopodobnie stara, iż ich przeznaczeniem jest wyłącznie muzeum. Od dawna zastanawiałam się, co z tym fantem zrobić.

Była niewysoką, pulchną kobietą o lekko przyprószonych siwizną włosach, mówiącą z wyraźnym belgijskim akcentem — na przykład „ich” wymawiała „tich” — i to po latach pobytu w Londynie. Na pierwszy rzut oka przypominała przemęczoną gospodynię domową, lecz była jednocześnie uważana za najlepszego inżyniera łączności na całym świecie.

— To prawdziwa przyjemność pracować tutaj, Madame Amariglio. Lecz muszę jednocześnie przyznać, że kierujące mną motywy są bardzo egoistycznej natury.

— A więc takiego egoizmu potrzeba mi tutaj zdecydowanie więcej!

— Ale to niestety prawda. Pracuję właśnie nad zmniejszoną wersją systemu nawigacji morskiej i mam z tym pewne problemy. Szybko zdałem sobie sprawę, iż mój największy problem polega na tym, że wiem stosunkowo niewiele na temat satelitarnych obwodów elektronicznych. A więc gdy usłyszałem, że poszukuje pani inżyniera mikroobwodowego, natychmiast skorzystałem z okazji.

— Jest pan czarującym mężczyzną. Tak więc miło mi podwójnie, gdy mogę powitać pana w naszym niewielkim gronie. Możemy pójść do laboratorium natychmiast.

— Nie zechciałaby mi pani przedtem powiedzieć, na czym właściwie moja praca będzie polegać?

— Na wszystkim — odparła i rozłożyła szeroko ręce. — Na razie chcę, aby gruntownie zapoznał się pan z naszym systemem obwodów satelitarnych i samymi satelitami. Za każdym razem, gdy napotka pan jakiś problem, proszę pytać. Na razie nie będę zwracała panu głowy niczym innym. Lecz gdy pan się z tym wreszcie upora, czeka na pana mnóstwo pracy. Jeszcze będzie pan żałował, że dał się zwabić w tę pułapkę.

— Wątpię. Naprawdę cieszę się, że tu jestem.

Była to prawda. Chciał pracować w tym laboratorium, a odkrycie wejść do komputerowych programów satelitarnych może okazać się bardzo owocne w przyszłości. I nawet może się tutaj do czegoś przydać, jeżeli mikroobwody są rzeczywiście tak stare, jak mu to ostrożnie sugerowano.

Były jeszcze starsze. Pierwszy satelita, nad którym pracował, był olbrzymią, przeszło dwutonową geosynchroniczną machiną zawieszoną na niebie na wysokości 35 924 kilometrów nad powierzchnią Atlantyku. Kłopoty z nim trwały już od lat — mniej niż połowa obwodów pracowała sprawnie, a części zamienne trzeba było dorabiać ręcznie. Jan analizował diagramy systemów wymiennych, mając na jednym z ekranów wyświetlony schemat ogólny, a na drugim, większym i umieszczonym tuż przed nim — szczegółowy wykaz odpowiedzialnych za przerwy w emisji uszkodzeń. Niektóre obwody wyglądały znajomo — zbyt znajomo. Nacisnął klawisz i poprosił o wyświetlenie stosownych informacji. Trzeci ekran rozjarzył się wykazem numerów specyfikacyjnych.

— To nie do wiary! — wykrzyknął zaskoczony.

— Czy pan mnie wzywał, wasza dostojność? — laborant pchający wyładowany instrumentami wózek zatrzymał się i spojrzał w jego kierunku.

— Nie, nic się nie stało. Przepraszam. Mówię po prostu do siebie.

Mężczyzna pchnął wózek i odjechał. Jan pokiwał w zadumie głową. Te obwody widniały w książkach, z których uczył się, gdy był jeszcze w szkole — musiały mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Od tego czasu technika mikroobwodowa posunęła się już o kilka kroków do przodu. Jeżeli napotka na więcej tego typu rzeczy, to z łatwością może poprawić konstrukcję całego satelity, unowocześniając po prostu istniejące obwody. Byłoby to nudne, ale efektywne: A w dodatku dałoby mu to wystarczającą ilość czasu, by zrealizować własny projekt.

Jak na razie, wszystko układało się dobrze. Złamał większość kodów obwarowujących programy zastrzeżone komputera uniwersytetu w Oxfordzie i przesu kiwał właśnie pamięć maszyny w poszukiwaniu zastrzeżonych programów historycznych.

Komputery są równie inteligentne, co kloce drewna. Są po prostu przenośnymi maszynami do liczenia na palcach. Jednak od człowieka różnią się tym, że mają tych palców niezliczoną ilość i potrafią na nich liczyć nieprawdopodobnie szybko. Nie są w stanie myśleć same za siebie, nie potrafią także działać w sposób, który jest niezgodny z ich programem. Gdy komputer funkcjonuje jako bank pamięci, odpowie na każde pytanie, które zostanie mu zadane. Banki pamięci bibliotek publicznych są otwarte dla każdego, kto ma dostęp do terminala. Komputery w bibliotekach są bardzo pomocne. Odnajdą książkę po tytule, nazwisku autora lub nawet po treści. Dostarczą wszystkich niezbędnych informacji, aby nabywca upewnił się, iż jest to rzeczywiście pozycja, której poszukuje. Komputer w bibliotece na dany sygnał w przeciągu paru sekund przetransmituje książkę do banku pamięci w terminalu komputera osoby, która chce daną książkę otrzymać. Proste.

Lecz nawet komputer biblioteki dysponuje pewnymi ograniczeniami, jeśli chodzi o wydawanie materiałów. Jednym z tych ograniczeń jest wiek odbiorcy, oraz co się z tym wiąże, dostęp do wydawnictw pornograficznych. Kod osobisty każdego odbiorcy obok innych danych zawiera także datę urodzenia i jeżeli dziesięciolatek chciałby przeczytać na przykład Fanny Hill — spotka się z grzeczną odmową. Jeżeli będzie się upierał, szybko odkryje, że komputer jest tak zaprogramowany, aby powiadomić o tych niezdrowych zainteresowaniach jego nauczyciela.

— Jeżeli natomiast chłopiec posłuży się kodem osobistym ojca, bez większych kłopotów otrzyma piękne wydanie pożądanej książki z kolorowymi ilustracjami i bez zbędnych pytań.

Jan wiedział to wszystko. Wiedział także, jak omijać wszelkie blokady i pułapki programów zastrzeżonych. Po tygodniu pracy uzyskał dostęp do rzadko używanego terminala w Ballid Colege, wprowadził nowy kod priorytetowy i szukał materiałów, jakich potrzebował. Nawet jeżeli jego działalność zaalarmuje kogokolwiek, ślad prowadzić będzie jedynie do Ballid, gdzie takie rzeczy już się w przeszłości zdarzały. Jeżeli jednak ktoś nie pozbędzie się swych podejrzeń i będzie szukał dalej, przekona się, że obwód prowadzi okrężnie do laboratorium patologicznego w Edynburgu, a dopiero stamtąd do terminala osobistego Jana. Zresztą Jan obwarował swój program tak wieloma systemami zabezpieczającymi własnego pomysłu, które z pewnością ostrzegłyby go wystarczająco wcześniej, że ktoś podąża jego tropem, by mógł bez pośpiechu pozrywać wszystkie połączenia i pozacierać wszelkie ślady niedozwolonych manipulacji.

Dzisiejszy dzień będzie najważniejszym testem mającym wykazać, czy cała ta praca warta była włożonego w nią wysiłku. Przygotowany pieczołowicie program miał przy sobie. Była właśnie przerwa na herbatę i większość laborantów opuściła swe stanowiska pracy. Jan siedział przed czterema zapełnionymi diagramami ekranami. Rozejrzał się dookoła, aby upewnić się, że nie jest obserwowany. Z kieszeni bluzy wyjął cygaro — część jego planu zakładała powrót do palenia, które porzucił osiem lat temu — a z drugiej zapalniczkę. Przytknął płomień do końcówki cygara i już po chwili wydmuchiwał gęste kłęby dymu. Zapalniczkę położył na pulpicie przed sobą. Na srebrnej obudowie widniała pozornie przypadkowa atramentowa plamka, która w rzeczywistości została naniesiona z niezwykłą starannością.

Skasował zawartość najmniejszego ekranu tuż przed sobą, i zapytał, czy jest gotowy do przekazywania informacji. Był — co znaczyło, że zapalniczka znajduje się w prawidłowej pozycji względem przebiegających pod pulpitem przewodów. Nacisnął klawisz potwierdzenia i ekran zapłonął napisem potwierdzenia. Jego program znajdował się w komputerze. Zapalniczka powędrowała z powrotem do kieszeni, łącznie z modułem pamięci magnetycznej, który umieścił w środku, zastępując większą baterię mniejszą.

Nadszedł moment sprawdzianu. Jeżeli napisał program prawidłowo, to powinien uzyskać wszelkie potrzebne informacje nie pozostawiając żadnych śladów. Nawet jeżeli podniesiony zostanie alarm, był pewny, że nie znajdą go tak łatwo. Komputer w Edynburgu przekaże polecenie transmisji informacji do komputera w Ballid. Potem, nie czekając nawet na potwierdzenie, wykasuje ze swej pamięci cały program, łącznie z kodem, poleceniem transmisji i adresem. Natychmiast po przekazaniu niezbędnych informacji do laboratorium, komputer w Ballid zrobi to samo. A jeżeli pomimo to informacje nie zostaną przekazane, będzie to oznaczało żmudne testowanie nowych sekwencji połączeń. Ale z pewnością warto będzie popracować. Żaden wysiłek nie będzie zbyt duży, jeżeli w konsekwencji zapobiegnie jego wykryciu.

Jan strząsnął popiół z cygara do stojącej obok popielniczki i ponownie upewnił się, że nikt go nie obserwuje. Nikt zresztą nie miał ku temu powodów, ponieważ jak do tej pory jego zachowanie było najzupełniej normalne. Posługując się klawiaturą napisał na ekranie kodowe słowo IZRAEL. Wydał polecenie realizacji i nacisnął klawisz potwierdzenia.

Sekundy powoli płynęły. Pięć, dziesięć, piętnaście. Jan wiedział, że potrzeba czasu, aby dostać się do bloków pamięci, ominąć zakodowane pułapki, wyszukać potrzebne informacje, wreszcie przekazać je. Podczas testów, przeprowadzonych na nieklasyfikowanym materiale z tego samego źródła przekonał się, że realizacja całego programu za każdym razem trwała nie dłużej niż osiemnaście sekund. Tym razem miał zamiar poświęcić na to dwadzieścia sekund, lecz ani chwili dłużej. Palec Jana drżał lekko nad przyciskiem, którego naciśnięcie spowodować miało natychmiastowe przerwanie wszystkich połączeń. Osiemnaście sekund. Dziewiętnaście.

Miał już na niego nacisnąć, gdy nagle na ekranie zapłonął napis: PROGRAM ZAKOŃCZONY.

Być może udało mu się coś uzyskać — lecz równie dobrze mogła to być figa z makiem. Nie miał jednak możliwości sprawdzenia tego natychmiast. Wyrzucił wypalone do połowy cygaro do popielniczki i sięgnął po nowe. Przypalił je nad płomieniem zapalniczki, a samą zapalniczkę położył na pulpicie. Tym razem także leżała w prawidłowej pozycji.

Transfer zawartości pamięci komputera do modułu pamięciowego w zapalniczce zajął jedynie kilka sekund. Po włożeniu zapalniczki do kieszeni starannie wykasował wszelkie ślady z pamięci terminala, ponownie wyświetlił na ekranie diagram i poszedł na herbatę.

Nie chciał dzisiaj robić nic, co wykraczałoby poza jego rutynowe obowiązki, ponownie więc zajął się studiowaniem obwodów satelitarnych. Pochłonięty pracą, szybko zapomniał o zawartości zapalniczki. Pod koniec dnia opuścił laboratorium jako jeden z ostatnich. Gdy zamknął się już we własnym mieszkaniu,

obejrzał wnikliwie czujnik antywłamaniowy, który wcześniej zainstalował. Czujnik nie wykazywał jednak żadnych prób manipulowania przy zamku.

Nie zwlekając włożył wyjęty z zapalniczki moduł pamięciowy do komputera. Był tylko jeden sposób, aby przekonać się, czy jego plan zakończył się powodzeniem. Wydał dyspozycję realizacji i nacisnął klawisz potwierdzenia. A jednak udało się. Było tu wszystko, strona po stronie. Historia państwa Izrael od czasów biblijnych aż po dzień dzisiejszy. I ani słowa o fikcyjnej przynależności do enklaw ONZ. Tekst potwierdzał słowa Sary, chociaż opisywał wszystko z większą ilością szczegółów. A więc oznaczało to, że wszystko pozostałe, co mu powiedziała także było prawdą. Czyżby rzeczywiście był władcą niewolników? Aby zrozumieć, co naprawdę chciała wyrazić przez tę uwagę, będzie musiał zdobyć więcej informacji. O niewolnikach i demokracji. A tymczasem z rosnącym zainteresowaniem czytał fragment historii, który kompletnie różnił się od tego, czego nauczono go w szkole.

Lecz dane nie były kompletne. Jedno ze zdań kończyło się nagle wpół słowa. Przypadek, czy...? A może błąd w programie? To możliwe, chociaż mało prawdopodobne. Jan postanowił przyjąć to raczej jako działanie celowe i ponownie przemyśleć cały swój plan. Gdyby ominął jakiś kluczowy kod w trakcie zdobywania dostępu do tych informacji, mógłby zostać uaktywniony alarm. Przekazywana informacja zostałaby ucięta w taki właśnie sposób. I wykryta.

Jan miał wrażenie, że w pokoju zrobiło się nagle bardzo zimno. To niemożliwe, aby sztuczki Służby Bezpieczeństwa były aż tak efektywne. Ale z drugiej strony — dlaczego nie? Sam widział przecież różne elektroniczne cacka, które przynosił mu Smitty. Zastanawiał się przez chwilę nad taką możliwością, ale w końcu wzruszył ramionami i poszedł do kuchni. Wyjął obiad z zamrażalnika i włożył go do kuchenki mikrofalowej.

Po obiedzie jeszcze raz uważnie przeczytał cały uzyskany materiał. Ponownie przewinął wszystko do początku i jeszcze raz przeczytał najważniejsze fragmenty i wykasował wszystko do czysta. Podobnie postąpił z pamięcią w zapalniczce. Podał ją całą działaniu silnego pola magnetycznego, lecz nagle przyszło mu do głowy, że może to nie wystarczyć. Wyjął moduł pamięci z zapalniczki i wrzucił do pojemnika z częściami zapasowymi. Włożył na miejsce oryginalną baterię i w ten sposób wszystkie dowody zostały usunięte. Być może było to głupie, lecz odczuł po tym znaczną ulgę.

Następnego ranka, w drodze do laboratorium mijał opustoszały zazwyczaj o tej porze gmach biblioteki. Był więc nieprzyjemnie zaskoczony, gdy ktoś nagle zawołał go po imieniu:

— Ależ z ciebie ranny ptaszek, Janie.

Odwrócił się i spostrzegł szwagra, stojącego w drzwiach biblioteki i machającego do niego ostrożnie ręką.

— Smitty! Co ty tutaj, do diabła, robisz? Czyżbyś interesował się także satelitami?

— Ja interesuję się wszystkim, mój drogi. Ale o tym za chwilę. Wejdz i zamknij drzwi.

— Jesteśmy dzisiaj bardzo tajemniczy, co? Albo może przyszedłeś, aby usłyszeć o moim odkryciu, że wciąż jeszcze budujemy satelity z obwodami datującymi się z ubiegłego stulecia?

— Nie zaskoczyło mnie to.

— Ale nie po to tutaj przyszedłeś, prawda?

Thurgood-Smythe z ponurym wyrazem twarzy potrząsnął przecząco głową.

— Nie. To coś o wiele poważniejszego. W laboratorium, w którym obecnie pracujesz, miały ostatnio miejsce niepokojące wydarzenia. Nie chciałbym, abyś kręcił się w pobliżu, gdy będziemy prowadzić dochodzenie.

— Niepokojące? Czy to wszystko, co mi powiesz?

— O tym za chwilę. Elizabeth znalazła kolejną dziewczynę, która ma za zadanie zawrócić ci w głowie. Tym razem jest kompletnie łysa. Liz ma nadzieję, że być może to cię w niej pociągnie.

— Biedna Liz. Nigdy nie skończy próbować. Powiedz jej, że jestem homoseksualistą.

— Wtedy zaczniesz wynajdować ci chłopców.

— Chyba masz rację. Nie przestaje o mnie dbać od czasu śmierci matki. I nie zanoszą się na to, aby kiedykolwiek przestała.

— Przepraszam — powiedział Thurgood-Smythe, gdy umieszczony w jego kieszeni mikronadajnik ożył nagle przenikliwym brzęczeniem. Wyjął go i przez chwilę słuchał uważnie. — Dobrze — rzucił w końcu. — Przynieście taśmy i fotografie tutaj.

W sekundę później rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Thurgood-Smythe otworzył je jedynie na tyle, by wystawić przez nie rękę — Jan nawet nie dostrzegł, kto stał po drugiej stronie. Po chwili wrócił, trzymając w dłoni zaklejoną kopertę. Rozdarł ją i wyciągnął w stronę Jana kolorową fotografię.

— Znasz tego człowieka? — zapytał.

Jan skinął głową.

— Spotkałem go parokrotnie. Pracuje w zupełnie innym skrzydle laboratorium. Nawet nie znam jego nazwiska.

— Ale my znamy. I mamy go pod obserwacją.

— Dlaczego?

— Widziano go, jak używając laboratoryjnych komputerów korzystał z kanałów komercyjnych. Nagrał sobie całe przedstawienie Toski.

— A więc lubi opery. Czyżby było to przestępstwem?

— Nie, ale nielegalne kopiowanie tak.

— Czyżbyś naprawdę się przejmował tym, że opłatą za to głupstwo obciążone zostanie konto laboratorium, a nie jego?

— Masz rację. Jest jeszcze o wiele poważniejsza sprawa nieautoryzowanego dostępu do materiałów ściśle zastrzeżonych. Natrafiliśmy na ślad sygnału prowadzącego do jednego z komputerów w tym laboratorium, lecz nie mogliśmy określić dokładnie, do którego. Teraz już wiemy.

Jan nagle poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa pełzną mu lodowate igiełki strachu. Na szczęście w tej samej chwili Thurgood-Smythe skoncentrował się na wyjmowaniu papierosa z trzymanej w dłoni papierośnicy. Gdyby nie to, z pewnością nie uszłoby jego uwadze zaskoczenie, malujące się wyraźnie na twarzy Jana.

— Oczywiście nie mamy na razie przeciwko niemu prawdziwych dowodów — powiedział zatrzaszczając papierośnicę. Lecz jest wysoko na naszej liście podejrzanych i będzie pod ścisłą obserwacją. Jeden błąd i jest nasz. Dzięki.

Przypalił papierosa od trzymanej przez Jana w ręku zapalniczki i zaciągnął się głęboko.

Rozdział 7

Chociaż chodnik wzdłuż nabrzeża wymieciony był do czysta, to jednak pod ścianami domów i wokół drzew wznosiły się białe zaspę. Od ciemnej powierzchni Tamizy jaskrawą bielą odcinały się dryfujące powoli płyty kry. Jan w poszukiwaniu samotności wędrował powoli od jednej latarni do drugiej, błędząc bez celu z opuszczoną nisko głową i wbitymi w kieszenie kurtki dłońmi. Potrzebował spokoju, by uporządkować rozdygotane myśli, za panować nad emocjami, które szturmowały jego umysł niby wzbierająca zaciekle fala.

Cały dzisiejszy dzień spisać mógł właściwie na straty. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, nie mógł zmusić się do koncentracji przy wykonywanej pracy. Przeglądane diagramy nie miały żadnego sensu, tak dobrze znajome symbole stały się nagle pozbawionymi znaczenia hieroglifami, przebijał się przez nie z uporem, godnym lepszej sprawy. Godziny jednak płynęły i po zakończeniu dnia pracy miał jedynie nadzieję, że nie popełnił żadnego głupstwa. Właściwie nie miał jeszcze podstaw do obaw — wszystkie podejrzenia padły na niewłaściwego człowieka.

Aż do dzisiejszego spotkania z Thurgood-Smythe'm w bibliotece nie zdawał sobie sprawy, jaką potęgą jest w rzeczywistości Służba Bezpieczeństwa. Jan lubił swojego szwagra i pomagał mu, gdy ten go o to poprosił, zdając sobie jednocześnie niejasno sprawę, że jego praca ma coś wspólnego ze Służbą Bezpieczeństwa. Lecz to, czym ta Służba w rzeczywistości była, odbiegało dość daleko do jego pierwotnych wyobrażeń. Posuwali się stanowczo zbyt daleko poza przyjęte normy. Ale już koniec. Pomimo zimnego, północnego wiatru Jan poczuł na swej twarzy kropelki potu. Cholera, ta Służba Bezpieczeństwa była jednak dobra! Zbyt dobra. Nigdy nie oczekiwał od tych ludzi aż takiej efektywności w działaniu.

Wymagało to wiedzy i umiejętności równej jego — jeżeli nawet nie większej. Z dreszczem przerażenia zdał sobie nagle sprawę, że wszystkie zabezpieczenia w pamięci komputera istnieją wyłącznie po to, aby uniemożliwić przypadkową penetrację materiałów zastrzeżonych. Osoba, która próbuje je złamać, musi być dostatecznie do tego zdeterminowana — a ich funkcją jest utrzymanie takiej osoby w przeświadczeniu, że nie może to być łatwo zrobione. Prawdziwe niebezpieczeństwo pozostaje niewidoczne. Tajemnice państwa zawsze pozostają w sekrecie. Z chwilą, gdy rozpoczął penetrację układu w poszukiwaniu informa-

cji, pułapka zatrzasnęła się. Jego wszystkie sygnały zostały namierzone, nagrane i zlokalizowane. Wszystkie wykonane przez niego z taką pieczołowitością układy zabezpieczające spenetrowane i zneutralizowane. Ta ostatnia myśl nie była szczególnie krzepiąca. Oznaczało to, iż wszystkie linie komunikacyjne w kraju, zarówno służbowe jak i prywatne, mogą być kontrolowane przez Służbę Bezpieczeństwa. Jej władza wydawała się nieograniczona. Jej ludzie mogli podsłuchiwać każdą rozmowę, penetrować pamięć każdego komputera. Stały podsłuch wszystkich rozmów telefonicznych był oczywiście niemożliwy. Ale czy aby na pewno? Program monitorujący może być skonstruowany w ten sposób, aby wyłapywał jedynie te rozmowy, w których powtarzają się jedynie pewne słowa lub zwroty. Możliwy zakres inwigilacji był przerażający.

Dlaczego oni to wszystko robią? Zmienili już przecież historię — prawdziwe oblicze świata — i są w stanie kontrolować wszystkich jego mieszkańców. Ale kim są ci „oni”? Odpowiedź na to pytanie przyszła mu stosunkowo łatwo. Na szczycie piramidy społecznej znajdowało się bardzo niewielu ludzi, za to bardzo dużo na jej dnie. Ci ze szczytu chcieli na nim pozostać. On był także jednym z tych ze szczytu. A więc robiono wszystko, oczywiście bez jego wiedzy, aby mógł utrzymać swój status. Tak więc jedynym sposobem na zachowanie swej uprzywilejowanej pozycji było nie robienie absolutnie niczego. Powinien zapamiętać o wszystkim, co usłyszał i co odkrył, a świat i tak pozostanie ten sam.

Dla niego. Ale co z innymi. Nigdy nie zaprzętał sobie zbytnio głowy prołami. Byli wszędzie i jednocześnie nigdzie. Zawsze obecni, zawsze niewidoczni. Akceptował ich rolę w życiu tak, jak zawsze akceptował swoją — jako coś, co nigdy nie podlega zmianom. Jak to jest, gdy jest się prolem? A gdyby to on był prolem?

Jan zadrżał i podniósł wyżej kołnierz kurtki. Zaczęło robić się zimno. Ruszył w kierunku hologramu laserowego, który pobłyskiwał na otwartym przez całą noc sklepie. Szklane drzwi rozsunęły się przed nim i już po chwili znalazł się w przyjemnym ciepłe dobrze ogrzanego pomieszczenia. Powinien porobić trochę zakupów. Zajmie to przynajmniej umysł, odwróci na chwilę uwagę od natłoku chorobliwych myśli. Automat obsługowy za naciśnięciem płytki poinformował go, że jego numer serwisowy wynosi siedemnaście. Niech będzie. Jan pamiętał, że rano skończyło mu się mleko. Wystukał cyfrę siedemnaście na klawiaturze numerowej pod napisem MLEKO, a potem dodał jedynekę. Nie zapomnieć o maśle.

I cytryny, świeże i soczyste. Z dumnym słowem Jaffa wybitym na skórcie każdej z nich. Nagrzane słońcem i pachnące, pomimo panującej wkoło zimy. Po wystukaniu odpowiedniego kodu pośpieszył do kasy.

— Siedemnaście — rzucił pod adresem dziewczyny za kontuarem, która wpiśała podany numer do komputera.

— Cztery funty dziesięć szylingów, sir. Życzy pan sobie, aby dostarczone panu zakupy do domu?

Jan wręczył jej kartę kredytową i skinął głową. Włożyła ją do szczeliny w boku maszyny i po chwili wręczyła mu ją z powrotem. Jego zakupy pojawiły się ułożone elegancko w koszyku, lecz dziewczyna odesłała je z powrotem do działu dostaw.

— Paskudna pogoda — powiedział Jan. — Nieprzyjemnie zimny wiatr.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i otwierała właśnie usta, lecz napotykając na jego spojrzenie odwróciła wzrok. Słyszała jego akcent, widziała ubranie — rozmowa między nimi byłaby nietaktem. Dziewczyna doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Jan z wściekłością pchnął drzwi i wyszedł w ciemność nocy, zadowolony, że zimny wiatr przyjemnie chłodzi rozpalone policzki.

Jednak po powrocie do domu stwierdził, że wcale nie jest głodny. Zerknął tęsknie na butelkę whisky wiedząc jednocześnie, że nie zrekompensuje to solidnej kolacji. Otworzył ostatecznie butelkę piwa, puścił kwartet smyczkowy Bacha i usiadł w fotelu zastanawiając się, co u diabła robić dalej.

Ale co właściwie mógł zrobić? Jedynie własnej ignorancji i wyjątkowemu szczęściu należy przypisać fakt, iż nie został złapany podczas pierwszych prób dostania się do zastrzeżonych informacji. Z pewnością nie może próbować tego ponownie, a przynajmniej nie w taki sposób. Obozy pracy w Szkocji pełne są takich, którzy sprawili w przeszłości kłopot władzom. Przez całe życie przyjmował istnienie tych obozów jako surowy, lecz jednocześnie niezbędny środek, by usunąć z wysoko zorganizowanego społeczeństwa różnego typu wichrzycieli. To oczywiście prole byli tymi wichrzycielami. Jakakolwiek inna myśl była zupełnie nie do przyjęcia. Lecz teraz on sam może stać się jednym z nich, jeżeli zrobi coś, aby ściągnąć na siebie niepotrzebną uwagę, z pewnością zostanie ujęty. Jak zwyczajny prol. Być może jego pozycja była materialnie lepsza, niż proli — lecz był takim samym więźniem systemu, jak i oni. Jaki właściwie jest ten świat, na którym żyje? Ale jak ma się właściwie tego dowiedzieć, nie fundując sobie przy okazji podróży w góry bez prawa powrotu.

Borykał się z tym pytaniem przez najbliższych parę dni. Na szczęście ponownie zdołał odnaleźć zainteresowanie w pracy i zaczął osiągać znaczące wyniki. Natychmiast zostało to dostrzeżone.

— Nie znajduję wprost słów na wyrażenie panu należnego uznania — oświadczyła mu pewnego razu Sonia Amariglio. — To zadziwiające, jak wiele potrafił pan zdziałać w tak krótkim czasie.

— Jak na razie nie nastęczyło mi to większych kłopotów — odparł Jan, mieszając łyżeczką cukier w herbacie. Była właśnie popołudniowa przerwa i poważnie rozważał możliwość zakończenia pracy na dzisiaj. — Zasadniczo zmodyfikowałem jedynie — stare obwody. Zrobiłem także wykaz satelitów, na których niezbędna będzie naprawa bezpośrednia. Szczególnie na COMSAT 21. Dopiero wtedy będę miał pełne ręce roboty.

— Lecz z pewnością będzie pan w stanie to zrobić. Pokładam w panu nieograniczoną wiarę. Lecz przejdźmy teraz do innych, przyjemniejszych spraw. Czy jest pan wolny dziś wieczorem?

— Tak. Nie mam jeszcze żadnych planów.

— Miło mi to słyszeć. Wieczorem w ambasadzie włoskiej odbędzie się przyjęcie i pomyślałam, że z pewnością chciałby pan w nim uczestniczyć. Będzie tam parę interesujących osób, między innymi Giovanni Bruno.

— Bruno tutaj?

— Tak. Zatrzymał się tutaj w drodze do Ameryki. Ma tam cykl wykładów.

— Znam wszystkie jego prace. Jest fizykiem, który myśli jak inżynier. . .

— Najprawdopodobniej jest to największy komplement, jakim obdarzono go w życiu.

— Dziękuję za zaproszenie.

— Cała przyjemność po mojej stronie. A więc o dziewiątej.

Jan nie miał przekonania do nudnych zazwyczaj przyjęć w ambasadach, wiedział jednak, że nie powinien zachowywać się jak odludek. Być może parę chwil rozmowy z Bruno okaże się warte fatygi. Ten człowiek był prawdziwym geniuszem. To za przyczyną jego właśnie prac miała miejsce ostatnia rewolucja w blokach pamięciowych. Najprawdopodobniej jest to jedyna okazja, kiedy będzie mógł z nim porozmawiać. Musi sprawdzić, czy garnitur nie wymaga odprasowania.

Przyjęcie zapowiadało się tak, jak się tego obawiał. Jan wysiadł z taksówki o jedną przecnicę dalej od ambasady i resztę drogi przebył pieszo. Byli tu wszyscy. Cała śmietanka. Ludzie z ugruntowaną pozycją i pieniędzmi, których jedyną ambicją było, by ich wysoka pozycja w społeczeństwie nie została zachwiana. Przyszli tu jedynie po to, by widziano ich razem z Bruno, by ich twarze ukazały się obok niego na fotografiach kolumn towarzyskich w gazetach. Jan dorastał z tymi ludźmi, chodził z nimi do szkoły i wiedział o niechęci, jaką żywili jeden do drugiego. Mieli zwyczaj patrzenia z góry na jego rodzinę, która wywodziła się z kręgów typowo naukowych. Nie było sensu tłumaczyć im, że jego odległy i cieszący się wielkim poważaniem przodek, Andrzej Kulozik, wniósł ogromny wkład w pomyślny rozwój prac nad energią fuzji. Większość z obecnych na tym przyjęciu i tak nie wiedziałyby nawet, co to jest energia fuzji. Teraz Jan ponownie znalazł się w towarzystwie tych ludzi i wcale nie był tym faktem zachwycony. We frontowym hallu dostrzegł sporo mniej lub bardziej znajomych twarzy, a gdy podawał swój płaszcz lokajowi poczuł że sam także jest obiektem chłodnych i wyniosłych spojrzeń, z którymi zapoznał się jeszcze w szkole przygotowawczej.

— Jan, to naprawdę ty? — przy jego uchu rozległ się nagle głęboki głos, więc odwrócił się, aby spojrzeć na swego rozmówcę.

— Ricardo! Naprawdę cieszę się, że cię tutaj widzę.

Wymienili serdeczne uściski dłoni. Ricardo de Torres, markiz de la Rosa, był jego odległym krewnym ze strony matki. Wysoki, elegancki, czarnobrody i uprzejmy był jedynym krewnym, którego Jan kiedykolwiek poznał. Przyjaźnili się będąc razem w szkole i jak na razie przyjaźń ta przetrwała próbę czasu.

— Czyżbyś ty także przyszedł tutaj, aby złożyć wyrazy uszanowania wielkiemu człowiekowi? — zapytał Ricardo.

— Miałem taki zamiar, dopóki nie spostrzegłem tego tłumu. Nie uśmiecha mi się perspektywa stania w półgodzinnej kolejce do uściśnięcia jego dłoni i usłyszenia tych paru słów, które mruknie mi w ucho.

— Wy, wyspiarze, zawsze jesteście czarującymi impertynentami. Ale ja, jako produkt bardziej wyrafinowanej cywilizacji, z pewnością ustawię się w tej kolejce.

— Zobowiązania towarzyskie.

— Zgadłeś.

— No cóż, podczas gdy ty będziesz przestępował niecierpliwie z nogi na nogę, ja mam zamiar wyprzedzić ten tłum w wyścigu o miejsce przy barze. Słyszałem, że kuchnia tutaj jest po prostu znakomita.

— Rzeczywiście. I wiesz, nawet ci zazdroszczę. Gdy przyjdzie moja kolej, nie pozostanie już nic, za wyjątkiem przystawek i stosu ogryzionych kości.

— Mam nadzieję, że nie — odparł śmiejąc się Jan. — Spotkamy się później, jeżeli przeżyjesz to całe zamieszanie.

— Z przyjemnością.

Po przejściu do sali jadalnej Jan spostrzegł, że cały bogaty wybór potraw ma praktycznie dla siebie. Przy drugim, przykrytym lnianym obrusem stole kręciło się zaledwie parę osób. Tęgi, w białej czapie na głowie szef sali zaczął energicznie ostrzyć nóż, widząc spojrzenie, jakim Jan obrzuca jego imponującą pieczeń. Ale Jan poszedł dalej. Na pieczeń wołową może sobie pozwolić codziennie. Bardziej interesująco przedstawiała się ośmiornica z czosnkiem, ślimaki, czy pate z truflami. Nie zwlekając napełnił talerzyk rzadko spotykanymi przysmakami. Niewielkie stoliki stojące pod ścianami wciąż były puste. Usiadł przy jednym z nich zadowolony, że nie musi trzymać talerzyka na kolanie. Potrawy okazały się wyśmienite. Jednak nie zaszkodziłoby trochę wina. Tuż obok przechodziła właśnie ubrana w aksamitny strój kelnerki dziewczyna, popychając przed sobą wózek z napojami. Jan skinął w jej kierunku dłonią.

— Czerwone wino. I to duże — polecił nie odrywając wzroku od talerzyka.

— Bardolino czy Corro, wasza dostojność? — zapytała kelnerka.

— Chyba Corro... tak, Corro.

Wręczyła mu lampkę i Jan musiał unieść głowę, aby ją od niej przyjąć. Gdy spojrział jej prosto w twarz, nieomal upuścił lampkę na podłogę. Dziewczyna z uśmiechem wyjęła mu ją z dłoni i postawiła bezpiecznie na stoliku.

— Shalom — powiedziała spokojnie Sara. Ledwo dostrzegalnie przymrużyła oko, a potem odwróciła się i odeszła.

Rozdział 8

Jan wstawał już, aby się udać za nią — lecz w chwilę później opadł ponownie na krzesło. Jej obecność tutaj nie mogła być przypadkowa. Ale przecież nie była Włoszką. A może była nią? Jeżeli było tak w istocie, cała ta historia o Izraelu była w takim wypadku zwykłym kłamstwem. Jan wiedział, że ten tajemniczy okręt podwodny równie dobrze mógł być jednostką włoską. Co tu się do cholery dzieje? Jadł automatycznie, nie zwracając nawet uwagi na smak poszczególnych potraw, starając się jedynie uspokoić chaotyczną karuzelę myśli. Skończył posiłek i zanim jeszcze sala zaczęła wypełniać się tłumem podekscytowanych gości, Jan wiedział już dokładnie, co ma zrobić.

Nie może postępować w sposób wzbudzający jakiegokolwiek podejrzenia — wiedział o niebezpieczeństwie inwigilacji przez Służbę Bezpieczeństwa więcej niż ona. Jego szklanka była już pusta, a zastąpienie jej pełną z pewnością nie będzie tu poczytane za grzech. Jeżeli Sara pojawiła się tutaj, aby się z nim skontaktować, musi dać jej do zrozumienia, iż wie o tym. A jeżeli nie zechce się z nim skontaktować, ani nie przekaze mu żadnej wiadomości, będzie to oznaczało, iż jest czymś w rodzaju wrogiego agenta. Obojętnie, Włoszka, czy Izraelka, z pewnością przebywała w tym kraju nielegalnie. A może Służba Bezpieczeństwa wie już o niej i obserwuje ją nawet w tej chwili? Czy nie lepiej byłoby, gdyby zadenuncjował ją dla własnego bezpieczeństwa?

Zarzucił ten pomysł równie szybko, jak przyszedł mu on do głowy. Po prostu nie mógłby tego zrobić. Kimkolwiek by nie była, towarzyszący jej na morzu ludzie uratowali mu przecież życie. Nie tylko zresztą dlatego — nie uśmiechało mu się zbytnio wydawanie kogokolwiek w łapy ludzi, pokroju swego szwagra. A nawet gdyby to zrobił, musiałby przyznać, skąd ją zna i cała historia z okrętem podwodnym wyszłaby na jaw. Dopiero teraz zaczynał zdawać sobie sprawę, jak cienką okazała się skorupa skrywająca świat, który do tej pory nazywał normalnym. Przebił ją z chwilą, gdy został uratowany na morzu i od tej chwili pograżał się głębiej i głębiej.

W gęstniejącym szybko tłumie odnalezienie dziewczyny zajęło mu dobrych kilka minut. W końcu przepchał się w jej stronę i postawił na trzymanej przez nią tacy pustą szklankę. — Jeszcze raz Corro, proszę — powiedział, spoglądając

jej w twarz. Dziewczyna jednak uparcie unikała jego wzroku. Podała mu pełną szklanę w absolutnym milczeniu i odwróciła się natychmiast, gdy ją przyjął. A więc cóż to wszystko miało znaczyć? Jan poczuł się z niezrozumiałych względów odepchnięty. A więc silił się na te wszystkie szarady jedynie po to, aby zostać zupełnie zignorowanym! — rozmyślał ze złością i goryczą zarazem. A może było to częścią bardziej wyrafinowanego planu? Cała ta sprawa zaczęła przyprawiać go już o lekką irytację, a narastający gwar rozmów i jaskrawe światło zaowocowały dokuczliwym bólem głowy. A na dodatek w żołądku, nienawykłym do tak wyrafinowanych potraw, zaczynał odczuwać narastający ciężar. Nie było najmniejszego powodu, dla którego miałby zostawać tutaj choćby przez chwilę dłużej.

Lokaj odnalazł jego płaszcz i z lekkim ukłonem pomógł mu go na siebie założyć. Jan wyszedł na zewnątrz, zapinając po drodze ostatnie guziki i oddychając głęboko chłodnym, rześkim powietrzem. Na postoju widniał rząd jasno oświetlonych taksówek, więc skinął w stronę portiera, by przywołał jedną z nich. Zaczynało mu być zimno w ręce, nałożył więc jedną rękawiczkę, wsunął dłoń w drugą — i zatrzymał się.

We wskazującym palcu rękawiczki znajdowało się coś, co przypominało zwiniętą w kulkę kartkę papieru. Był zupełnie pewny, że nie było jej tam, gdy opuszczał mieszkanie. Przez chwilę wahał się, a potem zdecydowanym ruchem naciągnął rękawiczkę do końca. Nie było to ani odpowiednie miejsce, ani czas, by sprawdzić, co to właściwie jest. Taksówka zatrzymała się tuż przed nim. Kierowca otworzył przed nim drzwi i zasalutował.

— Monument Court — polecił Jan wsiadając do ciepłego wnętrza.

Gdy zajechali na miejsce, z portierni wybiegł nocny strażnik i ponownie otworzył drzwi taksówki.

— Zimną mamy dziś noc, inżynierze Kulozik.

Nie odpowiadając ani słowa, skinął krótko głową. Nie był w nastroju do bez troskich pogaduszek. Szybko przeszedł przez hali i wsiał do windy, nie dostrzegając nawet operatora, który wioził go na jego piętro. Naturalnie. Przez cały czas musi zachowywać się naturalnie. Zainstalowany przy drzwiach alarm nie wykazywał niczego podejrzanego — najwidoczniej nikt nie usiłował się dostać do tego pomieszczenia pod nieobecność gospodarza. Lub też, jeżeli próbował, nie pozostawił przy tym żadnych śladów. Przyjął pierwszą możliwość z pewną fatalistyczną akceptacją i wytrząsnął z rękawiczki zwinięty kawałek papieru na stolik.

Po rozwinięciu zorientował się, że trzyma w ręku rachunek z kasy rejestrującej, opiewający na sumę dziewięćdziesięciu czterech pensów. Godzina i data wskazywały, że zakupów dokonano trzy dni temu. Firma, która wystawiła ten rachunek nosiła nazwę SMITHFIELD JOLYON. Jan nigdy o czymś takim nie słyszał.

Czyżby ten zwitek papieru pojawił się w jego rękawiczce przypadkowo? Nie, to nie mógł być przypadek — nie tego samego wieczoru i w tym samym miejscu,

w którym spotkał Sarę. To musiała być jakaś wiadomość. I to w dodatku taka, która byłaby zupełnie niezrozumiała dla osoby postronnej, gdyby przypadkowo dostała ją w swoje ręce. Rachunek z kasy, przecież każdy mógł mieć coś takiego przy sobie. Dla niego też byłoby to bez znaczenia, gdyby nie spotkał Sary na przyjęciu. A więc była to pewnego rodzaju wiadomość — ale właściwie jaka, do diabła?

Z książki telefonicznej dowiedział się, iż Smithfield Jolyon była siecią automatycznych restauracji. Nic słyszał o nich, ponieważ znajdowały się w miejscach, do których nigdy nie uczęszczał. Restauracja, z której rachunek trzymał właśnie w ręku znajdowała się całkiem niedaleko, w dokach. Ale co robić dalej?

Może powinien pójść tam natychmiast? Była pierwsza w nocy. Oczywiście, że natychmiast. Tylko głupiec nie zrozumiałby prostoty przekazu zawartego na tym świstku papieru. Lecz równie dobrze może wyjść na głupca idąc tam. Jeżeli nie pójdzie, to co się właściwie stanie? Kolejna próba nawiązania kontaktu? Prawdopodobnie nie. To mrugnięcie okiem posłane mu przez Sarę mogło przecież nie oznaczać niczego.

Podjmując nagłą decyzję zaczął się zastanawiać, jakie powinien włożyć ubranie, udając się na wyznaczone w tak dziwnym miejscu spotkanie. Najlepiej jakiś ciemny płaszcz i buty, których używał tylko do prac na świeżym powietrzu. Nie będzie wyglądał jak typowy prol — nie był pewny, czy ma właściwie na to ochotę — ale ubiór taki wydawał się najlepszym kompromisem.

Za piętnaście pierwsza zaparkował swój samochód na jasno oświetlonej sekcji Highway i resztę drogi przebył pieszo. Zamknięte ślepyimi ścianami domów towarowych ulice, którymi szedł nie były już tak jasno oświetlone. Czerwony neon na dachu restauracji widoczny był z daleka. Zbliżała się pierwsza. Starając się nie okazywać wahania, Jan wolnym krokiem podszedł do drzwi, otworzył je i wszedł do środka.

Restauracja nie była duża. Jeden, jaskrawo oświetlony pokój zastawiony czterema rzędami stolików. Nie była także zatłoczona; tu i tam widniało paru pojedynczych osobników, a jedynie przy dwóch stolikach siedziały niewielkie grupki gości. Powietrze wewnątrz było rozgrzane i pachniało silnie środkiem antyseptycznym i tanim tytoniem. Pod przeciwległą ścianą Jan dostrzegł dwumetrową postać mechanicznego kucharza, którego plastikowy korpus pokryty był luszczącą się pomarańczową farbą.

Gdy Jan podszedł bliżej, jedno z ramion podniosło się i opadło w niepewnym geście powitania, a komputerowy głos wydukał:

— Dobry wieczór... pani. Co podać na śniadanie?

Jan parsknął. Obwody robota były kompletnie zdezelowane. Nagle ekran umieszczony na brzuchu kucharza zajarzył się, wyświetlając listę potraw. Niezbyt apetyczna lokalizacja, pomyślał Jan. Przesunął wzrokiem po spisie ofero-

wanych potraw — równie nieapetycznych — dotknął w końcu płonącego jasno słowa HERBATA. Ekran zgasł.

— Czy to już wszystko... sir? — za drugim razem robot trafił prawidłowo. Miał także rację — powinien coś zamówić, nawet gdyby nie miał tego jeść, aby sprawiać wrażenie absolutnej normalności. Dotknął napisu ZAPIEKANKA.

— Mam nadzieję, że posiłek będzie panu smakował. Cena wynosi... czterdzieści pensów. Jolyon zawsze do usług.

Gdy Jan włożył monety do szczeliny w boku robota, srebrna kopuła zamontowanego w ścianie urządzenia realizującego uniosła się, ukazując zamówienie. A raczej podniosła się tylko do połowy i zatrzymała się, brzęcząc i wibrując. Jan silnym pchnięciem otworzył ją i wyjął z wnętrza tackę z filiżanką, talerzykiem i rachunkiem. Następnie odwrócił się i obrzucił wnętrze restauracji uważnym spojrzeniem.

Sary tutaj nie było. Spostrzeżenie tego zajęło mu dobrą chwilę, ponieważ z wyjątkiem paru grupek skupionych dookoła stolików, wszystkimi samotnymi klientami okazały się wyłącznie kobiety. Młode kobiety. A w dodatku większość z nich spoglądała w jego kierunku. Szybko opuścił wzrok i zajął miejsce przy stoliku usytuowanym w końcu sali. Pośrodku stolika zamontowany był automatyczny dozownik, który działał z różnym powodzeniem. Za naciśnięciem odpowiedniego kurka przy dyszy cukru wysypało się zaledwie parę okruchów, zaś musztarda wystrzeliła entuzjastycznie daleko poza podstawioną zapiekankę. Zresztą i tak nie miał zamiaru tego jeść. Pociągnął łyk herbaty i ponownie rozejrzał się dookoła. Sara wchodziła właśnie przez drzwi.

Początkowo nawet jej nie poznał — twarz dziewczyny pokrywał jaskrawy makijaż i miała na sobie jakieś nieprawdopodobne odzienie. Była to biała imitacja futra, napuszona i stercząca kłakami we wszystkich kierunkach. Nie chciał przysłuchać się jej zbyt natarczywie, skoncentrował więc uwagę na talerzyku i automatycznym ruchem odgryzł kęs zapiekanki, czego prawie natychmiast pożałował. Szybko splukał nieprzyjemny smak potężnym łykiem herbaty.

— Czy mogłabym się przysiąść?

Stała naprzeciwko niego, trzymając w obu dłoniach tacę. Nie położyła jej jednak na stoliku. Jan skinął krótko głową, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć w tak dziwnych okolicznościach. Dziewczyna przyjęła jego skinienie jako akceptację i postawiła tacę z filiżanką kawy na blacie stołu, a potem usiadła. Jej twarz, z grubo umalowanymi wargami i obwiedzionymi zielonym tuszem oczyma przypominała pozbawioną wyrazu maskę. Podniosła filiżankę do ust, odstawiła i rozchyliła lekko futerko.

Pod spodem nie miała żadnej bielizny. Zanim ponownie zgarnęła poły futerka, Jan przez króciutką chwilę spoglądał na jej pełne, sprężyste piersi.

— Dobra pora na odrobinę zabawy, prawda, wasza dostojność?

A więc to po to siedziały tu te wszystkie młode dziewczyny. Jan słyszał już o takich miejscach, jego szkolni koledzy często je odwiedzali. Lecz on znalazł się tutaj po raz pierwszy i nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

— Spodoba się to panu — nalegała. — I w dodatku niedrogo.

— Tak, to chyba niezły pomysł — wykrztusił w końcu. Wspomnienie młodej, zdeterminowanej kobiety z okrętu podwodnego w tak niezwykłym miejscu sprawiło, że nieomal parsknął śmiechem. Opanował się jednak, przybierając obojętny wyraz twarzy. Zastosowany przez dziewczynę fortel był dobry i cała ta sytuacja nie była wcale zabawna. Sara nie odzywała się już ani słowem — najwidoczniej rozmowa nie była w takich miejscach usługą oferowaną zbyt często. Gdy zabrała swoją tacę i wstała, Jan podniósł się także.

Umieszczona nad stolikiem lampka natychmiast zaczęła pulsować, a brzęczyk rozdzwijał się alarmująco. Twarze siedzących najbliżej ludzi odwróciły się w ich kierunku.

— Zabierz tacę — poleciła ostrym szeptem Sara.

Jan zastosował się do polecenia i sygnał alarmowy wyłączył się. Powinien domyślić się, że nikt nie będzie po nim sprzątał w zautomatyzowanej w pełni restauracji. Za jej przykładem wsunął tacę w szczelinę przy drzwiach i wyszedł za nią w mrok nocy.

— To niedaleko, wasza dostojność — powiedziała Sara idąc szybkim krokiem wzdłuż ciemnej ulicy. Jan zmuszony był przyspieszyć, by dotrzymać jej tempa. Przez całą drogę aż do brudnego, obdrapanego budynku, położonego niedaleko Tamizy, dziewczyna nie wypowiedziała ani słowa. W końcu otworzyła drzwi, gestem zaprosiła go do środka i zaprowadziła do swego pokoju. Gdy zapaliła światło, położyła palec na wargach nakazując mu, by był cicho. Rozluźniła się dopiero po zamknięciu drzwi i uważnym obejrzeniu wszystkich okien.

— Miło mi cię widzieć ponownie, Janie Kulozik — powiedziała z ciepłym uśmiechem.

— Mnie także, Saro. Jednak nasze drugie spotkanie różni się trochę od pierwszego.

— Rzeczywiście, wydaje się, że zawsze spotykamy się w dość osobliwych okolicznościach — lecz żyjemy w osobliwych czasach, Janie. Przepraszam cię na chwilę. Muszę się pozbyć tego niewygodnego przebrania. Jest to jednak jedyny bezpieczny sposób, w jaki dziewczyna z moją prezencją może zbliżyć się do mężczyzny z twojej klasy. Policja na szczęście przymyka na to oko. Lecz dla kobiety jest to po prostu wstrętne, absolutnie upokarzające.

W chwilę później zjawiła się ubrana w ciepły szlafroczek.

— Może chciałbyś wypić filiżankę prawdziwej herbaty? Jest o niebo lepsza, niż te pomyje, którymi uraczono nas podczas naszej randki.

— Wolałbym coś mocniejszego, jeżeli masz.

— Mam trochę włoskiej brandy. Słodka, ale zawiera alkohol.

- A więc poproszę.
Nalała obojgu i usiadła obok niego na kanapie.
- To nie był przypadek, że spotkałem cię na tym przyjęciu w ambasadzie, prawda?
- Oczywiście, że nie. Nasze spotkanie zostało starannie zaplanowane. Pochłonęło to wiele czasu i środków.
- Ale ty nie jesteś przecież Włoszką, prawda?
- Nie, nie jestem. Ale często posługujemy się Włochami, jeżeli zachodzi taka konieczność. Ich urzędnicy niższego szczebla są bardzo mało efektywni i podatni na łapówki. Są naszym najlepszym kanałem poza granicami waszego kraju.
- Dlaczego naraziłaś się na takie ryzyko, próbując się ze mną skontaktować?
- Ponieważ wiele myślałaś nad tym wszystkim, czego dowiedziałaś się na pokładzie naszego okrętu. A także działałaś. I niemal wpakowałaś się przy tym w poważne tarapaty.
- Tarapaty? Co masz na myśli?
- Ten komputer w twoim laboratorium. Schwytali nieprawidłowego człowieka, nieprawda? To przecież ty włamałaś się do pamięci z programami zastrzeżonymi.
- Skąd o tym właściwie wiecie — w głosie Jana brzmiało wyraźne zaskoczenie. — Obserwujecie mnie?
- Przez cały czas. A nie jest to łatwe. Dużo wysiłku kosztowało nas upewnienie się, że to ty byłeś w to wszystko zamieszany. Dlatego właśnie zdecydowano, abym nawiązała z tobą kontakt. Zanim nie zrobisz czegoś, czego mógłbyś potem żałować.
- Pochlebia mi wasze zainteresowanie moją skromną osobą. W dodatku tak daleko od Izraela.
- Sara przysunęła się bliżej i ujęła jego rękę w obie dłonie.
- Rozumiem dlaczego jesteś zły — i nawet nie mogę cię o to winić. Ta cała sytuacja powstała na skutek zupełnego przypadku — ale ty byłeś tą osobą, która ten przypadek zainicjowała.
- Puściła jego rękę i odsunęła się, popijając wolno swojego drinka. Jan ze zdziwieniem spostrzegł, że ten krótki, ciepły dotyk jej dłoni uspokoił go.
- Gdy dostrzeżliśmy was wtedy w wodzie, w mesie wybuchła gwałtowna debata, co z wami zrobić. Gdy oryginalny plan zawiódł, postanowiliśmy pójść z tobą na kompromis. Podaliśmy ci takie informacje, że gdybyś wyjawiał którąkolwiek z nich, znalazłbyś się w takim samym niebezpieczeństwie, jak my.
- A więc to nie przypadkowo rozmawiałaś ze mną w taki właśnie sposób?
- Nie. Przepraszam, iż myślałaś, że cię oszukujemy, ale była to gra o nasze własne przetrwanie. Jestem oficerem Sił Bezpieczeństwa, a więc musiałam to zrobić...
- Bezpieczeństwa! Jak Thurgood-Smythe?

— Niezupełnie tak, jak twój szwagier. Nasza rola jest właściwie zupełnie inna. Lecz teraz pozwól, abym ci wyjaśniła kilka faktów. Uratowaliśmy cię i tę dziewczynę, ponieważ potrzebowaliście pomocy. To wszystko. Lecz skoro już to zrobiliśmy, musieliśmy się upewnić, że nic nikomu nie powiesz. Nie uczyniłeś tego i za to jesteśmy wdzięczni.

— Byliście tak bardzo wdzięczni, że przez cały ten czas musieliście mieć mnie na oku?

— To zupełnie inna sprawa. My ocaliliśmy ci życie, ty nie zdradziłeś nikomu faktu naszego istnienia. Te dwa fakty znoszą się wzajemnie, pozostawiając tym samym całą tę sprawę zakończoną.

— Ta sprawa nigdy nie zostanie zakończona. To małe ziarno niepewności, które sama zasiałaś, od tej pory bezustannie rośnie.

Sara rozłożyła szeroko ręce w starożytnym geście oznaczającym dłoń Losu, rezygnację — a jednak zawierający w tym wypadku także element ostrożnego optymizmu.

— Napijmy się jeszcze trochę. To przynajmniej rozgrzewa — wychyliła się i sięgnęła po butelkę. — Podczas obserwowania cię stopniowo odkrywaliśmy kim jesteś, czym się zajmujesz. Gdybyś powrócił do swego normalnego życia, nigdy więcej byś o nas nic usłyszał. Ty jednak zrobiłeś coś innego. I to jest właśnie powodem, dla którego tu dzisiaj jestem.

— A więc witamy w Londynie. Czego ode mnie chcecie?

— Potrzebujemy twojej pomocy. To znaczy twojej technicznej pomocy.

— Co oferujecie w zamian?

— Cały świat — uśmiechnęła się Sara. — Będziemy szczęśliwi mogąc opowiedzieć ci prawdziwą historię świata, to wszystko, co naprawdę wydarzyło się w przeszłości i co dzieje się dzisiaj. Opowiemy ci o rozsiewanych powszechnie kłamstwach i o dławieniu wszelkich form sprzeciwu. To fascynująca historia, Janie. Czy chcesz ją usłyszeć?

— Jeszcze nie wiem. A co stanie się ze mną, gdy dam się w to wszystko wciągnąć?

— Staniesz się ważną częścią międzynarodowego ruchu konspiracyjnego, którego celem jest obalenie istniejącej na świecie formy rządów i przywrócenie równych zasad demokracji tym, którzy byli pozbawieni jej od wieków.

— Tylko tyle?

Równocześnie wybuchnęli śmiechem. To wszystko było tak nieprawdopodobne...

— Namyśl się dobrze, zanim odpowiesz — powiedziała w końcu Sara. — Działalność tego typu związana jest z wieloma niebezpieczeństwami.

— Sądzę, że podjąłem już decyzję kłamiąc po raz pierwszy Służbie Bezpieczeństwa. Zabrnąłem już zbyt daleko, a wiem jednak tak mało. Muszę wiedzieć wszystko.

— A więc dowiesz się. Dziś wieczorem — podeszła do okna, odciągnęła zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Po chwili zaciągnęła je ponownie i usiadła.

— John będzie tu za parę minut i odpowie na wszystkie twoje pytania. Zorganizowanie tego spotkania nastęczyło ogromnych trudności. Moja rola polegała na zawiadomieniu ich, że się zgadzasz. John to oczywiście nie jest jego prawdziwe imię. Z tego samego powodu będziesz nosił imię Bili. John będzie nosił jedną z tych rzeczy. Naciągnij to po prostu przez głowę — powiedziała, wręczając mu miękki, podobny do maski przedmiot.

— A cóż to takiego?

— Ta maska zmieni rysy twojej twarzy. Nos stanie się dłuższy, policzki pełniejsze, tego typu rzeczy. A ciemne okulary ukryją oczy. Gdyby zdarzyło się najgorsze, w ten sposób nie będziesz mógł Johna zidentyfikować — a on nie będzie mógł wydać ciebie.

— Ale ty mnie znasz. Co będzie, jak złapią ciebie?

Zanim Sara zdołała odpowiedzieć, radio odezwało się nagle czterema urywanymi sygnałami. Jan drgnął i spojrzał na nią z wyraźnym zaskoczeniem w oczach.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi, wyrwała mu z dłoni maskę i pobiegła do drugiego pokoju.

— Zdejmij marynarkę i rozepnij koszulę — rzuciła jeszcze przez ramię. Wróciła po chwili przyodziana w przeźroczysty, czarny negligé. W tym samym momencie rozległo się stanowcze pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytała zbliżając usta do kratki wideofonu.

— Policja — padła krótka, szorstka odpowiedź.

Rozdział 9

Po otwarciu drzwi przebrany w uniform bojowy policjant odepchnął Sarę na bok i zdecydowanym krokiem podszedł w stronę Jana, który siedział w fotelu dzierżąc w dłoni napelnioną do połowy szklaneczkę. Policjant miał na głowie hełm z opuszczoną przyłbicą, używany powszechnie do walk z tłumem. Zatrzymał się tuż przed Janem, obrzucając go uważnym spojrzeniem, podczas gdy palce jego prawej dłoni pozostały w bezpośredniej bliskości kolby dużego pistoletu automatycznego, zawieszono go arogancko nisko na biodrze.

Jan wiedział, że nie może okazać żadnych oznak niepokoju. Wolnym ruchem podniósł do ust szklaneczkę.

— Co wy tutaj robicie? — warknął.

— Proszę o wybaczenie, wasza dostojność. To rutynowa kontrola — powiedział policjant zduszonym przez przyłbicę głosem. Podniósł ją w górę. Spojrzenie, którym obrzucił Jana nie wyrażało niczego. — Otrzymaliśmy kilka skarg od obywateli, że zostali okradzeni przez te prostytutki i ich obstawę. Nie możemy sobie pozwolić na coś takiego w naszym spokojnym Londynie. Wszystkie dziewczynki mamy jak na razie na oku, ale ta najwidoczniej jest tutaj nowa. Włoszka, prawdopodobnie na pobycie czasowym. W zasadzie pozwalamy takim dorabiać na boku, pod warunkiem, że nie sprawiają żadnych kłopotów. Wszystko w porządku, sir?

— Oczywiście — aż do waszego najścia.

— Rozumiem pana. Ale proszę nie zapominać, że jest to jednak nielegalne, wasza dostojność — uprzejme słowa policjanta podszyte były stałą. — Robimy wszystko dla pańskiego dobra. Czy był pan już w innych pokojach, sir?

— Jeszcze nie.

— A więc rozejrzę się trochę. Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć pod łóżkiem.

Jan i Sara spoglądali na siebie w milczeniu, podczas gdy policjant wolnym krokiem sprawdzał pozostałe pomieszczenia. W końcu pojawił się ponownie.

— Wszystko w porządku, wasza dostojność. Życzę przyjemnej zabawy. Dobranoc.

Gdy policjant w końcu wyszedł, Jan spostrzegł, że cały się trzęsie z wściekłości. Uniósł zaciśniętą pięść w stronę drzwi i miał już coś powiedzieć, gdy Sara potrząsnęła przecząco głową i położyła palec na wargach.

— Oni robią to bardzo często, wasza dostojność. Włamują się w środku nocy i sprawiają tylko kłopoty. Ale oni wszyscy kłamią. A teraz się trochę zabawimy i wkrótce pan o wszystkim zapomni. — Mówiąc to przytuliła się do niego mocno. Bezpośrednia bliskość jej ciepłego, pachnącego ciała sprawiła, iż złość zaczęła go opuszczać.

— Proszę wypić jeszcze jednego drinka — szepnęła wstając i podeszła w stronę stolika. Trzymając szklankę w lewej dłoni dzwoniła nią lekko o szyjkę butelki, podczas gdy prawą szybko skreśliła parę słów na leżącej obok kartce papieru. Jan zmarszczył brwi, gdy wyciągnęła ją w jego kierunku zamiast ponownego drinka. Przebiegł wzrokiem tekst:

W drugim pokoju może być założony podsłuch.

Udawaj złość i wyjdź.

— Nie jestem pewny, czy chcę jeszcze jednego drinka. I nie przepadam za wizytami policjantów o tak późnej porze. W przeciwieństwie do ciebie nie jestem do tego przyzwyczajony.

— Ale to nie znaczy. . .

— Dla mnie znaczy bardzo dużo. Przynieś mój płaszcz. Wynoszę się stąd.

— Ale pieniądze? Przecież pan obiecał. . .

— Mogę ci zapłacić dwa funty za te paskudne drinki. To wszystko.

Gdy podawała mu płaszcz, Jan poczuł, jak do jego dłoni wędruje kolejna kartka papieru. „Skontaktujemy się z tobą”, przeczytał. Podniósł wzrok na dziewczynę. Sara uśmiechnęła się promiennie i zanim otworzyła drzwi, pocałowała go leciutko w policzek.

Minął przeszło tydzień, nim skontaktowano się z nim ponownie. Całą uwagę skoncentrować mógł znów wyłącznie na laboratorium, jego praca zaczęła owocować coraz lepszymi efektami. Chociaż był wciąż w niebezpieczeństwie, które prawdopodobnie zwiększyło się jeszcze z racji kontaktów z tą tajemniczą organizacją, to jednak czuł się odprężony. Mniej samotny. To było najważniejsze. Przed tym krótkim spotkaniem z Sarą nie miał nikogo, z kim mógłby swobodnie porozmawiać, zwierzyć się ze wszystkich dokonanych przez siebie odkryć. Lecz ta przymusowa samotność już wkrótce się skończy, nie miał bowiem żadnych wątpliwości, że już ponownie spotka się z Sarą lub jej przyjaciółmi.

Od paru tygodni weszło mu w nawyk odwiedzanie po pracy położonego tuż obok laboratorium baru, gdzie wypijał jednego lub dwa szybkie drinki przed udaniem się do domu. Odkrył tam tęgiego, przyjacielskiego barmana, który był niezrównanym mistrzem w sporządzaniu oryginalnych w smaku koktajli. Wydawało

się, że repertuar jego umiejętności w tej dziedzinie nie ma końca i Jan z przyjemnością próbował jedną szatańską mieszankę po drugiej.

— Brian, jak nazywało się to coś gorzko-słodkiego, które podałeś mi parę dni temu?

— Koktajl negroni, wasza dostojność. Specjalność Włoch. Podać panu jeden?

— Tak, poproszę. Znakomicie odpręża. Będziesz mi musiał zdradzić sekret jego przyrządzenia.

W chwilę później, gdy Jan popijał drobnymi łyżkami napój i błądził myślami dookoła mikroobwodów komórek baterii słonecznych, ktoś zajął miejsce tuż obok niego przy barze. Kobieta, przemknęło mu przez głowę, gdy drogie futro z norek musnęło go delikatnie w policzek. Głos, który usłyszał w chwilę potem wydał mu się dziwnie znajomy.

— To przecież Jan! Jan Kulozik, prawda?

Była to Sara, lecz bardzo inna Sara. Jej makijaż, i strój był tej samej klasy, co futro — nie wyłączając nawet akcentu.

— Hallo! — zdobył się na jedyną odpowiedź, jaka przyszła mu w tej chwili do głowy. Pomyślał, że ta dziewczyna jest źródłem wiecznych niespodzianek.

— Byłam pewna, że to właśnie ty, chociaż założę się, że wcale mnie nie pamiętasz. Jestem Cynthia Barton, spotkaliśmy się na przyjęciu parę tygodni temu, pamiętasz? Cokolwiek pijesz, bądź dobrym chłopcem i zamów mi to także, dobrze?

— Miło cię znowu zobaczyć.

— Też tak uważam. Hmm, ten napój jest znakomity, dokładnie to, co zalecił mi lekarz. Lecz czy nie uważasz, że jest tutaj bardzo głośno? Ci wszyscy ludzie i w ogóle. Wypijmy to i chodźmy do ciebie. Pamiętam, iż bardzo usilnie namawiałeś mnie do obejrzenia obrazu, który masz u siebie na ścianie. Tam na przyjęciu sądziłam, że chcesz się po prostu do mnie dobrać, ale teraz sama już nie wiem. Jesteś tak poważnym facetem, że być może rzeczywiście masz jakiś obraz i niewiele ryzykuję idąc go obejrzeć, co?

Potok słów nie przestawał płynąć nawet w taksówce, ale Jan na szczęście szybko zdał sobie sprawę, że wcale nie musi tego słuchać. Dziewczyna przestała mówić dopiero wtedy, gdy zamknęły się za nimi drzwi do jego apartamentu. Spojrzała na niego z pytaniem w oczach.

— Nie ma pani powodów do niepokoju — powiedział z uśmiechem. — Zainstalowałam tu sporo różnego typu obwodów alarmowych, które szybciotko powiadzą nam, jeżeli coś będzie nie w porządku. Czy mogę zapytać, kim naprawdę jest Cynthia Barton?

Sara rzuciła futro na kanapę i z ciekawością rozejrzała się po wnętrzu pokoju.

— Ktoś, kto wygląda niemal identycznie, jak ja. Nie jest moim dokładnym duplikatem, lecz ma zbliżoną figurę i takie same włosy. Gdy wyjeżdża — w tym tygodniu jest w swoim wiejskim domku w Yorkshire — podszywam się po prostu

pod jej osobę, co pozwala mi na swobodne poruszanie się w pewnych określonych kręgach. A moja karta identyfikacyjna jest na tyle dobra, że przejdzie pomyślnie wszystkie kontrole.

— Miło mi to słyszeć. Naprawdę cieszę się, że cię znowu widzę, Saro.

— Uczucie to jest w pełni odwzajemnione, ponieważ od naszego ostatniego spotkania zaszło parę gwałtownych zmian.

— Jakich, na przykład.

— Powiem ci o tym za chwilę, w szerszym kontekście. Chciałabym, abyś na początku miał pełen obraz całej sytuacji. Człowiek, którego miałeś spotkać poprzednio, o fikcyjnym imieniu John, w tej chwili jest w drodze tutaj. Ja zjawiłam się, aby cię o tym powiadomić i odpowiednio przygotować. Ciekawe pomieszczenie — dodała, zmieniając gwałtownie temat.

— Niestety nie jest to moją zasługą. Gdy kupowałem to mieszkanie, żyłem z dziewczyną, która miała aspiracje bycia dekoratorką wnętrz. Z moimi pieniędzmi i jej talentem powstało to, co właśnie oglądasz.

— Dlaczego powiedziałaś: „aspiracje”?

— No cóż, wydaje mi się, że to nie jest typowo kobieca dziedzina.

— Męska, szowinistyczna świnia.

— A to co znowu? Nie zabrzmiało to jak komplement.

— Bo wcale nie miało nim być. To archaiczny termin wyrażający pogardę — i jednocześnie przepraszam cię za to. To nie twoja wina. Wyrastałeś przecież w zorientowanym na mężczyzn społeczeństwie, w którym kobiety wciąż jeszcze traktuje się jako obywateli drugiej kategorii... — na nagły brzęczyk sygnału urwała i uniosła pytająco brwi.

— To u drzwi — odpowiedział na jej nieme pytanie. — Czyżby to był John?

— Chyba tak. Otrzymał klucz od garażu w tym budynku i miał przyjść bezpośrednio pod twój numer pokoju. Wie jedynie, że to miejsce jest bezpieczne, nie ma sensu wtajemniczać go, że tu mieszkasz. Wiem, że nie jest to zbyt szczęśliwie rozwiązane, ale działaliśmy w pośpiechu. John nie jest aktywnym członkiem naszej organizacji i nie utrzymujemy z nim stałych kontaktów, w przeciwieństwie do naszych kurierów. Załóż lepiej to — wręczyła mu wyjętą z torebki maskę. — I nie zapomnij o ciemnych okularach. Pójdę go wpuścić.

Gdy w łazience Jan naciągnął maskę przez głowę, efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Z lustra spoglądał na niego zupełnie obcy mężczyzna. Jeżeli nie potrafił rozpoznać nawet samego siebie, to nigdy nie będzie w stanie rozpoznać mężczyzny, którego Sara nazywała Johnem. Jeżeli on także nosił taką maskę, oczywiście.

Gdy wrócił do pokoju, Sara rozmawiała właśnie z niskim, tęgim mężczyzną. Chociaż zdjął płaszcz, wciąż miał na sobie kapelusz i rękawiczki. Włosy i dłonie były niewidoczne. Sara nie była w przebraniu, co oznaczało, że jej tożsamość jest znana im obydwum.

— John — powiedziała bez żadnych wstępów. — To jest Bili. Człowiek, który chce zadać ci kilka pytań.

— A więc jestem na twoje usługi, Bili — głos był melodyjny, starannie akcentowany. Z pewnością był to głos osoby wykształconej. — A więc co chcesz wiedzieć?

— Nie wiem właściwie, od czego zacząć, o co pytać. Wiem parę rzeczy o Izraelu, które różnią się od tekstów oficjalnych — lecz sądzę, że na tym kończy się moja wiedza. Cała reszta pochodzi jeszcze z czasów szkolnych.

— No cóż, zawsze to jakiś początek. Masz wątpliwości i przekonałeś się, iż świat nie jest dokładnie takim jak cię tego uczono. A więc nie muszę marnować czasu namawiając cię, abyś spróbował rozejrzeć się dookoła. Czy mogę usiąść?

John usadowił się wygodnie w fotelu i skrzyżował wyciągnięte nogi. Gdy mówił, znaczenie niektórych słów podkreślał podniesionym w górę palcem. To oczywiście, iż był pewnego rodzaju naukowcem. Najprawdopodobniej historykiem.

— A więc cofnijmy się do końca dwudziestego wieku i przyjrzyjmy się bliżej wydarzeniom, które miały wtedy miejsce. Niech twój umysł stanie się czystą kartą i nie przerywaj mi co chwila pytaniami. Przyjdzie na nie czas później. Świat roku dwutysięcznego zbliżony był do tego, czego uczyłeś się na wykładach historii. Oczywiście fizycznie, ponieważ formy ówczesnych rządów różniły się znacznie od tego, co ci mówiono. W czasach, o których mówimy, istniało jeszcze na świecie parę stopni osobistej wolności, zależnej od formy rządów, wahających się od w pełni liberalnych do skrajnie represyjnych. Wszystko to zmieniło się jednak bardzo szybko. I to Uzurpatorzy ponoszą za to wszystko winę, tak jak się tego uczyłeś. To przynajmniej jest prawdą — zakaszał gwałtownie. — Kochanie, czy mogłabyś mi podać szklankę wody?

Sara zniknęła na chwilę w kuchni i pojawiła się ze szklanką. Mężczyzna upił łyk wody i kontynuował:

— Żaden z uzurpatorskich przywódców świata, ani nikt z ówczesnych rządów nie zdawał sobie tak naprawdę sprawy z wyczerpywania się zasobów naturalnych Ziemi, dopóki nie było już za późno. Ekspansja populacyjna dawno przekroczyła wszelkie rozsądne granice, a złoża ropy naftowej i gazu skończyły się. Obawiano się powszechnie wybuchu wojny jądrowej, która mogłaby zniszczyć cały świat, lecz na szczęście strach nie przełamał resztek zdrowego rozsądku. Było oczywiście parę incydentów w Afryce, co przypisywano użyciu wykonanych po kryjomu bomb atomowych, jednak skończyło się to dość szybko. Świat nie skończył z hukiem, jak przewidywano, lecz ze skomleniem. Cytuję poetę. — Ponownie pociągnął ze szklanki i po chwili milczenia mówił dalej:

— Zamykano fabrykę po fabryce, ponieważ nie było już energii. Bez benzyny pojazdy nie mogły się poruszać, a cała ekonomia świata pędziła po równi pochyłej w dół, ku powszechnej depresji i masowemu bezrobociu. Słabsze, mniej ustabilizowane narody znalazły się nagle poza nawiasem, przymierając głodem,

rozdzierane wewnętrznymi walkami o władzę. Silniejsze kraje miały wystarczająco dużo kłopotów w domu, aby przejmować się problemami innych. Ci, którym udało się przeżyć na obszarach zwanych dawniej Trzecim Światem, ustabilizowali się wreszcie na poziomie oddzielnych społeczności, przeważnie o podłożu rolniczym.

Jednak dla krajów o bardziej rozwiniętej ekonomii potrzebne było inne rozwiązanie. Posłużę się tutaj przykładem Wielkiej Brytanii, ponieważ wychowałeś się w tym kraju i jesteś świadomy panującego w nim stylu życia. Musisz przenieść się myślami do czasów, kiedy dominującą formą rządów była jeszcze demokracja, przeprowadzano regularnie elekcje, a Parlament nie był dziedziczny i tak pozbawiony znaczenia, jak dzisiaj. Demokracja, w której każdy człowiek jest równy, gdzie każdy może głosować, aby wybierać rząd, jest luksusem dla bardzo bogatych. Rozumiem przez to bardzo bogate kraje. Każde obniżenie standardu życiowego i spadek produkcji narodowej oznaczają równocześnie ograniczenie zasad demokracji. Prosty przykład. Człowiek zatrudniony na stałym stanowisku i z regularną pensją ma swobodę wyboru w kwestiach mieszkania, pożywienia, form wypoczynku, słowem, tego wszystkiego, co nazywamy stylem życia. Człowiek na zasiłku musi mieszkać tam, gdzie mu każą, jeść to, co mu dadzą, musi przystosować się do ponurej, szarej egzystencji bez perspektyw na jakiegokolwiek zmiany. Wielka Brytania przetrwała lata klęski, zapłaciła jednak za to najstraszliwszą cenę — utratę wolności swych obywateli. Nie było pieniędzy na import żywności, a więc kraj musiał stać się samowystarczalny rolniczo. Oznaczało to mikroskopijne przydziały mięsa tylko dla bogatych, a wegetarianizm dla reszty. Naród, od wieków opierający się na mięsie, nie tak łatwo przystosowuje się do zmian, a więc zmiany te wymuszono siłą. Elita władzy wydała niezbędne zalecenia i dekryty, a oddziały policji miały za zadanie egzekwować je z całą surowością. Wydawało się to rozsądne, ponieważ było jedynym wyjściem mającym za zadanie powstrzymanie chaosu, aktów gwałtu i przemocy. I rzeczywiście spełniło swe zadanie. Jedyne problemy polegały na tym, że gdy sytuacja poprawiała się, a warunki życia stały się lepsze, elita rządząca, która zdobyła władzę, nie chciała jej się dobrowolnie pozbywać. Wielki myśliciel napisał kiedyś, że władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie. A gdy podkuty but stanie raz na gardle, nie jest tak łatwo go z siebie zrzucić.

— Podkuty but? — wtrącił zaskoczony Jan.

— Przepraszam. Jest to porównanie, co prawda już dość przestarzałe, na usprawiedliwienie postępujących nadużyć. Chcę przez to powiedzieć, że w miarę poprawy sytuacji gospodarczej rząd zdobywał coraz więcej władzy. Populacja stopniowo spadała i ustabilizowała się na w miarę równym poziomie. Zbudowano pierwsze satelity generatorowe, które przekazywały swą energię Ziemi. Nadeszła era energii fuzji. Zmutowane rośliny dostarczały chemikaliów, uzyskiwanych niegdyś drogą rafinacji ropy naftowej. Kolonie satelitarne nauczyły się wyzyskiwać

zasoby Księżyca i w formie gotowych produktów przesyłały je na Ziemię. Odkrycie napędu przestrzennego umożliwiło wysłanie statków kosmicznych w celu eksploatacji i kolonizacji planet kilku najbliższych gwiazd. I tak właśnie wygląda to wszystko, co mamy dzisiaj. Ziemski raj, a nawet niebiański raj, gdzie człowiek nie odczuwa strachu przed wojną czy głodem i gdzie ma zapewnione wszystko, czego potrzebuje.

Jednak na tym obrazie raju występuje pewna skaza. Na całej Ziemi panuje absolutnie archaiczny system sprawowania władzy, rozciągając się poprzez kolonie satelitarne na pozostałe zamieszkałe przez człowieka planety. Rządy wszystkich krajów pozostają ze sobą w ścisłym kontakcie, wszelkimi siłami zwalczając najmniejsze choćby dążenia wolnościowe u mas. Całkowita wolność na samym szczycie — w twojej klasie społecznej Bili, sądząc po akcencie — zależność ekonomiczna i niewolnictwo dla wszystkich poniżej. A za jakąkolwiek oznakę protestu grozi natychmiastowe uwięzienie, lub śmierć.

— Naprawdę jest tak źle? — zapytał Jan.

— O wiele gorzej, niż jesteś sobie to w stanie wyobrazić — odparła Sara. — Ale sam się jeszcze o tym przekonasz. Dopóki nie będziesz absolutnie przekonany, iż należy to zmienić, będziesz stanowił niebezpieczeństwo zarówno dla samego siebie, jak i dla pozostałych.

— Ten program orientacyjny przeprowadzany jest za moją sugestią — powiedział John, nie próbując nawet ukryć napawającej go tym faktem dumy. — Czytanie dokumentów, a słuchanie żywego słowa to dwie różne rzeczy. A jeszcze inną jest nabycie doświadczenia w realiach świata, w którym żyjemy. Tylko brutalni mają tutaj jakąś szansę. Porozmawiam z tobą ponownie po twoim powrocie z piekła. Teraz muszę już się niestety pożegnać.

— Zabawny człowieczek — stwierdził Jan, gdy za jego niezwykłym gościem zamknęły się drzwi. — Zabawny, pełen wdzięku i bezcenny wręcz dla naszej organizacji. Teoretyk społeczny z ogromną wiedzą i kompetencją.

Jan zdjął maskę i otarł zroszoną potem twarz. — To oczywiście, że jest naukowcem. Prawdopodobnie historykiem. . .

— Nie mów tego! — przerwała mu ostro Sara. — Nie teoretyzuj na jego temat, nawet przed sobą samym, możesz mu bowiem jedynie zaszkodzić. Nie myśl o nim, pamiętaj jedynie jego słowa. Czy możesz zwolnić się na parę dni z pracy?

— Oczywiście, sam ustalam sobie harmonogram. Dlaczego pytasz?

— A więc powiedz, że potrzebujesz kilkudniowego urlopu i jedziesz odwiedzić przyjaciół na wsi, lub coś w tym rodzaju. Wymyśl coś takiego, aby niełatwo było cię odszukać.

— A może narty? Raz lub dwa razy każdej zimy jeżdżę do Szkocji pobiegać.

— Pobiegać?

— Tak, jest to taki rodzaj narciarstwa, w którym biegnie się po otwartym terenie, a nie zjeżdża z góry. Biorę plecak, zatrzymuję się w hotelach lub zajazdach i sam sobie wybieram trasy.

— Brzmi idealnie. A więc powiedz swojemu kierownictwu, że wybierasz się na narty, zaczynając od przyszłego wtorku. Nie wymieniaj żadnych adresów lub miejsc, w których będziesz przebywał. Zapakuj plecak i włóż go do samochodu.

— Chcecie abym pojechał do Szkocji?

— Pojedziesz dużo dalej. Zejdiesz do piekła tutaj, w samym sercu Londynu.

Rozdział 10

Jan parkował na wyznaczonym miejscu od przeszło godziny. Pora umówionego spotkania dawno już minęła. Poprzez gęste kłęby wirującego śniegu widoczne były jedynie żółte światła ulicznych lamp. Chodniki były puste. Tuż po drugiej stronie jezdni wznosił się ciemny masyw Primrose Hill. Jedynym samochodem, jaki Jan do tej pory zobaczył był policyjny patrolowiec, który mijając go odrobinię zwolnił, lecz po chwili przyśpieszył i zniknął w tumanach śniegu. Być może był obserwowany. To było powodem, dla którego jego kontakt nie pojawił się do tej pory. Ledwie zdołał o tym pomyśleć, gdy drzwi otworzyły się nagle, wpuszczając do środka mroźny powiew nocnego powietrza. Na siedzenie obok niego wśliznął się opatulony szczelnie mężczyzna i szybko zamknął za sobą drzwi. — Czy chciałbyś coś powiedzieć, chłopie? — zapytał nieznajomy.

— Będzie jeszcze bardzo zimno, zanim zrobi się wreszcie ciepło.

— Lecz co do tego ostatniego masz absolutną rację.

Jan westchnął z ulgą słysząc, że druga część hasła zgadza się z tym, co podała mu wcześniej Sara.

— A więc co wiesz? — pytał dalej mężczyzna.

— Nic. Powiedziano mi, abym tutaj zaparkował, czekał na kogoś, zidentyfikował cię i czekał na instrukcje.

— Dobrze. Lub będzie dobrze, jeśli wysłuchasz instrukcji i zrobisz wszystko dokładnie tak, jak ci powiem. Jesteś, kim jesteś, a ja jestem zwykłym prolem i będziesz musiał wykonywać otrzymane ode mnie polecenia. Możesz to zrobić?

— Nie widzę powodu, dla którego byłoby to takie niemożliwe — odparł Jan przeklinając w duchu wahanie, którego pomimo wysiłku nie udało mu się ukryć. Ostatecznie to wszystko nie było takie łatwe.

— Naprawdę? — w głosie mężczyzny zabrzmiała ironia. — Wykonywać polecenia prola i w dodatku takiego, który nie pachnie zbyt pięknie?

Jan dopiero teraz zdał sobie sprawę z zaduchu, jaki wypełnił wnętrze samochodu. Był to odór starego ubrania i dawno nie mytego ciała, zmieszany z wonią dymu i zjełczałego tłuszczu.

— Powiedziałem już — wybuchnął gniewem Jan. — Wiem, że nie będzie to dla mnie łatwe, ale będę się starał. A zresztą przyzwyczajony jestem do takich zapachów.

Zapadła cisza i Jan spojrzał prosto w ledwie widoczne spod futrzanej czapy oczy mężczyzny, które taksowały go z chłodną podejrzliwością. Nieoczekiwanie mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

— Przyłóż tutaj, chłopie. Myślę, że jesteś w porządku — Jan miał wrażenie, że jego dłoń znalazła się nagle w uścisku imadła. — Powiedziano mi, abym mówił na ciebie John. Odkąd pracuję w smażalni, nazywają mnie Rondel. Niech więc tak na razie zostanie. Jedź teraz prosto na wschód, a ja powiem ci, gdzie skręcać.

Po drodze nie napotkali dużego ruchu. Kluczyli wąskimi uliczkami i po godzinie jazdy Jan nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się właściwie znajduje. Wiedział jedynie, że gdzieś w północno-wschodnim Londynie.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Rondel. — Jeszcze miłą, ale nie możemy tam pojechać. Zwolnij, na kolejnej przecznicy skręcisz w lewo.

— Dlaczego nie możemy tam pojechać?

— Bariera bezpieczeństwa. Oczywiście nawet nie zauważysz, że ją przekraczasz, ale sygnał z zamontowanego w twoim samochodzie transpondera zostanie wprowadzony do komputera i zidentyfikowany. A pewni ludzie zaczną się zastanawiać, co ty tutaj właściwie robisz. Spacerek piechotą jest bezpieczniejszy, chociaż będzie nam odrobinę chłodniej.

— Nie miałem pojęcia, że oni coś takiego robią.

— A więc będą to dla ciebie edukacyjne wakacje, John. Zwolnij, a teraz zatrzymaj się. Otworzę drzwi garażu, a ty wprowadź wóz do środka. Nie martw się, będzie bezpieczny.

Garaż był zimny i mroczny. Jan czekał w ciemnościach, podczas gdy Rondel zamykał garaż na kłódkę, przyświecając sobie niewielką latarką. Za garażem była niewielka szopa, oświetlona pojedynczą, nieosłoniętą żarówką. Rondel włączył przenośny piecyk, co nie miało jednak większego wpływu na panujący w pomieszczeniu chłód.

— Czas się przebrać, chłopie — powiedział, wyciągając jakieś obszarpane szmaty ze sterty leżących pod jedną ze ścian, starych ubrań. — Widzę, że zastosowałeś się do naszej rady i dzisiaj nie ogoliłeś się. Bardzo mądrze. Buty mogą zostać, musimy je jedynie trochę powyginać i przetrzeć popiołem. Ale ściągaj wszystko pozostałe.

Jan zacisnął zęby i próbował stać nieporuszenie, lecz szarpiące całym ciałem dreszcze okazały się silniejsze od niego. Grube, poplamione smarami spodnie były niczym lodowa pokrywa, którą wciągał na swe odsłonięte, białe z zimna nogi. Górę przebrania stanowiła podarta koszula, pozbawiona wszystkich guzików kamizelka, obszarpany sweter i długi, lepący się od brudu płaszcz. Gdy już opatulił

się w to wszystko i pozapinał resztki guzików, okazało się, że przebranie jest stonkowo ciepłe.

— Nie znalazłem twojego rozmiaru, przyniosłem więc to — powiedział Rondel, wyciągając z kieszeni zrobioną ręcznie kominiarkę. — Najlepsze na tego typu pogodę. Przykro mi, że to mówię, ale będziesz musiał zostawić tutaj te piękne rękawiczki. Niewielu z ludzi na zasiłku może sobie na coś takiego pozwolić. Wepchnij po prostu ręce w kieszenie i wszystko będzie w porządku. No właśnie. W tym przebraniu nie rozpoznałaby cię nawet własna mamusia. A więc idziemy.

W chwilę później szli już ciemnymi uliczkami miasta. Mróz nie wydawał się już Janowi tak dokuczliwy, jak poprzednio. Wełniana kominiarka okrywała usta i nos, dłonie wepchnął głęboko do kieszeni, a na stopach miał swoje stare, wypróbowane buty do wspinaczki. Ogarnął go nastrój pełen podnieconego oczekiwania, ponieważ to wszystko zaczynało przypominać nagle tajemniczą, pełną nowych wrażeń przygodę.

— Trzymaj głębę na kłódkę, dopóki ci nie powiem, że wszystko w porządku, chłopie — instruował go Rondel. — Chlapiesz jedno słowo i wszyscy natychmiast zorientują się, kim naprawdę jesteś. Idziemy teraz napić się czegoś. Pij, co ci dadzą i siedź cicho.

— A jeżeli ktoś będzie chciał ze mną rozmawiać?

— Nie będzie. To nie jest taki rodzaj pubu, o jakim myślisz.

Gdy pchnęli ciężkie, wejściowe drzwi owiał ich podmuch ciepłego, gęstego powietrza. Mężczyźni, wyłącznie mężczyźni siedzieli przy stolikach lub stali skupieni przy barze. Niektórzy z nich byli w trakcie posiłku. Przeciskając się obok zatłoczonych stolików Jan dostrzegł, iż posiłek ten stanowił mało apetyczny gulasz, do którego dodatkiem była pajda ciemnego chleba. Odnaleźli trochę miejsca przy poplamionym kontuarze baru i Rondel skinął na jednego z barmanów.

— Dwa razy piwo — zaordynował i nachylił się w stronę Jana.

— Smakuje tutaj jak pomyje, ale jest przynajmniej lepsze od jabłecznika.

Jan mruknął coś i umoczył usta w mętym płynie. Rondel miał rację. Ohyda. Nigdy by nie przypuszczał, że coś takiego może pretendować do miana piwa.

Jan rozejrzał się ostrożnie dookoła. Tak jak powiedział to Rondel z pewnością nie był to pub w rodzaju tych, które zwykł był odwiedzać. Ludzie tutaj rozmawiali wyłącznie z tymi, których najwidoczniej znali. Osoby samotne pozostawały samotne, szukając towarzystwa w stojących przed nimi pełnych szklankach. W całym tym ciemnym pomieszczeniu panowała ponura atmosfera, której nie zdołały rozproszyć poplamione, niegdyś kolorowe plakaty reklamowe, porozwieszane na ścianach. Przebywający tutaj ludzie najwidoczniej szukali zapomnienia, a nie odpoczynku, czy relaksu. Jan ponownie pociągnął ze szklanki, gdy Rondel zostawił go na chwilę samego, wpychając się w tłum. Wrócił z jakimś nieznanym mężczyzną, sądząc po zniszczonym ubraniu jednym ze stałych bywalców tego miejsca.

— Idziemy stąd — powiedział, nie siląc się nawet na wzajemne przedstawienie sobie obu mężczyzn.

— Mój przyjaciel zna tutaj mnóstwo ludzi — powiedział Rondel, gdy wyszli na zewnątrz i przebijali się przez grząski, mokry śnieg. — Zna właściwie wszystkich. Wie także o wszystkim, co dzieje się na całym Islington.

— Byłem też za drutami, chłopie — powiedział mężczyzna niewyraźnym, sepleniącym szeptem. Jan spojrział na niego i spostrzegł, że pozostało mu bardzo niewiele zębów. — Parę latek przymusowego wycinania drzew w Szkocji. Próbowali mnie odzwyczaić od wsadzania nosa w nie swoje sprawy. Ciężka sprawa. Idziemy teraz do pewnej starej kobiety; pokażę ci, jak mieszka.

Weszli przez bramę na obszerny dziedziniec, dookoła którego stały stare, rozsypujące się rudery, w których wciąż jeszcze znajdowały się mieszkania czynszowe. Umieszczone wysoko na dachach reflektory oświetlały cały teren niczym dziedziniec więzienny, wyluskując z mroku sylwetki kilku chłopców, lepiących ogromnego bałwana. Nagle wybuchła pomiędzy nimi jakaś sprzeczka i wszyscy rzucili się z pięściami na najmniejszego chłopca, który wkrótce uciekł z płaczem, pozostawiając za sobą na śniegu wyraźny ślad w postaci kropelek krwi. Ponieważ żaden z towarzyszy Jana nie wydawał się zwracać na tę scenę najmniejszej uwagi, Jan także przestał zaprzętać sobie nią głowę.

— Windy nie działają. Zwykła rzecz tutaj — powiedział Rondel, gdy wspinali się za nieznanym po mrocznych schodach. Ściany klatki schodowej pokrywały napisy. Było jednak dość ciepło, co nie budziło zdziwienia, jako że energii elektrycznej nie limitowano. Drzwi, przed którymi przystanęli, były zamknięte, prowadzący ich mężczyzna otworzył je własnym kluczem. Weszli za nim do pojedynczego, jasno oświetlonego pokoju, w którym pachniało śmiercią.

— Nie wygląda zbyt dobrze, prawda? — wyseplenił mężczyzna, wskazując na leżącą w łóżku starą kobietę.

Istotnie, nie wyglądała dobrze. Twarz miała wyschniętą i białą jak pergamin. Kościstą, przypominającą szpony dłoń zacisnęła na podciągniętej aż pod brodę brudnej narzucie. Kobieta była nieprzytomna, a jej oddech nierówny i chrapliwy.

— Możesz mówić, jeśli chcesz — powiedział Rondel. — Jesteśmy wśród przyjaciół.

— Czy ta kobieta jest chora? — zapytał Jan i szybko pożałował niepotrzebnego pytania. Odpowiedź była oczywista.

— Umiera, wasza dostojność — powiedział pozbawiony zębów mężczyzna. Lekarz był u niej jesienią, przepisał jakieś pigułki i to wszystko.

— Powinna być w szpitalu.

— Szpital nie jest dla tych, którzy są na zasiłku.

— A więc powinien ponownie zobaczyć ją lekarz.

— Sama nie może do niego iść. A lekarz nie przyjdzie tutaj bez odpowiedniej zapłaty.

— Ale muszą być przecież jakieś fundusze, pomoc przez... naszych ludzi?

— Jest coś takiego — przyznał Rondel. — I wystarczyłoby tego, aby pomóc wszystkim naszym ludziom. Ale nie ważymy się o to prosić, chłopie. Gdy wyszukają jej akta, Służba Bezpieczeństwa będzie chciała wiedzieć, dlaczego nie jest na zasiłku, zaczną się śledztwo i w końcu dowiedzą się, kim są jej wszyscy przyjaciele. Przyniosłoby to więcej szkody, niż pożytku. Nigdy więc tego nie robimy.

— A więc... ona po prostu umrze? .

— Prędzej, czy później wszystkich nas to czeka. Tym na zasiłku zdarza się to zazwyczaj prędzej. Chodźmy coś przekąsić.

Ruszyli ku drzwiom, nie żegnając się nawet z bezzębnym mężczyzną, który przysunął sobie poobtłukiwane krzesło i usiadł przy łóżku. Jan stojąc już w progu, jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Pokryte grzybem ściany. Koślawe meble, zardzewiałe urządzenia sanitarne ledwie zasłonięte pocerowaną szmatą. Cella więzienna wyglądałaby lepiej.

— Później do nas dołączy — dodał tonem wyjaśnienia Rondel. — Przez chwilę chce posiedzieć przy matce.

— Ta kobieta — to jego matka?

— Cóż w tym takiego niezwykłego? Zdarza się to przecież każdemu z nas.

Zeszli do sutereny, mieszczącej jadłodajnię komunalną. Zasiłek najwidoczniej nie przewidywał czegoś takiego, jak luksus prywatnej kuchni. Całe pomieszczenie zatłoczone było ludźmi w różnym wieku, którzy siedzieli przy podniszczonych stolikach lub stali w długiej kolejce do buchającego parą kotła.

— Gdy będziesz brał tacę, włóż to w szczelinę — powiedział Rondel, wyciągając w stronę Jana czerwony, plastikowy żeton.

Jan podniósł posłusznie tacę, ruszył w ślad za pracującym do przodu Rondlem. Po drodze spocony pomocnik kucharza uraczył go talerzem jakiejś nieokreślonej papki. Dalej na ladzie leżała spora sterta pajdek ciemnego chleba. Jan wziął jedną z nich i to była już cała kolacja. W końcu usiedli naprzeciwko siebie przy pozbawionym jakiegokolwiek wyposażenia stole.

— Jak ja mam to właściwie jeść? — zapytał Jan, spoglądając z niesmakiem na parującą zawartość talerza.

— Łyżką, z którą się nigdy nie rozstajesz. Wiedziałem, że jesteś w tym świeży, więc przyniosłem z sobą dodatkową.

Jan dziobnął łyżką w gulasz z soczewicy, w którym pływały kawałki ugotowanych jarzyn. Było tam takie coś, co przypominało z wyglądu mięso, lecz w smaku okazało się być zupełnie czymś innym.

— Jeżeli chcesz, mam w kieszeni trochę soli — zaoferował Rondel, spoglądając spod oka na Jana.

— Nie, dziękuję. Wątpię, aby to cokolwiek pomogło — odgryzł kęs chleba, który choć suchy, zachował jeszcze swój smak. — Nie ma w tych posiłkach żadnego mięsa?

— Nie. Ludzie na zasiłku nigdy nie otrzymują mięsa. Są za to kawałki soi, która jak twierdzą ci na górze, zawiera wystarczającą ilość protein. Woda jest w fontannie za tobą, jeżeli chcesz przepłukać gardło.

— Może potem. Czy tu jedzenie jest zawsze tak samo podłe, jak to?

— Mniej, lub więcej. Jeżeli ludziom uda się zarobić trochę pieniędzy, kupują coś w sklepie. Jeżeli nie, musi im wystarczyć to, co masz przed sobą. Możesz na tym przeżyć jakiś czas.

— Nie wydaje mi się to wystarczające — Jan umilkł, gdyż przy ich stole usiadł nagle jakiś nieznajomy mężczyzna. — Kłopoty, Rondel — powiedział, spoglądając jednocześnie na Jana.

Obaj mężczyźni wstali i podeszli pod ścianę, aby swobodnie porozmawiać. Jan spróbował jeszcze jednej łyżki i z grymasem odepchnął talerz na środek stołu. Przez całe życie jeść coś takiego? Dziewięciu z dziesięciu pracowników było na zasiłku. Nie mówiąc już o ich żonach i dzieciach. I to istniało dookoła niego przez całe jego życie — a on nawet tego nie dostrzegał. Żył na wierzchołku góry lodowej, zupełnie nieświadom tej większej części, skrytej pod powierzchnią wody.

— Wracamy do samochodu, chłopcze — powiedział Rondel, podchodząc w stronę zamyślnego Jana. — Dzieje się coś niedobrego.

— Czy ma to jakiś związek ze mną?

— Nie wiem. Przekazano mi po prostu, abyśmy wynieśli się stąd jak najszybciej, jak to tylko możliwe. Wiem tylko, że zawsze oznacza to kłopoty. Mnóstwo kłopotów.

Ruszyli w stronę garażu. Nie biegli — przyciągnęłoby to zbyt dużą uwagę — lecz maszerowali równym, szybkim krokiem poprzez zacinający śnieg. Jan kątem oka dostrzegł oświetlone, solidnie zabezpieczone wystawy sklepów. Zastanawiając się, co właściwie sprzedają, uzmysłowił sobie nagle, iż są one dla niego równie egzotyczne, co bazyry nad brzegami Morza Czarnego.

Będąc już na tyłach garażu Jan przyświecał swemu towarzyszowi latarką, aby ten mógł odnaleźć właściwy klucz. W końcu Rondel zdjął kłódkę i weszli do garażu.

— A niech to diabli! — zaklął Rondel kierując światło latarki na pustą podłogę garażu. — Dostał skrzydeł, czy co?

— Ukradli mój samochód! — wykrzyknął Jan.

Nagle ich oczy poraził potężny snop światła, a jakiś spokojny głos powiedział:

— Zostańcie tam, gdzie jesteście i nie ruszajcie się. I lepiej uważajcie, aby wasze ręce były stale na widoku.

Rozdział 11

Jan nie mógł wykonać najmniejszego ruchu, nawet, gdyby taka myśl przyszła mu do głowy. Zniknięcie samochodu i ta nagła konfrontacja sprawiły, iż trwał w stanie szoku. Gra była skończona, został schwytyany, koniec. Stał nieruchomo, zmrożony ciężącymi nad nim konsekwencjami.

— Cofnij się do szopy, Rondel — polecił bezcielesny głos. — Jest tutaj ktoś, kogo powinieneś poznać.

Rondel zaczął cofać się, a mężczyzna z latarką posuwał się w ślad za nim. Jan dostrzegł jedynie niewyraźny zarys postaci. Co tu się właściwie działo?

— Jan, muszę z tobą natychmiast porozmawiać — odezwał się znajomy głos, gdy za Rondlem zamknęły się już drzwiczki szopy. Jan wciąż ścisnął w spoczonej dłoni niewielką latarkę. Podniósł ją teraz i wyłuskał z mroku twarz Sary.

— Nie chcieliśmy cię przestraszyć — mówiła dziewczyna. — Ale sytuacja, w jakiej się wszyscy znaleźliśmy jest bardzo niebezpieczna.

— Przestraszyć! Nic się przecież nie stało. — Niemal dostałem zawału, ale to nic poważnego!

— Przepraszam — posłała mu słaby uśmiezek, który już po chwili zniknął. — Wydarzyło się coś bardzo złego i być może będziemy potrzebowali twojej pomocy. Jeden z naszych ludzi został schwytyany, a my nie możemy dopuścić, aby go zidentyfikowano. Czy słyszałeś o obozie Slethill?

— Nie.

— To obóz pracy w Sunderland, daleko na północy Szkocji. Jesteśmy pewni, że możemy wydostać go z tego obozu, ale nie wiemy, jak wydostać się z tego obszaru. Wtedy pomyślałam o tobie, o tym, że jeździsz tam na narty. Czy ten człowiek mógłby wyjechać stamtąd na nartach?

— Mógłby, gdyby wiedział, jak na nich jeździć i gdyby znał teren. Jest narciarzem?

— Nie, nie sądzę. Ale jest młody i zdolny, mógłby się więc tego nauczyć. Czy to trudne?

— Bardzo łatwe na samym początku nauki. Ale niezwykle trudne, aby być w tym naprawdę dobrym. Czy macie kogoś, kto potrafiłby go... — dopiero teraz

dotarł do niego sens całej tej rozmowy, więc ponownie przeniósł światło latarki na twarz dziewczyny. Miała spuszczone oczy i była bardzo blada.

— Masz rację. Chciałabym poprosić cię o pomoc — powiedziała po prostu. — I martwi mnie to nie tylko z tego powodu, że będziesz wystawiony na znaczne niebezpieczeństwo, lecz w głównej mierze dlatego, że nie powinniśmy ci nawet wspominać o tym wydarzeniu. Jeżeli zdecydujesz się dla nas pracować, twoja funkcja będzie bardzo istotna w całym naszym ruchu oporu. Lecz jeżeli nie uda nam się uwolnić tego człowieka, równie dobrze może to oznaczać koniec wszystkiego.

— Czy to aż tak ważne?

— Tak.

— A więc to oczywiste, że wam pomogę. Muszę tylko zabrać z mieszkania ekwipunek i . . .

— To niemożliwe. Wszyscy myślą, że jesteś w Szkocji. Kazaliśmy nawet kierowcy zawieźć tam twój samochód, aby uprawdopodobnić całą tę historię.

— A więc dlatego zniknął.

— Właśnie. Możemy podstawić ci go w Szkocji tam, gdzie zechcesz. Czy to pomoże?

— Oczywiście. Ale jak się mam tam właściwie dostać.

— Pociągiem. Za dwie godziny wyjeżdża pociąg z Edynburga i możemy cię nim wyekspediować. Pojedziesz w przebraniu, jakie masz w tej chwili na sobie. Nikt cię nie zauważy. Twoje prawdziwe ubranie możesz zabrać ze sobą w bagażu. Rondel pojedzie z tobą.

Jan rozmyślał przez chwilę, wpatrzony w ciemność.

— Dobrze, przygotujcie wszystko. Spróbuj tak ułożyć sprawy, aby spotkać mnie rano w Edynburgu jako Cynthia Barton. Przywieź też ze sobą trochę pieniędzy. Jakies pięćset funtów w gotówce. Będziesz mogła to zrobić?

— Oczywiście, zadbam o wszystko. Rondel będzie także o wszystkim poinformowany. Zawołaj go teraz i powiedz, że . . . już wychodzimy.

Wydawało się głupie, iż ludzie ryzykujący razem życiem nie mogą poznać wzajemnie swych twarzy. Był to jednak prosty i skuteczny środek ostrożności — jeżeli jeden z nich zostanie schwytany, nie będzie w stanie wydać pozostałych. Stali w ciemnościach, czekając na powrót Rondla i towarzyszącego mu mężczyzny. Po chwili rozmowy Sara i mężczyzna wyszli. Rondel czekał, dopóki nie znikną za drzwiami garażu i dopiero wtedy zapalił światło.

— A więc czeka nas tajemnicza wycieczka, chłopie — powiedział w zamyśleniu. — Niezła pora roku na takie wycieczki — pogrzebał w stosie rupieci zalegających pod jedną ze ścian garażu i wyprostował się, trzymając w dłoniach stary, wojskowy plecak.

— No właśnie. Włóż tutaj swoje ciuchy i jesteśmy gotowi. Szybkim marszem powinniśmy dotrzeć do King's Cross na czas.

Jeszcze raz Rondel zadziwił Jana swoją rozległą znajomością bocznych uliczek Londynu. Jedyne dwukrotnie zmuszeni zostali do przekroczenia głównych, jaskrawo oświetlonych ulic. Za każdym razem Rondel wysuwał się do przodu, aby dyskretnie sprawdzić, czy nie są obserwowani, po czym machnięciem ręki przyzywał Jana i szybkim krokiem prowadził go w bezpieczną ciemność drugiej strony ulicy. Dotarli do King's Cross z czterdziestopięciu minutowym wyprzedzeniem. To zadziwiające. Jan był już na tej stacji wielokrotnie przed swymi wyjazdami do Szkocji, teraz jednak zupełnie nie poznał tego miejsca.

Skręcili z ulicy prosto w długi tunel. Chociaż jasno oświetlony służyć musiał jako latryna, bowiem w powietrzu unosił się niezwykle intensywny odór moczu. Sklepienie tunelu pobrzmiwało echem ich szybkich kroków. W końcu weszli po schodach i znaleźli się w poczekalni, zastawionej obdrapanymi ławkami. Większość znajdujących się w tym pomieszczeniu ludzi wyciągnęła się na nich wygodnie i zdawała się spać, jedynie paru siedziało wyprostowanych, oczekując w ciszy na przyjazd pociągu. Rondel podszedł do zdezolowanego automatu z papierosami i wrzucił do środka kilka monet. Maszyna zazgrzytała i wyrzuciła z siebie paczkę. Wyjął z kieszeni zapalniczkę i razem z papierosami wyciągnął w stronę Jana.

— Weź. Zapal i spróbuj wyglądać naturalnie. I nie odzywaj się do nikogo, obojętnie, o co by cię pytał. Idę po bilety.

Papierosy były marki, jakiej Jan nigdy przedtem nie widział — na całej długości widniał wyraźny, błękitny napis: WOODBINE. Gdy przytknął jeden z nich do płomienia zapalniczki, buchnął niespodziewanie kłębem czarnego dymu, parząc go przy okazji w usta.

W poczekalni trwał bezustanny, choć niewielki ruch wchodzących i wychodzących ludzi, lecz żaden z nich nie pofatygował się, by obrzucić Jana choćby przelotnym spojrzeniem. Co kilka minut głos płynący z zawieszonych pod sufitem głośników mrucał swe kompletnie niezrozumiałe zapowiedzi. Jan wyciągnął z paczki trzeciego z kolei papierosa, gdy pojawił się Rondel.

— W porządeczku, chłopcze. Witajcie zielone wzgórza Szkocji, ale przedtem skorzystajmy z kibelka. Masz ze sobą szalik?

— Tak, jest w plecaku.

— A więc wykop go, będziemy go potrzebować. Ludzie w pociągach siadają blisko siebie i gadają jak stare baby. A my nie chcemy przecież, abyś wdawał się w jakieś pogawędki.

W łazience Jan zadrzał na widok Rondla, który wyjął z kieszeni brzytwę i otworzył ją jednym, wprawnym ruchem.

— Maleńki zabieg, chłopcze, dla twego własnego dobra. Nie bój się, pozostaniesz przy życiu. Ściągnij tylko wargi do góry a ja zrobię ci na dziąśle śliczne nacięcie. Nawet nie poczujesz.

— Do diabła, to boli jak cholera — powiedział Jan głosem zduszonym przez przyciśniętą do twarzy białą chusteczkę. Po odjęciu od ust spostrzegł, że była poplamiona krwią.

— No właśnie. Świeża i czerwona. Jeżeli ranka zacznie się zamykać, otwórz ją na nowo językiem. I spluwaj krwią od czasu do czasu. Bądź przekonujący. A teraz chodźmy już. Ja poniosę plecak, a ty zasłaniaj chusteczką usta.

Na peron Latającego Szkota prowadziło oddzielne wejście, o którym Jan nie miał pojęcia, przeszli nim do tylnej sekcji pociągu. Daleko z przodu dostrzegł jasne światła i portierów, obsługujących pierwszą klasę tuż za lokomotywą. To tam właśnie zawsze podróżował. Prywatny przedział, drink lub dwa do poduszki i wreszcie dobry, całonocny sen, by obudzić się wypoczętym dopiero w Glasgow. Wiedział, że w pociągu jest jeszcze klasa druga — często widział tłoczących się tam ludzi, szturmujących wagony z piętrowymi leżankami do spania, czy wreszcie czekających cierpliwie w Szkocji, dopóki pasażerowie z pierwszej klasy nie znikną wreszcie z peronów. Nie podejrzewał jednak, iż istnieje może jeszcze trzecia klasa.

Ławki były ciepłe i było to właściwie wszystko, co można było o nich powiedzieć. Nie było tutaj żadnego baru, żadnego bufetu, żadnej obsługi. Jan znalazł miejsce przy oknie, co umożliwiło mu zaszyć się w kącie przedziału. Oparł głowę o stertę ubrań za sobą, przez cały czas zakrywając usta chusteczką. Rondel usiadł tuż obok niego i zapalił papierosa, wydmuchując niefrasobliwie dym w stronę tabliczki z wyraźnym napisem ZAKAZ PALENIA. Pozostali ludzie wciąż jeszcze tłoczyli się w przejściach, gdy pociąg niespodziewanie drgnął i ruszyli w drogę

Była to bardzo niewygodna podróż. Chusteczka Jana w wystarczającym stopniu przesiąknięta została krwią, a raz udało mu się nawet splunąć czerwoną plwociną na podłogę, pamiętając o życzliwych radach swego towarzysza podróży. Potem spróbował zasnąć. Okazało się to niezwykle utrudnione, ponieważ jasne światła w wagonach płonęły przez całą noc. Na szczęście jednak, wbrew obawom Rondla, nikt nie próbował z nim rozmawiać. Koła monotonnie stuknęły o szyny i w końcu udało mu się zapaść w niespokojną drzemkę, z której obudziło go silne szarpnięcie za ramię.

— Słoneczko już wstało, chłopcze — powiedział wesoło Rondel. — Spójrz, jaki piękny poranek. Jest wpół do szóstej i nie możemy spędzić całego dnia w betach. Idziemy na śniadanie.

Jan czuł kwaśny smak w ustach i w dodatku był cały zdrętwiały od siedzenia przez całą noc na drewnianej ławce. Lecz długi spacer wzdłuż wagonu w powiewach zimnego powietrza orzeźwił go, i gdy zobaczył przed sobą zaparowane okna bufetu zdał sobie sprawę, że jest głodny, bardzo głodny. Śniadanie było proste, lecz sycące. Rondel zapłacił za herbatę i talerze parującej owsianki, którą Jan

pochłonął w mgnieniu oka. W pewnej chwili jakiś nieznajomy mężczyzna, ubrany tak jak pozostali, podszedł do ich stolika i zajął miejsce obok Rondla.

— Kończcie już chłopcy i chodźcie ze mną. Nie mamy dużo czasu.

Wysiedli razem z pociągu i mężczyzna poprowadził ich do zapuszczonego budynku, położonego niezbyt daleko od stacji. Po, zdawało się, niekończącej wędrówce po stopniach schodów weszli wreszcie do pomieszczenia, które było bliźniaczo podobne do tego, które odwiedził w czasie swej wycieczki po Londynie. Stojąc przy zlewie Jan ogolił się antyczną brzytwą, starając się nie zacinać przy tym zbyt często. Potem włożył swoje własne ubranie. Musiał przyznać, iż uczynił to z prawdziwą ulgą. Jeżeli w tym starym ubraniu było mu tak niewygodnie, choć miał je na sobie zaledwie jeden dzień — to jak czułby się, będąc zmuszonym nosić je przez całe życie? Czuł się zmęczony, dopiero teraz odczuł ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności. Obaj mężczyźni obserwowali go milcząco, spod oka. Rondel podniósł buty, które polerował zaciekle ciemną pastą.

— W porządku, chłopie. Nie nadają się na tańce, ale do chodzenia w sam raz. Mam też wiadomość, że ktoś czeka na ciebie w hallu hotelu Caledonian. Nasz przyjaciel może cię tam zaprowadzić.

— A co z tobą?

— Nigdy nie zadawaj pytań, chłopcze. Lecz na to pytanie mogę ci odpowiedzieć. Wracam do domu. Północ zawsze była dla mnie zbyt zimnym miejscem — uśmiechnął się, ukazując poczerwiałe zęby i z nadszpodziewaną serdecznością uściśnął wyciągniętą dłoń Jana. — Powodzenia, chłopie.

Jan podązał za swym przewodnikiem, pozostając o dobre dwadzieścia metrów z tyłu. Słońce rozproszyło już poranną mgłę i było nawet ciepło. Gdy doszli do hotelu Caledonian, jego nieznajomy przewodnik wzruszył ramionami i pośpieszył dalej.

Jan pchnął obrotowe drzwi i niemal natychmiast po wejściu do hallu dostrzegł Sarę, siedzącą pod jedną z palm i czytającą jakieś czasopismo. Lecz zanim zdołał się do niej zbliżyć, dziewczyna wstała i przeszła tuż obok niego, kierując się do bocznego wejścia. Jan poszedł za nią i spotkał ją czekającą za rogiem.

— Wszystko przygotowane — powiedziała. — Z wyjątkiem nart. Twój pociąg odchodzi dziś o jedenastej rano.

— A więc mamy wystarczająco dużo czasu na zakupy. Masz pieniądze? — Dziewczyna skinęła krótko głową. — Dobrze, będziemy ich potrzebować. Myślałem nad tym co teraz zrobimy, przez całą noc — miałem ku temu doskonałą sposobność w przedziale, którym jechałem. Byłaś także w tym pociągu?

— Tak, w drugiej klasie. Tak było bezpieczniej.

— Dobrze, w całym Edynburgu mamy tylko trzy dobre sportowe sklepy, w których sprzedają narciarski ekwipunek. Podzielimy się zakupami pomiędzy siebie i będziemy płacili gotówką, tak aby nigdzie nie pozostał żaden ślad karty kredytowej. Znają mnie tutaj, a więc zawsze mogę powiedzieć, że zgubiłem kartę

w pociągu i potrzeba będzie paru godzin, zanim wystawią mi nową — a w międzyczasie chcę zakupić parę rzeczy. Wiem, że nie będziemy mieć z tym większych problemów, ponieważ coś podobnego przydarzyło mi się przed paru laty. Przyjmują gotówkę.

— To dobre dla jednej osoby, ale nie dla dwu. Mam kartę kredytową na konto które jest wypłacalne, chociaż osoba o nazwisku figurującym na tej karcie nie istnieje.

— To nawet lepiej. W takim razie kupisz droższe rzeczy, baterie o podwyższonej trwałości i dwa kompas. Czy mam ci zapisać czego masz szukać?

— Nie. Jestem wyszkolona, aby pamiętać różne rzeczy.

— Dobrze. Wspominałaś coś o pociągu. Co będę robił do chwili odjazdu?

— Oboje będziemy nocować w Inverness. W hotelu Kings-mills jesteś zbyt dobrze znany, prawda?

— Widzę, że wiecie o mnie więcej, niż ja sam. Rzeczywiście, raczej mnie tam znają.

— No właśnie. Zarezerwowaliśmy już dla ciebie pokój. Do rana przygotujemy całą resztę.

— Czy możesz mi teraz o tym powiedzieć?

— Nie, ponieważ sama jeszcze nie wiem. Wszystko dzieje się niezwykle szybko i jest zapinane na ostatni guzik dopiero w ostatniej chwili. Ale w górach mamy solidną bazę — byłych więźniów, którzy chętnie pomagają uciekinierom. Oni z własnego doświadczenia wiedzą, jak jest za drutami.

Dziewczyna rozejrzała się szybko i wręczyła mu pieniądze. Powiedział jej jeszcze raz, czego będzie potrzebował, a Sara skinęła krótko głową i bezbłędnie powtórzyła całą listę zamówień.

Gdy spotkali się ponownie, Jan wszystkie swoje zakupy umieszczone miał w plecaku, lecz narty wraz z rzeczami, które zakupiła dziewczyna zostały wysłane już na stację, gdzie zostały umieszczone w jego przedziale. Dotarli na stację pół godziny przed odjazdem pociągu i Jan przeszukał skrupulatnie cały przedział w poszukiwaniu ukrytych pluskiew podsłuchowych.

— Chyba nic tutaj nie ma — powiedział w końcu.

— W przedziałach pierwszej klasy dość rzadko zakładane są urządzenia podsłuchowe. Natomiast w drugiej klasie podsłuch i kamery są na porządku dziennym.

Sara zdjęła płaszcz i, gdy pociąg ruszył, zajęła miejsce przy oknie, spoglądając z ciekawością na zmieniający się za oknem krajobraz.

Jan bez słowa przyglądał się dziewczynie. Miała na sobie zielony, skórzany kostium, pasujący doskonale do kapelusza. W końcu wyczuła jego wzrok i uśmiechnęła się.

— Wyglądasz w tym ubraniu niezwykle atrakcyjnie — powiedział.

— To jedynie barwy ochronne. Mają sprawiać, bym wyglądała na bogatą, próżną kobietę. Niemniej jednak dziękuję za komplement. Chociaż jestem zwolenniczką całkowitej równości płci, nie obrażam się, gdy ktoś podziwia także coś innego, a nie jedynie mój mózg.

— Jak może cię coś takiego obrażać? — wciąż zaskakiwały go niektóre rzeczy, które mówiła. — Ale nie odpowiadaj mi teraz, nie w tej chwili. Mam zamiar przyrządzić nam po mocnym drinku i zamówić parę kanapek — poczuł niespodziewany przyływ winy, który starał się zignorować. — Przyrządzają tu znakomitą potrawkę z dzika. Albo może na początek trochę wędzonego łososia. A co my tu mamy? No proszę, Glen Morangie — jedna z najlepszych gatunków whisky. Piłaś ją kiedyś?

— Nie, nawet o takiej marce nie słyszałam.

— A więc będziesz szczęśliwą dziewczynką, pędzącą w ciepłym, luksusowym pociągu przez mroźne pustkowia Szkocji i popijającą swoją pierwszą w życiu słodową whisky. A ja z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa.

Pomimo zagrażającego im bez przerwy niebezpieczeństwa nie sposób było przymknąć oczu na uroki, jakie oferowała im ta podróż.

Przez te krótkie godziny, podczas których znajdowali się razem w pędzącym pociągu, świat zewnętrzny chwilowo utracił na znaczeniu. Za oknem przemykały góry i posrebrzone śniegiem lasy, a czasami promienie słońca odbijały się jaskrawo od skutych lodem powierzchni jezior. Mijane domki myśliwskie stały puste i ciche, z ich kominów nie unosił się dym. Co prawda wszystkie ogrzewane były elektrycznie, lecz poza tym wszystko w tym krajobrazie pozostało takie, jak było przez setki lat. Na ogrodzonych polach pasły się stada owiec, a jelenie na pierwszy gwizd nadjeżdżającego pociągu umykały spłoszone w las.

— Nawet nie przypuszczałam, że może być tutaj tak pięknie — powiedziała z rozmarzeniem Sara. — Nigdy nie byłam jeszcze tak daleko na północy. Cała ta kraina wygląda na zupełnie dziką i opuszczoną.

— A w rzeczywistości jest wręcz przeciwnie. Przyjeźdź tu latem a przekonasz się, że cała ta kraina jest pełna życia.

— Być może. Czy mógłbyś mi dołączyć tej fascynującej whisky? Czuję, że wiruje mi w głowie.

— A więc niech wiruje. W Inverness szybko dojdiesz do siebie.

— Mam nadzieję. Po przyjeździe pójdziesz bezpośrednio do hotelu i będziesz czekał na instrukcje. Co z ekwipunkiem narciarskim?

— Wezmę połowę z sobą, a resztę zostawię w przechowalni bagażu.

— Brzmi rozsądnie — Sara pociągnęła łyk whisky i zmarszczyła nos. — Ależ mocna. Wciąż nie jestem pewna, czy mi naprawdę smakuje. Wiesz, że Inverness leży na skraju strefy bezpieczeństwa? Wszystkie wpisy hotelowe są automatycznie kierowane do kartotek policyjnych.

— Nie, nie wiedziałem o tym. Ale zatrzymywałem się tak często w hotelu Kingsmills, że nie powinno wydać się to podejrzane.

— Masz rację, to znakomita wymówka. Ale ja nie mogę sobie pozwolić, aby mnie gdziekolwiek odnotowano. I chyba już nie uda mi się złapać żadnego pociągu powrotnego. Czy miałbyś coś przeciwko, gdybym tę noc spędziła w twoim pokoju?

— Wręcz przeciwnie, byłbym zachwycony.

Mówiąc to Jan nagle poczuł, jak gdzieś wewnątrz jego ciała rozlewa się przyjemne ciepło. Przypomniawszy sobie jej nagie piersi, które odsłoniła na chwilę w tej obskurnej restauracji w Londynie. Uśmiechnął się na wspomnienie tej sceny i spostrzegł, że dziewczyna uśmiecha się także.

— Jesteś okropny — powiedziała. — Prawdziwy mężczyzna — jednak w jej głosie było więcej humoru i kpiny, niż prawdziwej złości. — Założę się, że właśnie łamiesz sobie głowę, czy uda ci się do mnie dobrać, prawda?

— No cóż...

Oboje wybuchnęli serdecznym śmiechem. Sara wyciągnęła rękę i naturalnym gestem dotknęła jego dłoni.

— Wy, mężczyźni, zdajecie się nigdy nie rozumieć, że kobietom miłość i seks sprawiają taką samą przyjemność, jak wam, samcom. Czy nie będzie zbyt śmiałym wyznaniem, iż myślałam o tobie od chwili naszego pierwszego spotkania w łodzi podwodnej?

— Śmiałe czy też nie, uważam, że jest po prostu cudowne.

— A więc dobrze — odparła, szybko poważniejąc. — Gdy już się zameldujesz, wyjdź na spacer, zaczerpnąć trochę świeżego powietrza lub po prostu na drinka w pubie. Spotkasz mnie na ulicy i nie zatrzymując się podasz mi numer swojego pokoju. Po obiedzie wracaj prosto do pokoju. Nie chcę chodzić po ulicach zbyt późno po zapadnięciu zmroku, więc dołączę do ciebie natychmiast, gdy dowiem się czegoś o planach na jutrzejszy dzień. Zgoda?

— Zgoda.

Sara opuściła pociąg przed nim, wmieszała się w tłum i zniknęła. Jan zawołał portiera i polecił, by przeniósł cały ekwipunek do przechowalni bagażu. Krótką drogę do hotelu przebył dźwigając jedynie do połowy wypełniony plecak. Nie wzbudzało to żadnych podejrzeń, bowiem o tej porze roku w Szkocji plecaki cieszyły się u turystów o wiele większym powodzeniem niż walizki.

— Witamy ponownie inżynierze Kulozik — powitał Jana recepcjonista w hotelu. — To prawdziwa przyjemność gościć pana w naszym hotelu. Niestety, z powodu nadspodziewanego tłoku nie możemy służyć panu tym samym pokojem, co zazwyczaj. Ale mamy piękny pokój na trzecim piętrze, więc jeżeli...

— Dobrze, może być — odparł Jan odbierając klucz. — Czy mógłby pan dopilnować dostarczenia mojego plecaka do pokoju? Chcę zrobić jeszcze parę zakupów, zanim pozamykają wszystkie sklepy.

— Oczywiście, zaraz się tym zajmę.

Wszystko ułożyło się tak, jak było zaplanowane. Sara skinęła krótko głową, słysząc podany numer pokoju, z obojętną miną minęła go i poszła dalej. Przekąsił coś na mieście i był już w swoim pokoju o siódmej. W jednym ze sklepów znalazł nowelę Johna Budrana, usiadł więc z nią teraz wygodnie, w drugiej dłoni trzymając szklaneczkę whisky z wodą sodową. Niespodziewanie zapadł w drzemkę i obudziło go dopiero lekkie stukanie do drzwi.

Otworzył je szybko i do pokoju wśliznęła się Sara.

— Wszystko przygotowane — powiedziała. — Pojedziesz jutro lokalnym pociągiem do stacji Forsinard — spojrzała na trzymany w dłoni kawałek papieru. — To w lesie Achentoul. Znasz to miejsce?

— Ze słyszenia. Mam zresztą mapy.

— To dobrze. Wsiądź z pociągu razem z innymi narciarzami lecz rozglądaj się za potężnie zbudowanym mężczyzną z czarną opaską na oku. To twój kontakt. On się o ciebie zatroszczy.

— A co z tobą?

— Jadę z powrotem pociągiem o siódmej rano. Nie mam tu nic więcej do roboty.

— Och, nie!

Obdarzyła go czułym uśmiechem.

— Zgaś światło i odstoń zasłony. Dziś w nocy świeci piękny księżyc.

Gdy spełnił jej prośbę, jego oczom ukazał się biały, baśniowy krajobraz, oświetlony bladym blaskiem księżyca. Dookoła zalegała pustka — jedynie cienie, ciemność i śnieg. Słyszając lekki szmer Jan odwrócił się i światło księżyca padło na jej ciało. Spojrzeniem pełnym zachwytu przesunął po jej kształtnych piersiach, płaskim brzuchu, pełnych biodrach i długich nogach. Nie mówiąc ani słowa wziął ją w ramiona.

Rozdział 12

Nie wydaje mi się, abyśmy w ten sposób zaznali tej nocy wiele snu — powiedział Jan, sunąc delikatnie palcem wzdłuż konturu jej piersi, doskonale widocznego w blasku wpadających przez okno promieni księżyca.

— Nie potrzebuję dużo snu. A ty wyśpisz się, gdy wyjdę. Twój pociąg odjeżdża dopiero w południe. Czy już ci podziękowałam, że zgodziłeś się pomóc nam w uwolnieniu Uri?

— Słownie jeszcze nie — ale są przecież inne sposoby. Ale teraz powiedz mi, kim jest ten Uri i dlaczego jest on taki ważny?

— On sam nie jest dla nas ważny. Ważne jest, co stanie się, gdy Służba Bezpieczeństwa odkryje, kim on naprawdę jest. Posługuje się fałszywą tożsamością włoskiego marynarza, a jest ona przygotowana w najdrobniejszych szczegółach. Lecz w końcu zorientują się, że jest fałszywa. Rozpocznie się wtedy śledztwo i z całą pewnością odkryją, że w rzeczywistości jest Izraelitą.

— A czy to źle?

— To byłaby prawdziwa katastrofa. Nasze państwo otrzymało absolutny zakaz komunikowania się z kimkolwiek, dopuszczane są jedynie rzadkie kontakty kanałami oficjalnymi. Lecz niektórzy z nas patrzą na to nieco inaczej. Musimy wiedzieć, co dzieje się poza granicami naszego kraju, by chronić nasz własny naród. A gdy już odkryliśmy, jak życie tutaj wygląda naprawdę, stało się niemożliwością pozostanie w pozycji neutralnej. Tak więc wbrew wszelkim rozkazom o nie mieszanii się do czegokolwiek, wbrew pełnej świadomości, że każda podjęta przez nas próba jest realnym zagrożeniem dla naszego kraju — już jesteśmy w to zamieszani. Nie mogliśmy stać po prostu z boku i nic nie robić.

— Ja w tym względzie nie zrobiłem nic przez całe moje życie.

— Bo o niczym nie wiedziałeś — powiedziała Sara kładąc mu palec na ustach i przywierając do niego mocniej. — Ale teraz robisz.

— Oczywiście. A przynajmniej mam taki zamiar — szepnął i zamknął jej usta pocałunkiem.

Jan obudził się, gdy dziewczyna ubierała się już do wyjścia. Przyglądał się jej z uśmiechem, nie mówiąc jednak ani słowa. Gdy Sara pocałowała go krótko i zniknęła za drzwiami, udało mu się ponownie zapaść w sen. Obudził się przy

pełnym blasku dnia głodny jak wilk. Obfite śniadanie potwierdziło znakomitą renomę szkockiej kuchni, a ubierając się, pogwizdywał sobie wesoło pod nosem. Od czasu przybycia do Szkocji cała ta wyprawa przypominała bardziej wakacje, niż podejmowaną w pośpiechu próbę ratowania ludzkiego życia.

Nawet podróż rozklekotanym pociągiem nie była w stanie zmienić nastroju radosnego oczekiwania na niezwykłą przygodę. W wagonach znajdowało się niewielu miejscowych, większość pasażerów stanowili narciarze, przybyli w góry Szkocji na wakacje bądź urlop. Wypełnili przedziały różnokolorowym tłumem, często wybuchając głośnymi salwami śmiechu. Jan parokrotnie dostrzegł wędrujące z rąk do rąk butelki. Jedno było pewne — w tym rozgadany, wsiadającym i wysiadającym na każdej stacji tłumie nikt nie zwróci na niego specjalnej uwagi.

Po południu ściemniło się i zaczął padać puszysty śnieg. Gdy dojechał wreszcie do Forsinard i odebrał z przedziału bagażowego swój narciarski ekwipunek, zimny i kaśliwy wiatr przybrał na sile, wpędzając go przy okazji w bardziej odpowiedni do sytuacji nastrój przygnębienia. Wiedział, że od tej chwili rozpoczyna naprawdę niebezpieczną grę.

Jego kontakt był łatwy do zlokalizowania — ciemny punkt pośród kolorowych skafandrów i plecaków. Jan rzucił swój ekwipunek w śnieg i przyklęknął, by związać sznurowadło. Gdy wstał, ruszył za masywną postacią swego przewodnika. Przeszli przez drogę i skręcili w ubitą ścieżkę prowadzącą w las. Mężczyzna czekał już na niego pośrodku niewielkiej przecinki, niewidocznej od strony drogi.

— Jak mam się do ciebie zwracać? — zapytał, gdy Jan podszedł bliżej.

— Bili.

— Dobra, Bili. Ja jestem Brackley. Jest to moje prawdziwe nazwisko i nie obchodzi mnie, kto się o nim dowie. Odsiedziałem już swoje za drutami i zostawiłem tam nawet oko — wskazał na zakrywającą pusty oczodół czarną opaskę. Jan zauważył znaczącą policzek bliznę, częściowo skrytą przepaską, która biegła przez całe czoło i ginęła wreszcie pod wełnianą czapką.

— Latami próbowali mnie złamać, ale guzik im z tego wyszło. Zimno ci?

— Nie.

— To dobrze. Zresztą to i tak bez różnicy. Pług będzie dopiero po zmierzchu. Co wiesz właściwie o obozach pracy?

— Tylko tyle, że są.

Brackley skinął w odpowiedzi głową, a potem wyjął z kieszeni prymkę tabaki i odgryzł spory kawałek.

— Można się było tego spodziewać. Chcą, aby tylko tyle o nich wiedziano — mruknął poruszając pracowicie szczękami. — Gdy chłopaki popadną w kłopoty, pakują ich w takie miejsca jak to, z co najmniej dziesięcioletnimi wyrokami przymusowego karczowania lasów. Dobrze dla zdrowia, dopóki nie podpadniesz. Wtedy może ci się przytrafić to — wskazał kciukiem na dziurę po oku. — lub coś gorszego. Mogą cię nawet zabić, nie dbają o to. A gdy odsiedzisz już swoje,

wtedy dowiadujesz się, że jeszcze musisz odsiedzieć kolejnych dziesięć lat tutaj, w górach. A nie ma tu wiele do roboty. Poza wypasem owiec. A ludzie twojego pokroju, proszę o wybaczenie, wasza dostojność, lubią mieć zawsze świeże mięso, prawda? A więc ci biedacy odmrażają sobie tyłki aby dopilnować, byście je mieli. Po dziesięciu latach za drutami i dalszych dziesięciu z owcami większość z nich zostaje tutaj, pod warunkiem, że nie wsadzają nosa w nie swoje sprawy. Bardzo prosty system i zawsze działa — splunął brązową od tytoniu śliną na biały śnieg.

— A uciezki? — zapytał Jan, przestępując z jednej zmarzniętej nogi na drugą.

— Stosunkowo prosta sprawa. Ogrodzenia są z drutu kolczastego. Ale co potem? Wszędzie dookoła pustkowie, drogi i pociągi pod ścisłą kontrolą. Uciezka nie jest problemem, liczy się pozostanie przy życiu. I wtedy właśnie wkracza stary Brackley i jego chłopcy. Wszyscy odsiedzieliśmy swoje, jesteśmy wolni lecz nie możemy opuszczać gór. Sami nie sprawiamy kłopotów, lecz gdy ktoś przejdzie przez druty i nas znajdzie, wyciągamy go stąd. Na południe. Przekazujemy go waszym ludziom. Sprawnie i po cichu. A teraz chcecie kogoś, kto znajduje się w celi ścisłego nadzoru. Ciężka sprawa.

— Nie znam żadnych szczegółów.

— Ale ja znam. Po raz pierwszy dali nam broń. Będziemy się po tym musieli przyczaić na dość długi czas. Wielu może stracić głowy. Lepiej, by ten facet był rzeczywiście ważny.

— Bo jest.

— Tak mi też powiedziano. Spójrzmy lepiej na mapę, zanim się ściemni. Jesteśmy tutaj — wskazał masywnym palcem punkt na mapie. — Wyruszymy po zmroku i dotrzemy na przełaj tu — ponownie stuknął palcem w mapę. — Nie jest to zaznaczone, lecz mają tam sieć detektorów. Gdy przejdziemy przez nią na piechotę, nie odróżnią nas od jeleni czy dzików. Nie są zresztą zbyt czujni. Zaczynają szukać dopiero wtedy, gdy ktoś im ucieknie. Jak do tej pory nikt nie był na tyle głupi, by próbować dostać się do środka. Użyjemy raków. A ty będziesz miał te swoje śmieszne narty?

— Tak, potrafię się na nich poruszać dość szybko.

— Dobrze. Wyciągniemy faceta na saniach ratunkowych, więc będziemy mieli dosyć czasu. Potem z powrotem do pługa, na drogę, sam pług do jeziora i po krzyku.

— Nie zapomniałeś o czymś?

— Nigdy o niczym nie zapominam! — zaskoczony Jan runął prawie twarzą w śnieg pod wpływem przyjacielskiego klepięcia w ramię. — W tych okolicach jest mnóstwo szlaków dla narciarzy. Nawet jeżeli nie będzie padać, nigdy nie odnajdą waszych śladów — jest tutaj zbyt wiele innych. Razem z przyjacielem udacie się na zachód i będziecie mieli jakieś osiem, dziesięć godzin ciemności, by

umknąć przed pogonią. Chociaż wątpię, by tropili was w tym właśnie kierunku. Będą szukali kogoś kto idzie na piechotę, lub kieruje się na północ bądź południe drogą lub pociągiem. To będzie zupełnie nowa trasa ucieczki. Musicie uważać jedynie na zmotoryzowane patrole w pobliżu Loch Naver.

— Dziękuję, że o tym uprzedziłeś. Będziemy się pilnować.

— Dobrze — Brackley spojrział na ciemniejące szybko niebo, potem nachylił się i podniósł plecak i narty. — Czas ruszać.

W trakcie rozmowy Jan przemarzył na kość. Wzmagający się wciąż wiatr cisnął im w twarz tumanami śniegu. Jan szedł sztywno za Brackley'em, który kierował się w stronę dwóch wolno drogą sunących w ich kierunku bliźniaczych reflektorów. Gdy podeszli bliżej, ciemny wehikuł zatrzymał się. Wysoko ponad nimi otworzyły się drzwi i pomocne dłonie wciągnęły ich do środka.

— Chłopaki, to jest Bili — powiedział Brackley. W półmroku rozległ się szmer krótkich słów powitania. Jan nagle poczuł, jak łokieć Brackley'a uderza go boleśnie pod żebra. — A to jest pług gąsienicowy. Moi chłopcy wyjęli go leśniczym. Nie możemy robić tego zbyt często, bo się wkurzają i szukając przewracają wszystko do góry nogami. Wkurzą się jeszcze raz, gdy wiosną znajdą go w jeziorze. Ale tym razem musieliśmy to zrobić. Zaoszczędzi nam kupę czasu.

W kabinie włączone było ogrzewanie i Jan poczuł, jak robi mu się przyjemnie ciepło. Brackley zrobił pochodnię i zapalił ją, a Jan zdjął buty i masując zdrętwiałe stopy przywrócił w nich odrobinę krążenia. Potem nałożył długie skarpety i specjalnie wykonane buty biegowe. Wciąż zmagał się ze sznurowadłami, gdy pojazd zatrzymał się.

Chociaż w kabinie nie padło ani jedno słowo, wszyscy wydawali się doskonale wiedzieć, co mają robić. Mężczyźni szybko przypięli do butów okrągłe raki i wyskoczyli w wysoki do pasa śnieg. Dwu z nich ruszyło natychmiast do przodu, ciągnąc za sobą sanie, jakich w nagłych wypadkach używa Górskie Pogotowie Ratunkowe. Opatrzone były oficjalnym znakiem rozpoznawczym, a więc one także musiały zostać ukradzione. Jan przypiął narty i wjechał pomiędzy drzewa, zastanawiając się, jak u licha ci ludzie potrafią znaleźć drogę na tej białej pustyni.

— Stój — polecił Brackley i zatrzymał się tak niespodziewanie, iż Jan niemal na niego nie wpadł. — Nie możemy iść dalej. Weź to i czekaj tutaj — wcisnął obły kształt radionadajnika w rękę Jana. — Jeżeli ktoś będzie tędy przechodził nie pozwól, aby cię zobaczył. Wejź głębiej w las. I powiedz nam o tym przez radio, to wrócimy inną drogą. Potem cofnij się jeszcze bardziej w las, a my odnajdziemy cię, także używając radia.

Rozległo się parę ostrych, metalicznych zgrzytów, gdy przecinano zaporę z drutów kolczastych. Potem zapadła cisza i Jan został sam.

I to bardzo sam. Chociaż śnieg przestał padać, noc była w dalszym ciągu ciemna, księżyc bowiem skryty był za chmurami. Słupy z nawiniętym na nie drutem kolczastym ginęły w mroku po obu stronach. Jan wzdrygnął się i wsunął głębiej

pod osłonę drzew. Spoglądając co chwila na lśniący ekran zegarka, poruszał się bezustannie, starając się zachować w ten sposób ciepło. Minęło już pół godziny i wciąż nic. Zastanawiał się, jak daleko musieli iść i ile czasu potrzebowali, by przeprowadzić całą akcję.

Po godzinie oczekiwania nerwy napięte miał do ostateczności. W pewnej chwili widok ciemnego kształtu, wyłaniającego się z pośród drzew prosto na niego, sprawił, że serce podeszło mu niemal do gardła. Na szczęście był to tylko jeleń. Wyczuwając jego zapach musiał być o wiele bardziej wystraszony, niż Jan. Po dziewięćdziesięciu dalszych minutach ze zmroku wyłoniło się więcej ciemnych sylwetek. Jan miał już nacisnąć guzik nadajnika, gdy rozpoznał długi kształt ciągniętych po śniegu sań.

— Poszło jak po maśle — wysapał zadyszany Brackley. — Nie potrzebowaliśmy nawet pistoletów. Użyliśmy noży i załatwiliśmy z pół tuzina sukinsynów. Masz tutaj swojego przyjaciela, chociaż już go zdążyli trochę trącić. Weź linę i spróbuj pociągnąć. Chłopcy są zupełnie wykończeni.

Jan schwycił linę, przeciągnął ponad ramieniem i okręcił ją dodatkowo dookoła pasa. Pociągnął i sanie ruszyły niespodziewanie lekko, szybko nabierając prędkości, tak, że wkrótce wysforował się do przodu. Musiał jednak zwolnić, by pozostać za Brackley'em, który pokazywał drogę. Parę minut później byli już przy pługu i wnieśli sanie do środka przez luk towarowy z tyłu pojazdu. Jeden z mężczyzn uruchomił silnik i ruszyli do przodu, zanim jeszcze wszyscy zdążyli wspiąć się do kabiny.

— Mamy jakieś pół godziny, może godzinę — powiedział Brackley. Wypił parę łyków wody z butelki i przekazał ją dalej.

— Wszyscy strażnicy przy celach ścisłego nadzoru są martwi — a cały budynek wyleci w powietrze zanim zorientują się, co się stało.

— Lecz będą mieli inne rzeczy do przemyślenia — zareplikował jeden z mężczyzn. Wkoło podniósł się szmer aprobaty.

— Podłożyliśmy ogień pod kilka magazynów — odparł Brackley.

— Mam nadzieję, że to ich trochę zajmie.

— Czy ktoś byłby tak uprzejmy i pomógł mi się z tego wyplątać? — zapytał leżący na saniach mężczyzna.

Błysnęło światło latarki i Jan odwiązał pasy mocujące dla bezpieczeństwa ciała Uri. Wyglądał młodo, na nie więcej niż dwadzieścia lat. Wrażenie to podkreślały jeszcze czarne włosy i głęboko osadzone, ciemne oczy.

— Czy macie jakiś plan dalszego działania? — zapytał.

— Idziesz ze mną — odparł Jan. — Potrafisz jeździć na nartach?

— Na śniegu nie, ale bardzo dobrze idzie mi na wodnych.

— Dobrze i to. Nie będziemy zjeżdżać z góry, lecz biec na przelaj. Mam ze sobą ubranie i wszystko czego będziesz potrzebował.

— To zabawne — powiedział Uri drżąc i usiłując się podnieść. Ubrany był jedynie w cienki, więzienny pasiak. — Pomóż mi abym mógł usiąść na ławce.

— Po co? — zapytał Jan, zaskoczony nagłym przyplywem strachu.

— W tym obozie jest paru niezłych drani — powiedział Uri, przy pomocy Jana siadając ciężko na ławce. — Ponieważ nie mówiłem zbyt dużo, chociaż przypro-wadzili tłumacza znającego włoski, więc spróbowali mnie do tego zachęcić.

Wyplątał stopę spod okrywających ją koców. Była czarna od zakrzepłej krwi. Jan przysunął się bliżej i ze zgrozą zauważył, że wszystkie paznokcie zostały wyrwane. Jak on miał chodzić — a tym bardziej jeździć na nartach — z takimi stopami?

— Nie wiem, czy to cokolwiek pomoże — powiedział po chwili milczenia Brackley. Lecz ci, którzy to zrobili, nie żyją.

— Stopom to nie pomoże, lecz miło mi to słyszeć. Dziękuję.

— O stopy zatroszczymy się także. Zawsze istniała możliwość, że coś takiego może się przytrafić. — Brackley sięgnął za pazuchę i wyciągnął płaskie, metalowe pudełeczko. Po zdjęciu pokrywy wyjął z niego strzykawkę i zdjął tkwiącą na igle nakrętkę. Ludzie, którzy mi to dali powiedzieli, że jeden zastrzyk powstrzyma ból przez sześć godzin. Nie powoduje żadnych efektów ubocznych, ale może spowodować uzależnienie.,

Wkłuł igłę w biodro Uriego i wolnym ruchem wcisnął tłok aż do końca.

— Macie tu jeszcze dziewięć — powiedział, wręczając im pudełeczko.

— Podziękujcie ode mnie temu, kto o tym pomyślał — rzucił z wdzięcznością Uri. — Czuję jak zaczynają mi drętwieć palce.

Jan pomógł mu założyć kombinezon. Jazda stała się znośniejsza, gdy wjechali na drogę i przyśpieszyli. Jechali nią jednak zaledwie kilka minut, a potem ponownie skręcili w głęboki śnieg.

— Przed nami punkt kontrolny безпеki — wyjaśnił Brackley — Musimy go objechać.

— Nie wiedziałem jakiego rozmiaru nosisz buty — powiedział Jan. — A więc na wszelki wypadek wziąłem ze sobą trzy pary.

— Zaraz spróbuję. Obandażuję tylko palce, aby powstrzymać krwawienie. Sądzę, iż te będą w sam raz.

— Nie uwierają w piętę?

— Nie, leżą doskonale — ubrany i rozgrzany Uri rozejrzał się po ledwie widocznych w małym świetle pochodni postaciach. — Nie wiem, jak mam wam dziękować, chłopcy. . .

— Nie musisz. Była to dla nas przyjemność — przerwał Brackley. Wehikuł nagle zwolnił i stanął. Dwóch mężczyzn bez słowa wysiadło i pług ruszył dalej. — Wy wysiądziecie na końcu. Dalej poprowadzę sam i zatroszczę się o nasz pojazd. Bili, wysadzę was w miejscu, które pokazywałem na mapie. Od tej chwili będziesz już musiał radzić sobie sam.

— Dam sobie radę — odparł Jan.

Jan przepakował zawartość plecaków i lżejszy z nich zamocował na ramionach Uriego.

— Mogę nieść więcej, niż tylko to — zaprotestował Uri.

— Może gdybyś szedł, ale ja będę szczęśliwy, jeżeli w ogóle będziesz w stanie utrzymać się na nartach. A dla mnie dodatkowy ciężar nie jest żadnym problemem.

Gdy zatrzymali się po raz ostatni, pług był już pusty. Brackley wysiadł z kabiny i otworzył luk towarowy, z którego ześliznęli się na oblodzoną nawierzchnię drogi.

— Kierujcie się w tamtą stronę — powiedział Brackley, wskazując kierunek wyciągniętą ręką. Szybko zjedźcie z drogi i nie zatrzymujcie się, dopóki nie będziecie głęboko w lesie. Powodzenia.

Zniknął, zanim Jan zdołał wykrztusić jakąś stosowną odpowiedź. Silniki pługu zagrzmiały, gąsienice wyrzuciły spod siebie grudy lodu i zamrożonego śniegu i pozostali sami. Z wysiłkiem przedzierali się przez wysokie zasy w stronę ciemniejącej nie opodal linii drzew. Podczas gdy Uri przyświecał niewielką pochodnią, Jan klęknął i umocował buty w wiązaniach, a potem pomógł zrobić swojemu towarzyszowi to samo.

— Przesuń pętlę rzemyka na kijku przez nadgarstek, w ten właśnie sposób, widzisz? Niech kijek zwisa swobodnie z nadgarstka. Teraz obejmij po prostu dłoń swobodnie uchwyt. W ten sposób nigdy nie zgubisz kijka. A teraz jeśli chodzi o sam ruch. Musisz postarać się ślizgać. Gdy przesuwasz prawą stopę do przodu, odpychaj się równocześnie kijkiem trzymanym w prawej ręce. Potem przenieś ciężar ciała na drugą nogę i odepchnij się lewym kijkiem, przesuwając lewą nartę do przodu. Zrozumiałeś?

— Chyba tak, ale nie jest to takie proste.

— Wszystko zależy od tego, jak szybko uchwycisz właściwy rytm. Obserwuj mnie. Pchnięcie... pchnięcie. Ruszaj teraz i jedź po moich śladach. Będę cały czas za tobą.

Uri ruszył do przodu i nabierał właśnie niezbędnej płynności, gdy udeptany szlak skończył się nagle i stanęli przed puszystą, nietkniętą ludzką stopą pustynią białego śniegu. Jan wysunął się do przodu, by przecierać szlak. Widziane przez ciemne sylwetki drzew niebo zaczęło się z wolna przejaśniać i gdy wjechali wreszcie na przecinkę, Jan zatrzymał się i spojrzał w górę. Księżyc stał wysoko ponad dryfującymi wolno chmurami. Tuż przed nimi niewyraźnym zarysem majaczył ciemny kształt góry.

— To Ben Griam Beg — powiedział Jan. — Będziemy musieli ją obejść...

— Dzięki Bogu! Już myślałem, że będziesz chciał, byśmy się na nią wspinali — oddech Uriego był przerywany i płytki, a twarz mokra od potu.

— Nie ma takiej potrzeby. Przejdziemy przez zamrożone jeziora i strumienie, a dalej droga będzie łatwiejsza.

— Jak daleko jeszcze musimy iść?

— W linii prostej jakieś osiemdziesiąt kilometrów, lecz będziemy chyba zmuszeni zrobić parę obejść.

— Nie wiem, czy dam radę — odparł Uri, wpatrując się ponurym wzrokiem w rozciągającą się przed nimi lodową pustynię. — Czy wiesz coś o mnie? To znaczy, czy...

— Sara powiedziała mi wszystko, Uri.

— Dobrze. Mam przy sobie pistolet. Jeżeli sam nie będę w stanie go użyć, zastrzel mnie i uciekaj. Rozumiesz?

Jan zawahał się na chwilę, a potem powoli skinął głową.

Rozdział 13

Sunęli do przodu. Zatrzymywali się o wiele częściej niżby Jan sobie tego życzył, ponieważ Uri pomimo wysiłków nie był w stanie utrzymać stałego tempa. Szybko jednak nabierał doświadczenia, przejeżdżając za każdym razem coraz dłuższe odcinki trasy. Zostały im jeszcze cztery godziny ciemności. Podczas kolejnego postoju, tuż u podstawy góry, Jan sprawdził kierunek przy pomocy żyrokompasu.

— Zaczyna mnie boleć... Będę musiał wziąć kolejny zastrzyk — powiedział nagle Uri.

— Zrobimy więc dziesięciominutową przerwę. Przy okazji zjemy coś i napijemy się.

— Cholernie dobry pomysł.

Jan wyłuskał z plecaka dwie kostki koncentratu owocowego i jedną wręczył Uriemu. Przez chwilę jedli w milczeniu, popijając wodę z manierek.

— To lepsze, niż jedzenie w obozie — powiedział Uri, kończąc swą porcję. — Byłem tam trzy dni, ale dawali bardzo niewiele do jedzenia, a jeszcze mniej do picia. Daleko stąd do Izraela. Nawet nie przypuszczałem, że na świecie są takie miejsca, gdzie jest tak dużo śniegu. Co mamy w planie dalej, gdy już zakończymy tę wycieczkę?

— Udamy się do hotelu Altnacealgach. Właściwie to leśniczówka, położona w samym środku lasu. Wydaje mi się, że ktoś cię tam przejmie, lub też może będę musiał zawieźć cię gdzieś dalej. W każdym razie będzie tam już mój samochód. Przynajmniej ukryjesz się tam przez jakiś czas, gdy ja już zniknę.

— Z prawdziwym utęsknieniem czekam już na tę leśniczówkę. Chodźmy dalej, zanim rozkleję się zupełnie i nie będę się mógł poruszać.

Jan był zmęczony jeszcze na długo przed świtem — wolał nic myśleć, w jakim stanie musiał znajdować się Uri. Musieli jednak posuwać się dalej, próbując oddalić się jak najbardziej od obozu. Schyłek nocy przyniósł krótkotrwałe opady śniegu, wystarczająco gęstego, by zakryć ślady nart. Jeżeli Służba Bezpieczeństwa będzie szukała jakichkolwiek śladów...

Istniało spore prawdopodobieństwo, że nie będzie, a przynajmniej nie w tej chwili. Jednak prawdziwe niebezpieczeństwo nadejdzie wraz ze wschodem słońca — do tej pory będą musieli być już dobrze ukryci.

— Musimy się zatrzymać — zdecydował Jan. — Schowamy się pod tymi drzewami.

— To najpiękniejsze słowa jakie słyszałem w życiu.

Jan udeptał zagłębienie w śniegu i rozłożył w nim śpiwory.

— Włóż do środka — polecił. — Przedtem zdejmij jednak buty. Będę na nie uważał i przygotuję coś ciepłego do jedzenia.

Gdy pomógł Uriemu ściągnąć buty spostrzegł, iż skarpetki i bandaż spowijające jego stopy są przesiąknięte krwią.

— Na szczęście nic nie czuję — powiedział Uri, wślizgując się do swego śpiwora. Po zapięciu zamka Jan zasypał śpiwór śniegiem, tak że stał się niewidoczny.

— Te śpiwory wykonane są z insulkonu, używanego przy konstrukcji kombinizonów kosmicznych. Mają wewnątrz warstwę izolującego gazu, niemal tak doskonałego, jak próżnia. Wkrótce będziesz musiał rozpiąć górną część, albo ugotujesz się we własnym pocie.

— Wprost o tym marzę.

Robiło się coraz jaśniej, więc Jan zakrzętał się przy elektrycznej kuchence. W niewielkim garnuszku stopił trochę śniegu, a potem dorzucił paczkę gulaszu. Gdy posilali się pierwszą porcją, Jan nastawił drugą. Potem umył wszystko do czysta, rozpuścił śnieg, napełnił świeżą wodą manierki i spakował cały ekwipunek z powrotem do plecaka. Szary blask ustąpił miejsca pełnemu światłu dnia. W od dali, tuż nad linią horyzontu dostrzegli, kołujący wolno samolot. Najwidoczniej poszukiwania już się rozpoczęły.

Jan wsunął się do śpiwora i przysypał go śniegiem. Ze śpiwora Uriego wydobywało się różne pochrapywanie. Jan nastawił budzik i ukrył twarz w ciepłym materiale. Początkowo obawiał się, że nie będzie mógł zasnąć, rozmyślając z troską o rozpoczynających się właśnie poszukiwaniach, lecz nie wiedzieć kiedy sen pokonał go i ocknął się niespodziewanie na głos budzika, który bzyczał mu prosto w ucho.

Drugiej nocy, chociaż poruszanie się było łatwiejsze, pokonali mniejszy dystans, niż nocy poprzedniej. Powodem tego był tracący bez ustanku krew Uri, który pomimo nawet zastrzyków przeciwbólowych z coraz większym trudem posuwał się do przodu. Na godzinę przed świtem przecięli zamrożone jezioro i natknęli się niespodziewanie na ocienioną jaskinię u podstawy łożyska skalnego. Jan zdecydował, iż pozostaną w tym miejscu na dzień. Miejsce było tak idealne, że nie warto było forsować rannego jeszcze przez kilka kilometrów.

— Nie idzie mi zbyt dobrze, prawda? — zapytał Uri, drobnymi łydkami popijając gorącą herbatę.

— Jeszcze zrobię z ciebie dobrego narciarza przełajowego. Wkrótce będziesz zdobywał medale.

— Wiesz, że nie o tym mówię. Nigdy nie uda mi się dotrzeć do tego hotelu.

— Po dobrym odpoczynku z pewnością poczujesz się lepiej.

Było już późne popołudnie, gdy nagłący głos Uriego wyrwał Jana z drzemki.

— Ten dźwięk — powiedział z niepokojem. — Słyszysz? Co to może być?

Jan wysunął się ze śpiwora i uniósł głowę. Wtedy usłyszał to wyraźnie. Wysoki, jęklivy dźwięk, dobiegający z drugiej strony jeziora.

— To skuter śnieżny — odparł. — I wygląda na to, że się zbliża. Trzymaj głowę nisko, to nie powinien nas zauważyć. Nasze ślady zasypał śnieg, nie może więc jechać bezpośrednio po nich.

— Czy to policja?

— Prawdopodobnie. Nie przychodzi mi na myśl nikt inny, kto mógłby posługiwać się tego typu ekwipunkiem w zimie. Bądź cicho, a wszystko będzie dobrze.

— Nie. Gdy się zbliży usiądź i zamachaj ręką. Postaraj się zwrócić na siebie uwagę.

— Co takiego? Nie zamierzasz chyba...

— Tak. Obaj wiemy doskonale, że nie wyjdę z tego lasu na piechotę. Lecz mogę to zrobić na tym skuterze. — Zanim się poruszysz pozwól mu się zbliżyć tak blisko, jak to tylko możliwe.

— To wariactwo.

— Pewnie. Ta cała ucieczka to czyste wariactwo. Uważaj, nadjeżdża.

W miarę zbliżania się skutera, jęklivy dźwięk przybierał na sile. Pojazd był jaskrawo czerwony, a obracające się szybko gaśienice wyrzucały fontanny śniegu. Kierowca w grubych goglach na oczach wydawał się patrzeć prosto przed siebie. Jechał wzdłuż brzegu jeziora, mijając ich w odległości około 10 metrów. Było bardzo mało prawdopodobne, by mógł dostrzec ich kryjówkę.

— Teraz! — krzyknął Uri. Jan wstał i krzyknął, machając przy tym gwałtownie rękami.

Kierowca dostrzegł go natychmiast i zwolnił, skręcając równocześnie w jego kierunku. Sięgnął w dół, wyjął z uchwytu mikrofon i podnosił go właśnie do ust, gdy strzał z pistoletu raketowego trafił go prosto w pierś. Pistolet tego typu strzelał bezszmerowymi i samonaprowadzającymi się pociskami, - które przechodziły na wylot przez ciało człowieka. Mężczyzna rozłożył szeroko ramiona i runął do tyłu. Skuter przewrócił się na bok. Przez chwilę gaśienice rozcinały jeszcze bezsilnie powietrze, dopóki automat nie wyłączył wreszcie silnika.

Chociaż Jan poruszał się szybko, Uri dobiegł do miejsca wypadku jeszcze szybciej. Wskoczył ze śpiwora i pozostawiając za sobą czerwone ślady na śniegu, pobiegł w kierunku leżącego mężczyzny. Ten jednak był już martwy.

— Zginął na miejscu — powiedział Uri, ściągając z policjanta kurtkę. — Spójrz na tę dziurę — nie tracąc czasu nałożył na siebie kurtkę, zmywając z niej

jedynie plamy krwi. Jan schylił się i mocnym szarpnięciem postawił skuter na gąsienice.

— Radio jest wciąż wyłączone — zauważył. — Na szczęście nie zdążył wysłać wiadomości.

— To najlepsza wiadomość od czasu mojego ostatniego bar miewa. Czy kierowanie tym czymś nastrecza wiele problemów?

Jan potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Baterie wydają się być w pełni naładowane, wystarczą jeszcze na co najmniej dwieście kilometrów. Prawa manetka reguluje przepustnicę. Jazda takim skuterem to całkiem niezła przyjemność. Jeździłeś kiedyś na motocyklu?

— Tak, całkiem sporo.

— A więc nie powinieneś mieć teraz większych problemów. Ale gdzie my właściwie teraz pojedziemy?

— Właśnie nad tym myślałem — ubrany w kurtkę mundurową i wysokie buty, Uri sięgnął do plecaka i wyjął szczegółową mapę.

— Czy mógłbyś mi pokazać, gdzie my się właściwie znajdujemy?

— Tutaj — odparł Jan wskazując palcem na mapę. — Przy tym dopływie jeziora Shin.

— To miasto na północnym wybrzeżu, Durness. Czy w Szkocji jest jeszcze wiele miast o takiej samej nazwie?

— Nie wiem o żadnym.

— Dobrze. Znam na pamięć listę miast, w których w razie kłopotów mogę nawiązać bezpieczne kontakty. Durness jest właśnie jednym z nich. Czy mógłbym dostać się tam sam?

— Mógłbyś, o ile po drodze nie wpakujesz się w jakieś kłopoty. Idź wzdłuż tego strumienia, co pozwoli ci trzymać się z dala od dwóch głównych tras z północy na południe. Przez cały czas kieruj się wskazaniem kompasu, dopóki nie dotrzesz na wybrzeże. Staraj się nie rzucać w oczy i kryj się zawsze aż do zmroku. Potem nałóż własne ubranie i zrzuć skuter ze skał do oceanu — razem z mundurem, pamiętaj! Od tej chwili będziesz już zdany wyłącznie na samego siebie.

— Po dotarciu na wybrzeże z pewnością dam sobie radę. A co z tobą?

— Ja pójdę dalej. Odbędę miłą wycieczkę krajoznawczą — coś, co lubię. Nie martw się o mnie.

— A co z naszym martwym przyjacielem?

Jan spojrzął na nagie, zakrwawione ciało leżące na śniegu mężczyzny.

— Zajmę się nim. Ukryję ciało w lesie. Z pewnością znajdą go wilki, a resztką zajmą się wrony. Do wiosny zostanie jedynie parę kości. . .

— Zasłużył sobie na to. Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów. I naprawdę jestem ci wdzięczny, że chcesz się tym zająć. W takim razie mogę ruszać w drogę — wyciągnął w stronę Jana dłoń w czarnej rękawicy. — Dziękuję ci za wszystko. Zwycięzimy, zobaczysz.

— Mam taką nadzieję. Shalom.

— Dzięki. Lecz Shalom później. Zajmij się teraz tym draniem. — Uri uruchomił silnik i po chwili zniknął po drugiej stronie jeziora.

— Powodzenia — szepnął Jan i zawrócił w stronę obozowiska.

Przede wszystkim ciało. Ujął je za stopy i zaciągnął w las, pozostawiając na śniegu wyraźny, czerwony ślad. Po jego odejściu natychmiast zjawia się tutaj padlinożerca. Przysypał śniegiem ślady krwi i poszedł zwijać obóz. Śpiwór i ekwipunek Uriego zapakował do jednego plecaka, a to wszystko, czego będzie potrzebował, do drugiego. Nie było sensu pozostawać dłużej w tej okolicy. Gdy będzie szedł przez las zachowując dostateczne środki ostrożności, przed zmierzchem oddali się dość znacznie od miejsca zasadzki. Przewiesił swój plecak przez plecy, drugi plecak wraz z nartami Uriego postanowił pociągnąć za sobą i ruszył w drogę. Po przejściu kilku kilometrów zakopał drugi plecak wraz z nartami w gęstwinie krzewów, i pozbawiony dodatkowego obciążenia, przyśpieszył tempa. Słyszac odległy warkot kolejnego skutera położył się w śnieg i odczekał, dopóki pojazd nie minął go w bezpiecznej odległości. Tuż przed zachodem słońca dostrzegł kołujący samolot, lecz przedzierając się przez gęsty las czuł się zupełnie bezpieczny, wiedział bowiem, że w tej chwili jest dla pilota zupełnie niewidoczny. Dwie godziny później rozbił obóz.

Noc przyniosła ze sobą dalsze opady śniegu. Jan kilkakrotnie budził się i odgarniał niewielkie zasy, które utrudniały mu oddychanie. Rankiem obudził się rześki i wypoczęty i w pewnej chwili zorientował się iż pogwizduje sobie wesoło pod nosem, przygotowując śniadanie. A więc wszystko było już skończone, a on bezpieczny. Miał nadzieję, że Uriemu także udało się uniknąć tropiących go prześladowców. Bezpieczny albo martwy, Jan wiedział, iż Izraelita nie da się ponownie schwytać żywcem.

Gdy pędził na przełaj przez Benmore Loch, było już późne popołudnie. Na dźwięk nadjeżdżającego szosą 837 samochodu zatrzymał się i wśliznął pod gęstą osłonę drzew. Hotel nie powinien być już daleko. Ale co właściwie powinien teraz zrobić? Mógłby spędzić kolejną noc na śniegu, a zameldować się w hotelu dopiero rankiem. Nie był jednak pewien, czy byłaby to mądra decyzja. Jak najszybszy przyjazd do hotelu wydawał się najlepszym rozwiązaniem, na wypadek gdyby ktoś żywił do niego jakiegokolwiek podejrzenia w związku z wcześniejszymi wydarzeniami w obozie w Slethill. A zresztą dobra kolacja a potem kieliszek wina przy ciepłym płonącego wesoła kominka także nie były do pogardzenia.

Jan zjechał szybko z niewielkiego wzgórza i wkroczył na dziedziniec hotelowy. Odpiął narty i ustawił je na stojaku tuż przed głównym wejściem. Przymrużając oczy, by strząsnąć z butów resztki śniegu pchnął ciężkie, podwójne drzwi i wszedł do hollu. Po paru dniach na otwartej przestrzeni wewnątrz hotelu wydało mu się gorące i ciasne.

Gdy podchodził do recepcji, z biura kierownika wyszedł właśnie jakiś mężczyzna i odwrócił się w jego kierunku.

— Witaj, Janie — powiedział Thurgood-Smythe. — Czy miałaś przyjemną podróż?

Jan wytrzeszczył oczy i zastygł w wyrazie zupełnego zaskoczenia.

— Smitty! — rzucił wreszcie. — Co ty do diabła tutaj robisz? — dopiero potem uświadomił sobie, iż ta jego żywiołowa odpowiedź była prawidłowa. Thurgood-Smythe z uwagą studiował jego twarz, lecz zaskoczenie niespodziewanym widokiem szwagra było najzupełniej naturalne.

— Miałem parę powodów — odparł oficer Bezpieczeństwa. — Wyglądasz na wypoczętego, w pełni sił i zdrowia. Może wypilibyśmy po drinku, by ponownie uzupełnić twe ciało niezbędnymi toksynami?

— Wspaniały pomysł. Ale nie przy barze. Mam wrażenie, że powietrze tutaj przypomina syrop. Równie dobrze możemy napić się w moim pokoju. Uchylę trochę okno, a ty przez chwilę posiedzisz na kaloryferze.

— Dobrze. Mam twoje klucze, a więc możesz zaoszczędzić sobie kłopotów. Chodźmy na górę.

W zatłoczonej obcymi osobami windzie nie zamienili już ze sobą ani słowa. Jan patrzył prosto przed siebie, starając się uporządkować myśli. Co Thurgood-Smythe podejrzewał? Miał przecież w swym posiadaniu klucz od pokoju Jana i bynajmniej nie robił z tego tajemnicy. Lecz rewizja nie wykryłaby niczego — w bagażach nie było nic podejrzanego. Jan wiedział, iż szwagier z pewnością nie jest głupi, a więc w tym wypadku najlepszą obroną będzie atak.

— Co się właściwie dzieje, Smitty? — zapytał, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi pokoju. — Zrób mi przysługę i nie opowiadaj mi, że znalazłeś się tutaj przez czysty przypadek — nie z moim kluczem w kieszeni. Czyżby Służba Bezpieczeństwa zaczęła interesować się moją skromną osobą?

Thurgood-Smythe stanął przy oknie, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w biały, pustynny krajobraz.

— Napiłbym się whisky, jeżeli masz. Podwójną. Problem polega na tym, mój drogi Janie, że nie wierzę w przypadkowe zbiegi okoliczności. Moja łatwowierność została już wyczerpana. A ty ostatnio zbyt często znajdowałeś się niezwykle blisko wielu interesujących wydarzeń.

— Czy mógłbyś to wyjaśnić?

— Doskonale wiesz o czym mówię. Wypadek na Morzu Czerwonym, nielegalne wejście do zastrzeżonych danych przez komputer w twoim laboratorium.

— Przecież to o niczym nie świadczy. Jeżeli uważasz, że świadomie usiłowałem wpakować się z niejasnych powodów w kłopoty, to ty powinieneś poddać się badaniu, a nie ja. To laboratorium — ilu właściwie ludzi jest tam zatrudnionych?

— Punkt dla ciebie — odparł Thurgood-Smythe. — Dzięki — dorzucił odbierając z rąk Jana szklaneczkę whisky. Jan uchylił trochę okno i oddychał przez chwilę czystym, mroźnym powietrzem.

— Same w sobie te dwa incydenty są właściwie bez znaczenia. Zacząłem się niepokoić dopiero gdy dowiedziałem się, że właśnie teraz znajdujesz się w Szkocji. W jednym z położonych niedaleko obozów miał miejsce bardzo poważny wypadek, a to oznaczało, iż twoja obecność tutaj mogła być podejrzana.

— Nie rozumiem dlaczego — odparł Jan zimnym, pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu głosem. — Od dwóch czy trzech lat przyjeżdżam tutaj parokrotnie każdej zimy.

— Wiem o tym, dlatego też rozmawiam z tobą w taki właśnie sposób. Gdybym nie był mężem twojej siostry, całe to spotkanie miałoby zupełnie inny przebieg. Miałbym w kieszeni biomonitor, a odczyty bicia twojego serca, napięcia mięśni, wydzielania potu i fal mózgowych powiedziałyby mi, czy kłamiesz.

— Dlaczego miałbym kłamać? Jeżeli rzeczywiście masz coś takiego w kieszeni, to sprawdź i sam się przekonaj.

Tym razem złość Jana nie była udawana — nie podobał mu się kierunek, w jaki zбочyła ta rozmowa.

— Nie mam. Zastanawiałem się co prawda nad tym poważnie, lecz w końcu zostawiłem w biurze. Nie zrobiłem tego dlatego, że cię lubię, Janie. To nie ma nic do rzeczy. Gdybyś był kimś innym, przesłuchiwałbym cię w tej chwili, a nie prowadziłbym taką niezobowiązującą pogawędkę. Jednak gdybym to zrobił, Elizabeth dowiedziałaby się o tym prędzej czy później i byłby to koniec naszego małżeństwa. Jej instynkty opiekuńcze nad małym braciszkiem są rozwinięte w o wiele większym stopniu, niż jest to zazwyczaj przyjęte. Nie życzę sobie wystawiać ich na próbę w kwestii wyboru — ty czy ja. Mam bowiem niejasne wrażenie, że wybór ten padłby na ciebie.

— Smitty, na litość boską — o co w tym wszystkim chodzi?

— Pozwól mi skończyć. Zanim powiem ci o wszystkim, co się naprawdę wydarzyło, powiem ci, co się dopiero wydarzy. Pojadę do Elizabeth i powiem jej, że pewien departament Służb Bezpieczeństwa objął cię nadzorem policyjnym. To prawda. Powiem jej także, iż nic nie mogłem zrobić, aby temu zapobiec — to zresztą także jest prawdą. To, co wydarzy się w przyszłości będzie zależało tylko i wyłącznie od tego, co zrobisz. Do tej chwili jesteś czysty, rozumiesz?

Jan skinął powoli głową.

— Dzięki, Smitty. Możesz się przeze mnie wpakować w kłopoty, prawda? Uprzedzenie mnie o nadzorze policyjnym może okazać się dla ciebie nieprzyjemne, mam rację?

— To prawda. A ja ze swej strony doceniłbym, gdybyś po wykryciu pewnych aspektów tej inwigilacji zadzwonił do mnie i o wszystkim mnie poinformował.

— Oczywiście. Gdy tylko powrócę do domu. A teraz może byś mi powiedział, co ja takiego przypuszczalnie zrobiłem. . .

— Nie zrobiłeś — co mogłeś zrobić — w głosie Thurgood-Smythe'a nie było już ani śladu ciepła. Przed Janem stał chłodny, wyniosły oficer Służby Bezpieczeństwa. — Z obozu położonego całkiem niedaleko zbiegł włoski marynarz. Sama ucieczka nie wzbudziłaby większego zainteresowania, lecz dwie rzeczy sprawiły, że nabrała zupełnie innego znaczenia. Ucieczkę umożliwili mu ludzie z zewnątrz, zabijając przy tym kilku strażników. Wkrótce potem otrzymaliśmy od władz włoskich raport, stwierdzający, iż osobnik taki nigdy nie istniał.

— Nie rozumiem. . .

— Nie figurował w ich kartotekach. Wszystkie dokumenty zostały bardzo profesjonalnie podrobione. A to oznacza, że jest obywatelem innego państwa, prawdopodobnie szpiegiem.

— Ale przecież rzeczywiście może być Włochem.

— Z pewnych powodów bardzo mocno w to wątpię.

— Jeżeli nie Włoch — to w takim razie jakiej jest narodowości?

— Myślałem, że być może ty będziesz w stanie mi to powiedzieć — głos oficera był cichy i miękki jak jedwab.

— A niby skąd mógłbym o tym wiedzieć?

— Mogłeś pomóc mu w ucieczce, przeprowadzić przez las i ukryć gdzieś w pobliżu.

Było to tak nieoczekiwane i równocześnie bliskie prawdy, iż Jan poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba.

— Mogłem — jeżeli ty tak mówisz. Ale nie zrobiłem tego. Zaraz pokażę ci na mapie gdzie dokładnie byłem. A potem ty mi powiesz, czy byłem blisko trasy tej tajemniczej ucieczki.

Thurgood-Smythe zbył ten pomysł lekceważącym machnięciem ręki.

— To niepotrzebne. Nie jest to przekonywujący dla mnie dowód by osądzić, czy kłamiesz czy też nie.

— Ale czego, na Boga, szukałby u nas zagraniczny szpieg? Myślałem, że żyjemy z wszystkimi w pokoju.

— Nie ma czegoś takiego jak stały pokój — istnieją jedynie zmodyfikowane formy działań wojennych.

— To bardzo cyniczne stwierdzenie.

— Mój zawód także należy do cynicznych.

Jan ponownie napełnił obie szklance i przysiadł na parapecie. Thurgood-Smythe wybrał fotel stojący w wolnym od zimnych podmuchów kącie pokoju.

— Nie bardzo podoba mi się to wszystko, co przed chwilą powiedziałeś — zauważył kwaśno Jan. — Morderstwa, więźniowie, nadzór policyjny. . . Czy takie rzeczy zdarzają się często? Dlaczego nigdy się o czymś takim nie słyszy?

— Nie słyszysz o tym, mój ty drogi bracie, ponieważ nie chcemy, byś słyszał. Otaczający nas świat jest bardzo nieprzyjemnym miejscem, nie ma więc potrzeby, by informować społeczeństwo o tak pożałowania godnych wypadkach.

— A więc mówisz mi, że wszystkie ważne wydarzenia na świecie utrzymywane są przed ludźmi w tajemnicy?

— Właśnie. A jeżeli sam do tej pory nie zauważyłeś, to jesteś większym głupcem, niż przypuszczałem. Ludzie z twojej klasy wolą nie wiedzieć, pozwalając ludziom takim jak ja odwalać za nich całą brudną robotę, traktując nas przy okazji z góry.

— To nieprawda, Smitty. . .

— Nie? — jego głos był teraz nieprzyjemny i ostry. -A więc dlaczego właściwie nazywasz mnie Smitty? Czy zwracałeś się kiedykolwiek do Ricardo de Torres'a — Ricky?

Jan usiłował odpowiedzieć, lecz nie mógł znaleźć odpowiednich słów. To była prawda. Thurgood-Smythe był potomkiem szarych urzędników państwowych; Ricardo de Torres wywodził się z utytułowanej, dysponującej olbrzymim majątkiem rodziny. Przez długie sekundy Jan czuł, iż jest przeszywany pełnym zimnej nienawiści spojrzeniem. W końcu jego szwagier odwrócił się.

— Jak mnie tu znalazłeś? — zapytał Jan, próbując zmienić temat.

— Nie udawaj, że się tego nie domyślasz. Lokalizacja twojego samochodu zawsze jest w pamięci komputera drogowego. Czy zdajesz sobie sprawę, jak wielki jest zakres kontroli komputerowej?

— Nigdy o tym nie myślałem, przypuszczam, że duży.

— Daleko większy, niż ci się wydaje — i o wiele lepiej zorganizowany. Nie ma takiej rzeczy, jak zbyt mało danych. Jeżeli zechcemy, możemy wyświetlić każdą sekundę twojego życia. Mamy wszystko zarejestrowane.

— To niemożliwe, zwariowane. Wkraczacie teraz na moje terytorium. Nie ważne jak wiele macie w to zaprogramowanych obwodów, czy jak wiele macie do dyspozycji banków pamięci. Jest po prostu fizycznie niemożliwe, abyście mogli przez cały czas śledzić wszystkich ludzi w kraju.

— Oczywiście, że możliwe. Ale ja nie mówiłem o całym kraju. Mówiłem o jednym osobniku. O tobie. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi w naszym społeczeństwie jest zupełnie neutralnych. Stanowią oni jedynie nazwiska w bankach pamięci, pozbawione dla nas jakiegokolwiek znaczenia. Tysiące identycznych jak zapałki proli. Próźniacy z klas wyższych, którzy wraz ze wzrostem bogactwa i dziwactw stają się coraz mniej użyteczni. W rzeczywistości mamy bardzo mało do roboty. Nasza lista przestępstw — to w głównej mierze włamanie i drobne malwersacje. Rzeczy bez większego znaczenia. Ale jeżeli już się kimś zainteresujemy, robimy to naprawdę poważnie. Twój telefon może być na podsłuchu. Twój komputer zawsze może być dla nas dostępny, nieważne, jakimi pro-

gramami zabezpieczającymi go opatrzysz. Twój samochód, laboratorium, lustro w łazience, lampa przy łóżku — to wszystko może być na nasze usługi. . .

— Przesadzasz, prawda?

— Być może, lecz wcale nie tak bardzo. Jeżeli zechcemy, łatwo możemy dowiedzieć się o tobie wszystkiego. Nigdy nie miej co do tego żadnych złudzeń. I teraz właśnie chcemy się czegoś o tobie dowiedzieć. Po raz pierwszy od wielu lat oświadczam ci, że dopóki twoja wina lub niewinność nie zostaną udowodnione, jest to nasza ostatnia tego typu, przyjacielska rozmowa.

— Próbujesz mnie przestraszyć?

— Istotnie, było to moim zamiarem. Jeżeli jesteś w coś zamieszany — wycofaj się, póki czas. Lecz jeżeli będziesz brnął w to dalej — prędzej czy później dostaniemy cię. Jest to tak pewne, jak codzienne wschody słońca.

Thurgood-Smythe podszedł do drzwi i otworzył je. W progu zawahał się, jakby zamierzając jeszcze coś dodać, lecz ostatecznie wyszedł bez słowa i zamknął za sobą drzwi.

Jan przymknął okno; w pokoju zrobiło się nagle chłodno.

Rozdział 14

Wiedział, iż musi zachowywać się teraz najnormalniej w świecie — i to w każdej bez wyjątku sytuacji. Przejrzał jeszcze raz zawartość bagaży, przeszukanych już z pewnością przez Thurgood-Smythe'a. Tak jak się tego spodziewał, nie znalazł nic podejrzanego, nie osłabiło to jednak tkwiącego gdzieś głęboko w podświadomości strachu. Strach towarzyszył mu, gdy brał kąpiel i przebierał się, gdy zszedł na kolację i rozmawiał z kilkoma przygodnymi znajomymi przy barze. Nie opuszczał go przez całą noc, dlatego bardzo niewiele spał. Następnego dnia wczesnym rankiem wyrejestrował się i ruszył w długą drogę powrotną do Londynu.

I teraz także sypał gęsty śnieg, zmuszając go do skupienia całej uwagi na kierowaniu pojazdem po wąskich, krętych drogach. Śniadanie stanowiło piwo i kanapka, zjedzone w przydrożnym zajeździe. Wyruszył ponownie w drogę i nie zatrzymywał się, dopóki nie wjechał na autostradę. Gdy komputer przejął kontrolę nad pojazdem, mógł się wreszcie odprężyć — lecz nie był w stanie.

Jan oparł się wygodnie w fotelu, oślepiony strumieniami śniegu bijącego o przednie okno, a jednak całkowicie bezpieczny wewnątrz sterowanego elektronicznie pojazdu, zastanawiając się, co go właściwie tak bardzo niepokoiło. Nagle zrozumiał. Odpowiedź na to leżała tuż przed jego nosem. Niewielkie otwory pośrodku kierownicy. Czujnik oddechu. Nie mógł prowadzić i równocześnie przed nimi uciec. Otwory analizatora, które kontrolowały zawartość alkoholu w jego oddechu, pozwalając mu prowadzić pojazd jedynie wtedy, gdy był w dostatecznych granicach trzeźwy. Wspaniały sposób na zapobieganie wypadkom — lecz równocześnie jakże wyrafinowany środek umożliwiający bezustanną obserwację. Wszystkie dane personalne kierowcy wprowadzone są do pamięci komputera samochodu, a stamtąd poprzez komputer drogowy mogą trafić bezpośrednio do banków komputerów Służb Bezpieczeństwa. Zapis częstotliwości jego oddechu, poziom alkoholu we krwi, czas reakcji, dokąd jechał, kiedy jechał i z kim — dosłownie wszystko. A gdy już dojedzie do domu, obiektywy kamer w garażu i hollu będą go śledziły pod same drzwi — a nawet dalej. Gdy będzie oglądał telewizję, niewidzialny policjant z ekranu nie spuści z niego oka. Jego telefon z pewnością będzie na podsłuchu. Nawet jeżeli uda mu się wykryć i usunąć pluskwę, jego głos w obrębie pokoju monitorowany będzie kierunkowym promieniem lasera na szy-

bie w oknie. W ukrytych kartotekach przybywać będzie coraz więcej danych, fakt po fakcie rekonstruując całe jego życie.

Poprzednio nigdy nie brał tego poważnie, lecz dopiero teraz z bolesną jaskrawością zrozumiał, że istnieje niejako w dwóch osobach. Osoba z krwi i kości oraz elektroniczny duplikat, gdzieś w komputerze Służb Bezpieczeństwa. Odnotowano jego narodziny, łącznie z towarzyszącymi temu niezbędnymi informacjami medycznymi. Jego wykształcenie, stan bieżący konta i listy zakupów. Jakie kupuje książki, co daje lub otrzymuje w prezencie. Czyżby to wszystko było gdzieś odnotowane? Z przyprawiającym o mdłości dreszczem strachu uświadomił sobie, że prawdopodobnie tak. W nowych molekularnych rdzeniach pamięciowych ilość informacji, która mogła być przechowywana była praktycznie nieograniczona. Zdolne są do przyjmowania kolosalnych wręcz ilości danych. Coraz więcej i coraz szybciej. Encyklopedia w kawałku metalu wielkości główki od szpilki, całe życie człowieka zakłete w kamyku.

Lecz nic nie można było na to poradzić. Próbował przecież, zgłosił swój akces do ruchu oporu, nawet w niewielkim stopniu im pomógł. Lecz teraz wszystko było już skończone. Jeśli jeszcze raz wychyli głowę, to ją straci. A życie nie było przecież takie złe. Nie był przecież prolem, który zmuszony jest do prowadzenia nędznej, ponurej egzystencji aż do kresu swych dni.

Czy naprawdę musi się zatrzymać? Niczego nie można zmienić? Lecz gdy tylko zaczął myśleć w ten sposób szybko zdał sobie sprawę, iż jego tętno wzrosło, a mięśnie ramienia napięły się, zwijając nieświadomie dłoń w zaciśniętą pięść. Zmiany fizjologiczne, które z łatwością mogą zostać wykryte, obserwowane, zapamiętane.

Był więźniem w niewidzialnej celi. Zrobi krok na zewnątrz i będzie już po nim. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał dokładnie czym była wolność i co oznacza jej brak.

Dalsza podróż była monotonna i nudna. Po minięciu Carlyle zamieć śnieżna ustała, jednak ciężkie, ołowiane niebo w dalszym ciągu działało na niego deprymująco. Na kanale piątym emitowano właśnie jakiś program rozrywkowy, lecz był zbyt pogrążony w ponurych rozmyślaniach, by zwrócić nań należyłą uwagę. Dopiero teraz, gdy nie mógł już brać udziału w poczynaniach ruchu oporu w pełni uświadomił sobie, jakie było to dla niego ważne. Działanie w imię czegoś, czemu uwierzył; częściowa pokuta za winę, którą dopiero uczył się odczuwać. A teraz wszystko skończone. Gdy dotarł wreszcie do domu, był w jednym ze swoich najczarniejszych nastrojów. Po zaparkowaniu samochodu w garażu nawrzeszczał na Bogu ducha winnego operatora windy i z głośnym trzaśnięciem zamknął za sobą drzwi. Przekręcił klucz w zamku i sięgnął do włącznika światła — jednak jedna z najważniejszych lamp nie zapaliła się.

Tak szybko? A więc ktoś podczas jego nieobecności musiał myszkować po mieszkaniu.

Bez przerwy musi myśleć o sobie jako o osobie niewinnej, absolutnie niewinnej. Być może w tej właśnie chwili jest obserwowany. Jan powoli rozejrzał się dookoła, nie dostrzegając jednak niczego podejrzanego. Spróbował otworzyć okno, lecz wszystkie ramy tkwiły solidnie w swych zatrzaskach. Podszedł do skrytki w ścianie, otworzył ustawiając właściwą kombinację cyfrowego zamka i szybko przejrzał zawartość. Wszystko było w porządku. Jeżeli tę wizytę złożyła mu Służba Bezpieczeństwa — a to musieli być właśnie oni — z pewnością odkryli jego prosty system alarmowy. Instalowanie takiego środka ostrożności nie było nielegalne, większość jego przyjaciół miała coś takiego w swych domach. A więc teraz powinna nastąpić całkiem naturalna reakcja. Podszedł do telefonu i gniewnym głosem zażądał rozmowy z Zarządem Budynku.

— Ktoś wszedł do środka podczas pańskiej nieobecności, sir? Niestety, z tego okresu nie mamy zarejestrowanych żadnych interwencji służb konserwatorskich.

— A więc byli to włamywacze lub złodzieje. Sądziłem, iż są w tym budynku jakieś zabezpieczenia przed tego typu ekscesami.

— Są, sir, mamy tutaj najlepsze środki antywłamaniowe. Jeszcze raz sprawdzę wszystkie dane. Czy coś zginęło?

— Nie wydaje mi się, ale jak na razie rozejrzałem się jedynie dość pobieżnie — spoglądając na telewizor, dostrzegł nagle tuż obok nóg stojaka odcisnięte ślady na dywanie. — Chwileczkę, właśnie coś zauważyłem. Telewizor został przesunięty. Być może próbowali go ukraść.

— To możliwe. Za chwilę zgłoszę to na posterunku policji i przyślę mechanika, by zmienił panu kombinację zamka przy drzwiach wejściowych.

— Proszę to zrobić. Natychmiast. Nie jestem zachwycony faktem, iż ktoś bez mej wiedzy buszował po moim mieszkaniu.

— W pełni pana rozumiem, sir. Przeprowadzone zostanie skrupulatne śledztwo.

Jak subtelnie, pomyślał Jan. Czyżby ten telewizor przesunięty został celowo? Czy było to ostrzeżenie, pierwsze dobrotliwe pogroźenie palcem? Tego nie wiedział. Zgłosił jednak całe to wydarzenie, opisał przesunięty telewizor i zlecił przeprowadzenie dochodzenia. Właśnie tak, jak zrobiłby to zupełnie niewinny człowiek.

Potań w zamyśleniu szczękę i obszedł telewizor dookoła. Przyklęknął, by przyjrzeć się śrubom, mocującym tylną płytę. Jedna z nich miała na łebku świeżą, ostrą rysę — najwidoczniej śrubokręt musiał się obsunąć. Zaglądali do środka!

W ciągu dziesięciu minut zdjął pokrywę i po wyjęciu paru płytek spostrzegł to, czego szukał — urządzenie wielkości żołędzia, z błyszczącym kryształkiem na jednym z obłych końców. Połączone było przewodem z maleńką dziurką, wywierconą w płycie czołowej. Podłuch! Nagłym szarpnięciem wyrwał całe urządzenie i zacisnął w dłoni, zastanawiając się gorączkowo, co robić dalej. Co powinien

zrobić, gdyby rzeczywiście był najzupełniej niewinny? Postanowił zadzwonić do domu Thurgood-Smythe'a. Telefon odebrała jego siostra.

— Jan, kochanie, nie odzywałeś się od wieków! Jeżeli jesteś jutro wolny...

— Przykro mi, Liz, ale w najbliższym tygodniu nie mam ani chwili wolnej. Czy jest Smitty gdzieś w pobliżu? Chciałbym zamienić z nim słowo.

— I nie masz nawet czasu porozmawiać z własną siostrą, prawda? — odgarnęła z czoła kosmyk włosów i spróbowała przywołać na twarz wyraz zawodu, jednak bez większego powodzenia.

— Wiem, że okropny ze mnie brat, Liz, ale jestem teraz niezwykle zajęty. Spotkamy się w przyszłym tygodniu, obiecuję.

— Lepiej postaraj się dotrzymać tej obietnicy. Jest pewna słodka dziewczyna, którą chciałabym, abyś poznał.

— Cudownie — odparł wzdychając ciężko. — Ale czy mogłabyś teraz poprosić męża?

— Oczywiście. A więc w środę o ósmej — przesłała mu całusa i dotknęła przełącznika. W chwilę później na ekranie pojawił się Thurgood-Smythe.

— Ktoś włamał się do mojego mieszkania gdy byłem na wakacjach — powiedział Jan.

— Jak widać ta zima obfituje w wyjątkowo nieprzyjemne wydarzenia. Ale wiesz przecież, że mój departament nie zajmuje się tego typu sprawami. Przekażę to policji...

— Być może to jednak twój departament. Nic nie zostało skradzione, natomiast wewnątrz telewizora znalazłem to — zademonstrował przed ekranem trzymany w dłoni przedmiot. — Poręczne urządzenie. Nie zaglądałem jeszcze do środka, ale mogę się założyć, że jest niezwykle zminiaturyzowane. I drogie. Jeżeli nie należy do któregoś z twoich ludzi, to z pewnością jest to coś, o czym powinieneś wiedzieć.

— Rzeczywiście. Natychmiast się tym zajmę. Czy pracowałeś ostatnio nad czymś, co mogłoby zainteresować ludzi zajmujących się szpiegostwem przemysłowym?

— Nie sądzę. Ostatnio zajmuję się satelitami telekomunikacyjnymi.

— A więc to raczej dziwne. Polecę, by natychmiast sprawdzono to urządzenie i powiadomię cię o wynikach.

Jan kończył właśnie dokręcanie tylnej pokrywy telewizora, gdy sygnalizator przy drzwiach rozspiewał się wysokim świergotem. Po drugiej stronie stał potężnie zbudowany mężczyzna o dość ponurym wyrazie twarzy i na pytanie o cel wizyty zademonstrował trzymaną w dłoni legitymację Służby Bezpieczeństwa.

— Szybko działacie — powiedział Jan, wpuszczając gościa do środka.

— Ma pan coś dla mnie? — zapytał bezbarwnym tonem mężczyzna.

— Tak, proszę.

Pracownik Służby Bezpieczeństwa schował podany mu przedmiot do kieszeni, nawet na niego nie patrząc. Zamiast tego nie spuszczał zimnego spojrzenia z twarzy Jana.

— Proszę już w żadnej sprawie nie zwracać się do pana Thurgood-Smythe'a — powiedział oficjalnie.

— Co to ma znaczyć? O czym pan właściwie mówi?

— Znaczy to dokładnie to, co powiedziałem. Sprawa ta już nie leży w kompetencjach pańskiego szwagra. Został odsunięty ze względu na bliski stopień pokrewieństwa.

— Kim pan właściwie jest, aby mówić mi takie rzeczy? To niedorzeczność. I co właściwie ma znaczyć ten podsłuch?

— To raczej pan niech mi powie — powiedział ostro mężczyzna, odwracając się gwałtownie w stronę Jana. — Czy jest pan w coś zamieszany? Czy chce pan złożyć jakieś oświadczenie?

Jan nagle poczuł, jak jego policzki przybierają ognisty kolor purpury.

— Proszę się stąd wynosić — powiedział. — Niech się pan stąd wynosi i nigdy nie wraca. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi i niewiele mnie to obchodzi. Po prostu niech pan stąd idzie i trzyma się ode mnie z daleka.

Gdy mężczyzna wyszedł Jan miał wrażenie, że oto zatrząskują się za nim drzwi klatki. Pozostał wewnątrz, a ludzie obserwowali go i śledzili każdy jego ruch.

W dzień prace w laboratorium pochłaniały go całkowicie. Wyczerpujący wysiłek umysłowy pozwalał mu utrzymywać nerwy na wodzy. Zazwyczaj ostatni opuszczał laboratorium. Był wtedy zmęczony, lecz jednocześnie nadzwyczaj z siebie zadowolony. Zawsze zachodził do pobliskiego pubu na parę drinków i zostawał w nim, dopóki nie poczuł się na tyle zmęczony, by po powrocie do domu pójść natychmiast do łóżka. Było to dosyć głupie z jego strony — wiedział doskonale, że nadzór policyjny rozciąga się dosłownie wszędzie — lecz mierzła go myśl, że jest podsłuchiwany i szpiegowany we własnym mieszkaniu. Nie zwracał już sobie głowy poszukiwaniem dalszych urzędzeń podsłuchowych. Nie miało to w sumie większego znaczenia. Lepiej było mieć świadomość, iż jest się przez cały czas obserwowanym i zachowywać się odpowiednio.

W środę rano szwagier zadzwonił niespodziewanie do laboratorium.

— Dzień dobry, Janie. Elizabeth prosiła mnie, bym do ciebie koniecznie zatelefonował.

Jan milczał. Thurgood-Smythe umilkł także, spoglądając na Jana z ekranu wideofonu. Było jasne, że nie chce powiedzieć ani słowa na temat ostatnich wydarzeń.

— Co słyhać u Liz? — przerwał wreszcie niezręczne milczenie Jan. — Jak się czuje?

— Ponawia zaproszenie na dzisiejszą kolację. Bała się, że mógłbyś zapomnieć.

— Nie zapomniałem, ale po prostu nie wiem, czy uda mi się wygospodarować trochę czasu. Właśnie miałem dzwonić i przeprosić. . .

— Za późno. Na kolacji będziemy mieli jeszcze jednego gościa i nie możemy już tego odwołać. Dziewczynie z pewnością byłoby z tego powodu przykro.

— Och, Boże. Rzeczywiście, Liz wspominała coś o jakiejś dziewczynie! Nie mógłbyś. . .

— Raczej nie. Lecz ze sposobu, w jaki mówi mogę cię zapewnić, że rzeczywiście jest dość niezwykłą osobką. Pochodzi z Irlandii, z Dublina i posiada cały gaelijski wdzięk, piękno i tak dalej.

— Przestań, słyszałem już podobne rzeczy wystarczająco często w przeszłości. Do zobaczenia o ósmej.

Jan pierwszy przerwał połączenie. Dziecinny gest, który sprawił jednak, iż nieoczekiwanie poczuł się znacznie lepiej. Rzeczywiście zapomniał o tej cholernej kolacji. Gdyby zadzwonił wcześniej, mógłby się z tego jakoś wyłgać — lecz nie tego samego dnia. Liz z pewnością nie dałaby się na nic takiego nabrać. Choćby pomysł z tą kolacją może okazać się w sumie całkiem niezły. Zjadłby wreszcie porządny posiłek — dania w pubie zaczęły już go przyprawiać o niestrawność. I nie zaszkodzi przypomnieć bezpieczeństwa, z kim jest właściwie spowinowacony. Zainteresowała go ta dziewczyna. Rzeczywiście mogła okazać się kimś niezwykłym, chociaż wybór Liz w tym względzie bywał zazwyczaj fatalny. Najważniejszą rzeczą była dla niej pozycja społeczna, stąd często zapraszała na kolację kobiety o diabolicznym wręcz charakterze.

Tego dnia opuścił laboratorium wcześniej. W domu zamieszał sobie solidnego drinka i poszukał odprężenia w gorącej kąpieli, a potem przebrał się w strój wizytowy. Liz zatrzymała mu cały wieczór, gdyby pojawił się w zwykłym garniturze, w jakim chadzał zazwyczaj do pracy. Mogłaby nawet złośliwie przypalić mu kolację. Nie znosiła, gdy ktoś w jakikolwiek sposób wyłamywał się spod towarzyskich konwenansów.

Państwo Thurgood-Smythe posiadali spory dom w Barnet. Spokojna jazda samochodem podziałała na Jana orzeźwiająco. Chociaż był już marzec, zima nie zamierzała wypuścić jeszcze okolicy ze swych białych okowów. Przed frontem domostwa wszystkie światła były zapalone, lecz na podjeździe stał tylko jeden samochód. No cóż, przez cały czas będzie się uśmiechał i będzie uprzedzająco grzeczny. Może rozegra nawet ze szwagrem parę partyjek bilarda. Przeszłość pozostała za nim. W przyszłości musi zachowywać się rozsądniej.

Z salonu dobiegał głośny, kobiecy śmiech który sprawił, iż odbierający od Jana palto Thurgood-Smythe podniósł wzrok w górę w wyrazie bolesnej udręki.

— Elizabeth tym razem zrobiła błąd — powiedział. — Patrzenie na tę dziewczynę nie przyprawia o ból zębów.

— Dzięki Bogu za tę odrobinę miłosierdzia. Nie mogę się już doczekać.

— Szklaneczkę whisky?

— Tak, poproszę.

Włożył rękawiczki do wnętrza futrzanej czapki i położył ją na stoliku. Przyjrzał się krytycznym wzrokiem w lustrze i paroma szybkimi ruchami poprawił uczesanie. Słyszając brzęk szklaneczek i kolejny wybuch śmiechu wszedł do salonu. Thurgood-Smythe tkwił odwrócony do niego plecami przy ruchomym barku. Elizabeth skinęła w jego kierunku dłonią, a siedząca obok niej na sofie kobieta odwróciła się z promiennym uśmiechem.

Kobietą tą była Sara.

Rozdział 15

Jan zmuszony został do zmobilizowania całej siły woli, by nie pozwolić opaść dolnej szczęce. Tego było już stanowczo zbyt dużo.

— Hello, Liz — powiedział swoim w miarę normalnym głosem i podszedł do siostry, by pocałować ją w policzek. Uściskała go serdecznie.

— Kochanie to cudownie, że cię znowu widzę. Na kolację przygotowałam dla ciebie coś specjalnego, zobaczysz.

Thurgood-Smythe w naturalny sposób wręczył mu drinka i uzupełnił swój. Czyżby nie wiedzieli? Co to właściwie było — farsa czy pułapka? W końcu pozwolił sobie na szybkie spojrzenie w stronę Sary, która w naturalnej pozie siedziała na sofie, popijając drobnymi łydkami sherry. Ubrana była w długą, zieloną suknię, ozdobioną jedynie złotą broszą.

— Janie, chciałabym, byś poznał Orłę Mountcharles, z Dublina. Chodziłyśmy do tej samej szkoły. Nie równocześnie, oczywiście. Teraz należymy do tego samego klubu brydzowego i nie mogłam się oprzeć, by nie zaprosić jej na małą pogawędkę. Wiedziałam, że z pewnością nie będziesz miał nic przeciwko, prawda?

— Ależ skądże. Jeżeli nie jadła pani jeszcze przyrządzanych przez Liz potraw, panno Mountcharles, to dziś czeka panią prawdziwa uczta.

— Proszę mi mówić Orla. Nie musimy być przecież tacy formalni — powiedziała dziewczyna z wyraźnym, irlandzkim akcentem. Uśmiechnęła się do niego i pociągnęła delikatnie z kieliszka. Jan jednym desperackim ruchem wlał w siebie połowę zawartości trzymanej w dłoni szklanki, zakrztusił się i zaczął kaszleć.

— Nie za mało wody? — zapytał z troską Thurgood-Smythe, śpiesząc z kryształowym dzbankiem.

— Nie — zdolał wykrztusić Jan. — Przepraszam. Tak mi przykro.

— Wyszedłeś po prostu z wprawy. Weź jeszcze jednego a ja pokażę ci nowe sukno, którym kazałem wyłożyć stół bilardowy.

— A więc w końcu kazałeś je jednak zmienić. Za parę lat nabrałoby wartości muzealnej jako antyk.

— Rzeczywiście. Lecz teraz możesz toczyć bilę swobodnie po całym stole, a nie silić się na akrobacje z kijem.

Pogawędka tego typu była łatwa, przejście do pokoju bilardowego także nie sprawiało większych trudności. Tylko co ona tutaj robiła? Co to było za szaleństwo?

Kolacja nie okazała się być procesem, jak tego w skrytości ducha oczekiwał. Danie główne — jak zwykle zresztą — było wspaniałe. Wołowina a la Wellington z czterema rodzajami jarzyn. Sara była poważna i spokojna, a rozmowa z nią przypominała odgrywanie roli na deskach sceny teatru. Aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo za nią tęsknił, jak bardzo przytłaczała go myśl, że nigdy już jej nie zobaczy. A jednak była tutaj — w samym sercu niebezpieczeństwa. Na pewno było jakieś wytłumaczenie, nie odważył się jednak o nie zapytać. Wieczór upływał niezwykle przyjemnie — rozmowa toczyła się bez przeszkód, kolacja była wyśmienita a podane potem brandy znakomite. Jan zmusił się nawet do rozegrania kilku partyjek bilarda.

— Jesteś zbyt dobry dla mnie — oświadczył Thurgood-Smythe, przegrywając właśnie po raz trzeci z rzędu.

— Nie próbuj się usprawiedliwiać. Lepiej zapłać te piętnaście funtów, które przegrałeś.

— Rzeczywiście umawialiśmy się na piątkę za każdą partię? Niech ci będzie. Ale musisz przyznać, że ta mała Irlandka jest dość niezwykła.

— Człowieku, ona jest wystrzałowa! Skąd u licha Liz wytrzasnęła takie чудо?

— Powiedziała, że z klubu brydżowego. Jeżeli jest tam więcej takich dziewczyn, to sam bym się chętnie zapisał.

— Nie wspominaj tylko Liz, że ta dziewczyna rzeczywiście mi się podoba, bo inaczej nie da mi spokoju.

— Załatwione. Ale możesz trafić o wiele gorzej.

— I tak nieomal się stało.

W głosie Thurgood-Smythe'a nie było żadnej podejrzliwości, żadnej fałszywej nuty. Oficer policji, tkwiący w jego szwagrze wydawał się być tego wieczoru nieobecny. Czyżby to wszystko było prawdą? — bez przerwy zapytywał siebie w duchu Jan. Czy rzeczywiście została zaakceptowana jako irlandzka dziewczyna? A może nią była? Będzie musiał się tego dowiedzieć.

— Znowu zaczyna sypać śnieg — poskarżyła się Sara, gdy nakładali palta i szykowali się do wyjścia. — Nienawidzę prowadzić w czasie śnieżycy.

Liz obdarzyła Jana jednym ze swych znaczących spojrzeń, a stojący za nią jej mąż ponownie przewrócił oczami i uśmiechnął się szeroko.

— Drogi są przecież przejezdne — zaprotestował słabo Jan.

— Lecz wkrótce nie będą — nalegała Liz i gdy tylko Sara odwróciła się, wsadziła mu łokieć pod zebro. — Nie ma żadnego powodu, dla którego dziewczyna miałaby jechać w taką noc sama — jej spojrzenie, którym ponownie obrzuciła Jana, tym razem z łatwością zamieniłoby mleko w kefir.

— Tak, oczywiście, masz rację — rzucił szybko. — Orla, a może ja mógłbym odwiedzić cię do domu?

— Nie chciałabym, abyś z mojego powodu nadkładał drogi. . .

— Nie ma problemu — wtrącił Thurgood-Smythe. — Mieszka nie dalej, niż pięć minut drogi od West Endu. A twój samochód polecę przyprowadzić mojemu kierowcy rano do klubu.

— A więc wszystko załatwione — powiedziała Liz, obdarzając wszystkich swym najcieplejszym z uśmiechów. — Nie musisz się już martwić tą śnieżycą.

Jan pożegnał się z siostrą. Pocałował ją w policzek i poszedł do samochodu. Podczas gdy włączone ogrzewanie pompowało do wnętrza samochodu ciepłe powietrze, Jan nabazgrał coś szybko na wyrwanej z notesu kartce i ułożył ją w dłoni. Otworzył dziewczynie drzwi od strony pasażera i wręczył jej kartkę, gdy wsiadała. SAMOCHÓD NA PODSŁUCHU — przeczytała, nim wraz z zamknięciem drzwi zgasło światło. Ruszyli i gdy tylko zniknęli za zakrętem, Sara skinęła leciutko głową.

— A więc gdzie mam cię zawieźć, Orla? — zapytał.

— Naprawdę bardzo mi przykro, że sprawiam ci taki kłopot. W Belgravii jest Klub Irlandzki. Zawsze się tam zatrzymuję, gdy jestem w Londynie. Może nie jest zbyt wytworny, za to bardzo swojski. Z uroczym, małym barem. Podają tam wspaniałą gorącą whisky, irlandzką whisky, oczywiście.

— Oczywiście. Lecz muszę ze wstydem przyznać, że nigdy o takim trunku nie słyszałem.

— Musisz więc koniecznie spróbować. A może poszedłbyś tam teraz ze mną? Dosłownie na kilka minut. Nie jest jeszcze bardzo późno.

To niewinne zaproszenie poparte zostało stanowczym skinieniem głowy i widocznym mrugnięciem.

— No cóż, może rzeczywiście na kilka minut. I dziękuję za zaproszenie.

Dalsza konwersacja przebiegała w podobnie lekkim tonie, aż dojechali wreszcie do prawie pustej o tej porze Finchlex Road i skręcili w Marble Arch. Tutaj dziewczyna podała mu parę wskazówek, jak dojechać do klubu. Zaparkował tuż przed frontowym wejściem i weszli do środka, otrzepując po drodze osiadający na ich okryciach śnieg. Z wyjątkiem młodej pary, która rozmawiała ze sobą przyciszonymi głosami, cały bar mieli praktycznie dla siebie. Po przyjęciu przez kelnerkę zamówienia, Sara napisała coś na odwrocie kartki, którą wręczył jej przedtem Jan. Rozejrzała się dookoła i pchnęła kartkę w jego stronę. Jan szybko przeczytał: W DALSZYM CIĄGU MOŻLIWOŚĆ PODSŁUCHU. PRZYJMIJ ZAPROSZENIE DO MOJEGO POKOJU. W ŁAZIENCIE ZRZUĆ CAŁE UBRANIE.

Czytając to ostatnie zdanie Jan uniosł w górę brwi w wyrazie udawanego zdziwienia, a Sara uśmiechnęła się i pokazała mu język. Podczas rozmowy schował notatkę do kieszeni.

Gorąca whisky była wyśmienita, ich pełna niedomówień i dwuznacznych uśmiechów rozmowa jeszcze lepsza. Nie, wcale nie uważa, iż jest zbyt śmiała. Tak, ludzie z pewnością zaczną coś podejrzewać, gdy pójdą razem do pokoju. Dobrze, pójdzie pierwszy, otworzy drzwi i zostawi je otwarte.

W pokoju story były szczelnie zasłonięte, a łóżko nieporządnie zasłane. Zgodnie z poleceniem zrzucił z siebie wszystko w łazience i przebrał się w ciepły szlafrok. Po chwili usłyszał, jak Sara zamyka drzwi wejściowe na klucz. Gdy wyszedł z łazienki, położyła mu palec na wargach i nie pozwoliła mówić, dopóki nie zamknęła za nim drzwi do łazienki i nie włączyła radia.

— Siadaj tutaj i mów cicho. Czy wiesz, że jesteś pod obserwacją Służb Bezpieczeństwa?

— Oczywiście.

— A więc bez wątpienia w twoim ubraniu także były jakieś urządzenia podsłuchowe. Lecz w tej chwili jesteśmy od nich w bezpiecznej odległości. Irlandczycy są bardzo dumni ze swojej niepodległości, więc ten klub jest bardzo rzadko wizytowany przez policję. Bezpieka poddała się i zrezygnowała z jakichkolwiek prób inwigilacji już parę lat temu. Stracili tak wiele sprzętu, że mogli weń zaopatrzyć całą irlandzką służbę wywiadowczą.

— A więc powiedz mi szybko — co stało się z Urim?

— Jest bezpieczny i poza granicami tego kraju. Dzięki tobie.

Przytuliła się do niego obdarzając długim, namiętym pocałunkiem. Lecz gdy próbował otoczyć ją ramionami, odsunęła się i przysiadła na krawędzi łóżka.

— Usiądź w fotelu — poleciła. — Musimy porozmawiać. To ważne.

— No cóż, skoro tak mówisz. A więc czy na początek mogłabyś mi powiedzieć, kim teraz jesteś i jak właściwie Orla znalazła się w domu mojej siostry?

— To najlepsza fałszywa tożsamość, jaką mamy, więc staram się używać jej jedynie w wyjątkowych okolicznościach. W przeszłości wyświadczyliśmy parę przysług rządowi Irlandii — a to jest właśnie coś, co zrobili w zamian. Jest to tożsamość absolutnie prawdziwa i zawierająca wszystkie niezbędne szczegóły: data urodzenia, szkoła, przebieg pracy. Także moje odciski palców i dane medyczne. Wpadliśmy na ten pomysł już wtedy, gdy przeglądaliśmy wszystkie twoje kartoteki komputerowe, szukając sposobu, by się z tobą skontaktować. Prawdziwa Orla Mountcharles rzeczywiście uczęszczała do Roedean, w parę lat po twojej siostrze. Reszta była prosta. Złożyłam parę wizyt w tej szkole, spotkałam się z paroma przyjaciółmi przyjaciół twojej siostry i uzyskałam od nich zgodę na członkostwo klubu brydżowego. Zaproszenie mnie na kolację było czymś tak naturalnym, jak prawo grawitacji.

— Oczywiście. Przedstaw Lizie nową dziewczynę w mieście, bezradną lecz niezwykle atrakcyjną, a w dodatku o dobrych koneksjach — i pułapka zapada! Spotkanie przy kolacji z małym braciszkiem. Lecz czy nie jest to zbyt niebez-

pieczne, przeprowadzać taką operację tuż przed wężącym wszędzie nochalem Thurgood-Smythe'a?

— Nie sądzę, by węszył zbyt uważnie we własnym domu. Musisz mi uwierzyć, iż wbrew pozorom był to najbezpieczniejszy sposób.

— Jeżeli tak mówisz... A co właściwie kazało ci przypuszczać, że w moim ubraniu są jakieś urządzenia podsłuchowe?

— Doświadczenie. Irlandczycy mają cudowną kolekcję urządzeń szpiegowskich. Służba Bezpieczeństwa montuje je w klamrach od pasków, piórach, spinaczach do papieru, we wszystkim. Urządzenia te zapisują wszystko cyfrowo na poziomie molekularnym. Są praktycznie nie do wykrycia, chyba że rozbierzesz na części każdą rzecz, jaka jest w twoim posiadaniu. Lepszym rozwiązaniem jest trzymanie się przez cały czas na baczności. Czy twoje ciało jest w dalszym ciągu w porządku?

— A chciałabyś sprawdzić?

— Wiesz przecież, że nie to miałam na myśli. Czy po powrocie ze Szkocji miałeś przeprowadzony jakiś zabieg chirurgiczny, lub byłeś u dentysty?

— Nie.

— A więc w dalszym ciągu jesteś czysty. Potrafią założyć urządzenie podsłuchowe w mostku dentystycznym, lub zaimplantować bezpośrednio do kości. Są bardzo pomysłowi.

— Słuchanie takich rzeczy nie wpływa zbyt na moje morale — wskazał na stojącą na stoliku obok łóżka butelkę wytrawnego whisky. — A może kropelkę owego znakomitego trunku dla poprawy samopoczucia?

— Chętnie. Zauważ, iż jest to oryginalna szkocka.

— Gratuluję wyrafinowanego smaku.

Rozlał złocisty płyn do dwu szklaneczek i ponownie zapadł w głęboki fotel.

— Martwię się. Co prawda twój widok zawsze sprawia mi ogromną przyjemność, to jednak obawiam się, że jako członek ruchu jestem już do niczego nieprzydatny.

— Może tak, a może nie. Pamiętasz, powiedziałam ci kiedyś, że jesteś najważniejszym człowiekiem, jakiego mamy.

— Tak, lecz nie powiedziałaś, dlaczego.

— Pracujesz na satelitach. A to oznacza, iż masz dostęp do stacji orbitalnych.

— Istotnie. W rzeczywistości planuję już od jakiegoś czasu niewielką podróż. Muszę sprawdzić jeden ze starych comsatów w przestrzeni, na orbicie. Gdybyśmy ściągnęli go na Ziemię, do laboratoriów, wszystko by się pozmieniało. A dlaczego to takie ważne?

— Ponieważ możesz dotrzeć do liniowców przestrzennych. Posługując się nimi otworzyliśmy kanały komunikacyjne z kilkoma planetami. Nie są doskonałe, ale działają. A w tej właśnie chwili trwają gorączkowe przygotowania do rewolty górników na Alpha Aurigae Dwa. Mają szansę na sukces, jeżeli uda nam się

z nimi skontaktować. Lecz rząd także zdaje sobie sprawę z zaczynających się kłopotów i dał Służbom Bezpieczeństwa wolną rękę. Nie ma już możliwości, by nasi ludzie otrzymali wiadomość za pośrednictwem statków z Ziemi. Tobie może uda się dostarczyć ją na stację. Obmyśliliśmy już nawet sposób. . .

— Marszczysz się — przerwał jej Jan. — Za każdym razem, gdy opowiadasz mi o takich rzeczach, nieświadomie marszczysz czoło. Wkrótce zmarszczki te zostaną ci na stałe.

— Ale chciałam tylko wyjaśnić. . .

— Czy nie może to troszeczkę poczekać? — ujął jej dłoń w swoje i nachylił się, by pocałować ją w czoło.

— Oczywiście, że może. Masz zupełną rację. Chodź i upewnij się, iż te zmarszczki są tylko tworem twojej wyobraźni — odparła, przyciągając go do siebie.

Rozdział 16

Następnego dnia Sonia Amargilio wpadła w zupełną euforię gdy Jan powiedział jej, iż zamierza przeprowadzić inspekcję jednego z satelitów w przestrzeni kosmicznej.

— Cudownie! — wykrzyknęła z uniesieniem, klaszcząc przy tym w dłonie. — Fruwa to sobie bezproduktywnie nad Ziemią i nikt jak do tej pory nie miał na tyle inteligencji, by wysunąć wreszcie nas z tych swoich obwodów, wybrać się tam osobiście. Zaczynałam już rozważać własną kandydaturę.

— A więc powinna pani polecieć. Podróż w kosmosie z pewnością jest czymś, co warto zapamiętać.

— Drogi chłopcze, z prawdziwą przyjemnością zachowałabym takie wspomnienia. Ale ta antyczna maszynka nie działa już tak dobrze, jak powinna — stuknęła się kruchą piąstką gdzieś w okolicach serca. Lekarze mówią, iż mogłabym nie wytrzymać akceleracji. . .

— Zachowałem się jak głupiec. Przepraszam.

— Proszę nie czynić sobie wyrzutów, Janie. Jak długo trzymam się z daleka od statków kosmicznych wszyscy zapewniają mnie, że będę żyła wiecznie. Równie dobrze ty możesz tam polecieć — i jestem pewna, że wykonasz pierwszorzędną robotę. Kiedy wyruszasz?

— Jak tylko zakończę prace nad obwodami wzmacniacza multirezonansowego. Jakiś tydzień, może dziesięć dni.

Sonia poszperała w zalegających jej biurko szpargałach i wyciągnęła w końcu szary rozkład lotów jednej z kampanii przewozowej. Przekartkowała go niecierpliwie i powiedziała:

— Tak, znalazłam. Wahadłowiec na Stację Satelitarną startuje dwudziestego marca. Zarezerwuję ci na niego bilet.

— Dziękuję — odparł ze skrywanym zadowoleniem Jan. Rzeczywiście, sprawy nie mogły ułożyć się lepiej. Był to wahadłowiec, którym poleciła mu lecieć Sara, aby wszystko układało się zgodnie z harmonogramem.

Gdy wrócił do pracy, nucił pod nosem fragment z „Owce mogą się paść bezpiecznie”. Miał pełną świadomość paradoksalności, w jakiej pozostawał tytuł piosenki do jego obecnej sytuacji. On już nigdy nie będzie się mógł paść bezpiecznie.

nie — i co dziwniejsze, był nawet z tego zadowolony. Od chwili rozpoczęcia nad nim nadzoru stał się nadmiernie przewrażliwiony, dmuchając nawet na to, co zimne. Ale koniec z tym. Widok Sary i pieśczoły jej dłoni położyły kres bezkształtnym lękom. Nie powstrzymają go przed niczym tylko dlatego, że go obserwują. Z pewnością wszystko będzie teraz odrobinę trudniejsze, ale przecież wykonalne. Do pracy dla podziemia doda próbę oporu we własnym wykonaniu. Jako specjalista od mikroobwodów z prawdziwą przyjemnością przyjrzy się bliżej urządzeniom, które stosują specjaliści z безпеki.

Jak na razie jednak nie miał zbyt wiele szczęścia. Zakupił nowy notes w miejsce tego, który dokładnie wypatroszył i postarał się o zastępczą kartę identyfikacyjną, której oryginał zniszczył. Dzisiaj była kolej na złote pióro, które otrzymał w prezencie od Liz na gwiazdkę. Doskonałe miejsce na podsłuch, gdyż zazwyczaj nigdy się z nim nie rozstawał. Znajdowało się ono w jego kieszeni, gdzie włożył je będąc pewnym, iż nie obserwuje go żadna kamera. Czas na przeprowadzenie drobiazgowej analizy.

Poprzednio upewnił się, iż instrumentarium na jego stole pozbawione jest jakichkolwiek elektronicznych pluskiew. W parę dni po powrocie ze Szkocji odkrył, że jego elektroniczny mikroskop i wszystkie pozostałe urządzenia elektroniczne są pełne różnorodnych urządzeń rejestrujących, podłączonych do niewielkiego nadajnika. Posłużył się mikroskopem i sprawił, by w nadajniku wystąpiło krótkie spięcie o mocy 4000 woltów. Podczas jego nieobecności uszkodzone urządzenie zostało zabrane, lecz nigdy nie zastąpiono go nowym.

Pióro dało się łatwo rozkręcić i już po chwili przyglądał się uważnie każdej części z osobna, umieszczając je kolejno pod mikroskopem małej mocy. Nic. Metalowa obudowa pióra była zbyt cienka, by zawierać w sobie jakieś obce komponenty. Dla pewności prześwietlił wszystkie części promieniami rentgena. Miał już zamiar złożyć pióro z powrotem, gdy nagle przyszło mu do głowy, że nie sprawdził przecież zbiorniczka z atramentem.

Była to brudna robota, lecz opłaciła się sownie. Po wyjęciu zbiorniczka i wylaniu atramentu wyjął ze środka maleńki cylinder, niewiele większy, niż ziarno ryżu. Przy pomocy mikroskopu i mikromanipulatorów rozłożył urządzenie na części. Na widok maleńkich, niezwykle skomplikowanych obwodów gwizdnął z zawodowym uznaniem. Połowę całego urządzenia stanowił miniaturowy zasilacz, który mógł pracować co najmniej pół roku bez wymiany. Ścianki zbiorniczka z atramentem służyły jako wzmacniacz dla mikrofonu ciśnieniowego. Sprytne. Obwody wybierające, które uruchamiały całe urządzenie na dźwięk ludzkiego głosu, eliminując przy okazji zakłócenia przypadkowe. Molekularny rekorder. Automatyczny układ odzewowy, który po otrzymaniu odpowiedniego rozkazu natychmiast emitował cały zapis pamięci w formie pojedynczego, zakodowanego sygnału. Włożono w to mnóstwo pracy i to wyłącznie po to, by go podsłuchiwać. Kanalie. Jan zastanawiał się, czy to urządzenie zostało zamontowane w piórze,

jeszcze zanim wręczyła mu je Liz. Thurgood-Smythe z łatwością mógł coś takiego zaaranżować. Żona obdarowała go podobnym piórem, mógł więc bardzo łatwo dokonać zamiany.

Nagle do głowy przyszedł mu nieprawdopodobny wręcz pomysł. Być może kryła się w nim odrobina szaleństwa, niemniej jednak nie miał zamiaru rezygnować. Ponownie złożył całe urządzenie, odłączając jednak sekcję pamięci od układu odzewowego. Gdy skończył, uśmiechnął się z satysfakcją. Przeciągnął się i zadzwonił do siostry.

— Liz, mam wspaniałą nowinę. Jadę na księżyc!

— Sądziłam raczej, iż zadzwonisz, by podziękować mi za zaproszenie tej słodkiej dziewczyny na kolację.

— Tak, oczywiście. To był znakomity pomysł. Opowiem ci o niej wszystko, gdy się z tobą zobaczę. Ale Liz — czyżbyś nie słuchała? Powiedziałem, że lecę na księżyc.

— Słyszałam cię. I co w tym właściwie takiego niezwykłego? Czyż ludzie nie latają tam przez cały czas?

— Oczywiście, masz rację. Ale czy sama nigdy nie chciałaś się tam wybrać?

— Nieszczerólnie. Wyobrażam sobie, że jest tam raczej zimno.

— Raczej tak. Szczególnie bez kombinezonu kosmicznego. Właściwie to nie lecę na sam księżyc, lecz na satelitę. Sądzę, że być może Smitty chciałby o tym wiedzieć, a więc opowiedz mu o wszystkim. I zabieram cię dzisiaj wieczorem na kolację pożegnalną.

— Wspaniały pomysł! Niestety, jest to niemożliwe. Zostaliśmy już zaproszeni na przyjęcie.

— A więc może wpadnę na jakiegoś drinka do ciebie? Zaoszczędzę przy okazji pieniądze. Może o szóstej?

— Dobrze. Nie rozumiem jednak tego pośpiechu. . .

— Po prostu chłopięcy entuzjazm. Do zobaczenia o szóstej.

Thurgood-Smythe przybył do domu tuż przed siódmą. Elizabeth wykazała bardzo mało zainteresowania zarówno satelitami, jak i podróżami kosmicznymi, zasypując za to brata gradem pytań na temat Orli. Wreszcie zmęczony tym wszystkim Jan postanowił zająć się przyrządzaniem drinków. Wyjaśnił, iż jest to nowy koktajl zwany Death Valley, bardzo niechętnie dzieląc się z nim sekretem jego przyrządzania. Thurgood-Smythe natychmiast przybiegł z łazienki i głośno wyraził swoje uznanie, słuchając jednym uchem opowieści Jana o podróży na satelitę. Z pewnością nie było to dla niego nic nowego, miał bowiem dostęp do wszelkich tajnych raportów. Jan poszedł za nim do drugiego pokoju i nie miał najmniejszego kłopotu z zamianą piór, sprytnie wykorzystując moment, w którym jego szwagier zmieniał marynarki.

Być może sprowadzi się to do niczego lecz miał poczucie słodkiej satysfakcji, że oto udało mu się przechytrzyć złodzieja. Gdy wychodził, siostra z mężem zegnali go z prawdziwą ulgą.

W drodze do domu zatrzymał się przy otwartym przez całą dobę sklepie i poczynił zakupy, których listę przygotowała mu Sara. Miał się z nią spotkać jeszcze tego samego wieczoru, a przekazane mu instrukcje były jasne i precyzyjne.

Po wejściu do mieszkania udał się prosto do łazienki, wyjmując z uchwytów przy pasie czujnik pomiaru natężenia światła. Robił to z pełną premedytacją od dnia, w którym odkrył zainstalowany w oświetleniu nad zlewem obiektyw kamery, nie większy niż główka od szpilki.

— Chociaż tutaj mógłbym mieć zapewnioną odrobinę intymności! — wrzasnął wtedy, zrywając obiektyw ze ściany. Od tamtej chwili doszło do pewnego rodzaju milczącego porozumienia — on nie próbował już szukać urządzeń podsłuchowych w mieszkaniu, Służba Bezpieczeństwa ze swej strony nie umieszczała już swych kamer w łazience.

Woda puszczona do wanny silnym strumieniem powinna zagłuszyć urządzenia podsłuchowe. Wykąpał się szybko, wytarł do sucha i przy wtórce lejącej się wciąż z kranu wody przebrał się w to, co przed chwilą zakupił. Bielizna, skarpetki, buty, spodnie — wszystko w takim samym kolorze, jaki nosił przez cały wieczór — a potem koszula i sweter. Stare ubranie powędrowało do torby. Zarzucił płaszcz, zapiął go troskliwie pod szyją, nałożył rękawiczki i kapelusz i wyszedł ściskając w ręku torbę.

Spojrzał na zegar w desce rozdzielczej samochodu i zwolnił. Miał się stawić na to spotkanie dokładnie o dziewiątej. Była już pełnia nocy i ulicami przemykały tylko pojedyncze sylwetki. Skręcił na Edgeware Road i sunął powoli w stronę Little Venice. Radio grało odrobinę głośniejsz niż zazwyczaj lubił, lecz to także zostało uzgodnione wcześniej.

Dokładnie o umówionej godzinie zatrzymał samochód na moście nad kanałem Regent. Z ciemności wyłonił się wysoki mężczyzna i otworzył drzwiczki. Rysy jego twarzy skryte były w cieniu podniesionego wysoko kołnierza kurtki. Wsunął się za kierownicę i odjechał. Razem z nim zniknęło stare ubranie Jana. Dopóki ponownie nie pojawi się w samochodzie, Służba Bezpieczeństwa nie będzie wiedziała, gdzie jest, nie będzie go mogła widzieć, ani słyszeć. Po chwili dostrzegł, jak z chodnika tuż nad kanałem kiwa na niego jakiś mężczyzna.

Jan szedł za nim utrzymując się w odległości około dziesięciu kroków z tyłu, nie próbując się z nim zrównać. Porywy zimnego wiatru kęsały go pomimo grubego swetra, przygarbił się więc i wbił ręce w kieszenie. Ich kroki na pokrytym śniegiem chodniku nie wywoływały żadnego echa, a jedynym źródłem dźwięku była dobiegająca gdzieś z oddali muzyka. Zamarznięty kanał był jednolitą płaszczyzną okrytego śniegiem lodu. Wkrótce dotarli do zacumowanych u nabrzeża kanału barek. Prowadzący Jana mężczyzna rozejrzał się dookoła i zeskoczył na

pokład jednej z najbliższych barek, znikając z pola widzenia. Jan poszedł w jego ślady. W otaczających go ciemnościach odnalazł prowadzące do nadbudówki drzwi, pchnął je i wszedł do środka, ktoś je zamknął i zapłonęło światło.

— Zimny dziś wieczór — powiedział Jan, spoglądając na siedzącą przy stole dziewczynę. Jej twarz była niewidoczna pod skrywającą maską, lecz włosy i figura wskazywała, iż była to bez wątpienia Sara. Mężczyzna, który go przyprowadził uśmiechnął się szeroko, ukazując poczerńiałe zęby.

— Rondel — powiedział Jan, ściskając wyciągniętą w jego kierunku dłoń. — Cieszę się, że cię widzę.

— Ja także. Słyszałem, iż ostatnio sprawiłeś się całkiem niezłe.

— Nie mamy dużo czasu — ucięła sucho Sara — a jest jeszcze mnóstwo do zrobienia.

— Tak, pani — odparł Jan — Czy masz jakieś imię, czy też mam się do ciebie zwracać Pani, jakbyś była Królową?

— Możesz zwracać się do mnie Księżniczko, mój dobry człowieku — odparła figlarnie, co nie uszło uwadze Rondla.

— Wygląda na to, iż już się spotkaliście. Niech tam. A ciebie, chłopcze, będę nazywał Księciem, za diabła bowiem nie pamiętam, jak miałeś ostatnio na imię. Mam tutaj na dole trochę niezłego piwa. Zaraz go przyniosę i zajmiemy się interesami.

Mieli zaledwie czas, by spojrzeć sobie z radością w oczy, gdy Rondel ponownie pojawił się w pomieszczeniu.

— Proszę bardzo — powiedział, stawiając butelki na stole. Obok stały już przygotowane szklanki. Jan otworzył jedną butelkę i nalał do pełna.

— Wyrób domowy — zauważył Rondel. Lepsze niż te popłuczyny, które serwują po pubach. Szybko uporał się z zawartością swej szklanki i zaczął otwierać metalową skrzyneczkę, którą przyniósł razem z butelkami. Po zdjęciu pokrywy wyjął dwa pokryte folią aluminiową przedmioty, które położył na stole.

— Dla osób postronnych sprawiają wrażenie zwykłych dyskietek z nagrany-
mi programami telewizyjnymi — wyjaśniła Sara. — Mógłbyś je odtwarzać nawet u siebie w domu. Na jednej jest koncert organowy, a na drugiej program rozrywkowy. Włóż to do bagażu razem z innymi, własnymi nagraniami. Nie próbuj ich ukrywać. Są powszechnie dostępne i na pokładzie liniowców z pewnością jest mnóstwo tego typu nagrań.

— A dlaczego te akurat mają być specjalne?

— Rondel, może wyszedłbyś na pokład i rozejrzał się? — zapytała Sara.

— W porządku, Księżniczko. O czym się nie wie, tego nie można wypaplać.

Wziął ze stołu pełną butelkę piwa i wyszedł.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Sara zdjęła maskę a Jan porwał ją w ramiona i pocałował z pasją, która zaskoczyła ich oboje.

— Nie teraz, proszę, mamy zbyt mało czasu — szepnęła wysuwając się z jego objęć Sara.

— A kiedy będziemy mieli dość czasu? Powiedz mi w tej chwili, albo cię nie puszcze.

— Niech będzie jutro. Spotkajmy się u mnie w klubie i pójdziemy razem na kolację.

— A potem?

— Dobrze wiesz, co będzie potem — odparła z uśmiechem. Odepchnęła go i usiadła po drugiej stronie stołu.

— Być może moja siostra ma rację — powiedział. — Może rzeczywiście jestem zakochany, lub coś w tym rodzaju. . .

— Nie mów teraz o tym proszę. Za dziesięć minut wraca twój samochód, a więc do tego czasu musimy wszystko omówić.

Otworzył już usta by coś powiedzieć — lecz nie mógł. Zamiast tego skinął jedynie głową a dziewczyna odprężyła się wyraźnie. Zauważył jednak, iż nieświadomie kręciła młynka palcami. To nic, porozmawiają jutro. Sara popchnęła dyski w jego kierunku.

— Ważne jest nagranie z koncertem organowym — powiedziała. — Nie wiem, jak zostało to zrobione, lecz pamięć komputerowa wkomponowana została statycznie w szumy tła.

— Oczywiście! Genialny pomysł. Każda komputerowa pamięć składa się z dwóch sygnałów, sygnału tak i sygnału nie. To wszystko, czego potrzeba w systemie binarnym. A samą pamięć można rozciągać, modulować, zmieniać frekwencję, zapisywać jako zbiór najzupełniej przypadkowych bitów w szumach powierzchniowych. Bez odpowiedniego klucza nikt nie będzie w stanie tego odczytać.

— Masz rację. Systemem tym komunikowaliśmy się w przeszłości. Wypracowano więc nowy system, którego wszystkie szczegóły są na tej dyskietce. Rebelianci muszą ją otrzymać. Sytuacja jest już bliska wybuchu a my jesteśmy gotowi im pomóc, musimy jedynie nawiązać odpowiednią łączność. To będzie dopiero początek. Potem skontaktujemy się z innymi planetami.

— Rozumiem — odparł Jan wkładając dyskietki do kieszeni koszuli i zaciągając zamek. — Ale dlaczego w takim razie aż dwie?

— Nasz kontakt na liniowcu nie jest pewny własnego bezpieczeństwa i obawia się, iż ktoś może próbować przejąć dyskietki. Dasz więc fałszywą dyskietkę pierwszemu człowiekowi, który się do ciebie zgłosi. Tą prawdziwą z koncertem organowym, zachowaj dla prawdziwego agenta.

— A skąd będę wiedział, który jest ten prawdziwy?

— Będziesz obserwowany. Podczas pracy w przestrzeni będziesz zdany wyłącznie na samego siebie. Wtedy właśnie ktoś się z tobą skontaktuje. Gdy powie: „Czy sprawdzał pan ostatnio liny bezpieczeństwa?”, wręczysz mu dyskietkę.

- Tę fałszywą?
 - Tak. Potem zgłosi się do ciebie prawdziwy agent po prawdziwą dyskietkę.
 - Strasznie to skomplikowane.
 - Musi tak być. Ty wykonaj po prostu instrukcję.
- Skrzypnęły otwierane drzwi i w szczelinie ukazała się twarz Rondla.
- Samochód będzie za dwie minuty. Chodźmy.

Rozdział 17

Na Cape Canaral Jan dostał się zwykłym odrzutowcem rejsowym. Latał już, wystarczająco często, by podróż taka nie robiła na nim większego wrażenia. Przez większą część rejsu czytał książkę a przez okno wyjrzał jedynie raz, lecz Cape Canaral skryte było za gęstą zasłoną chmur. Samolot po wylądowaniu przycumował do terminala dworca lotniczego, a Jan specjalną rampą udał się na pokład czekającego już wahadłowca. Z wyjątkiem braku jakichkolwiek okien, wnętrze wahadłowca do złudzenia przypominało luksusową kabinę normalnego samolotu odrzutowego. Ekrany nad każdym z foteli ukazywały sielski widoczek zielonej łąki, z liliami chwiejącymi się w łagodnych podmuchach i płynącymi po niebie białymi strzępami obłoków. Jako tło muzyczne służyła „Pastoralna” Beethovena. Początek podróży także przypominał start zwykłym samolotem. Przy starcie przeciążenie wyniosło co prawdę półtora grama, nie było to jednak specjalnie uciążliwe. Nawet i później, gdy opadły osłony kamer i lilie na łące zastąpione zostały czernią kosmosu, nie sprawiło to większej różnicy. Mógł to być po prostu kolejny program telewizyjny. Kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, gdy zanikło ciążenie i znaleźli się w stanie nieważkości. Pomimo pastylek przeciwko chorobie morskiej, które większość pasażerów zażyła zapobiegliwie jeszcze przed startem, efekt psychologiczny nowego środowiska był niezwykle silny, przynosząc w efekcie wiele wypadków nudności. Krzątający się stewardzi mieli pełne ręce roboty, rozdając papierowe torebki na wymioty i odbierając pełne.

W końcu mającące w oddali światła nabrały na ostrości, przyoblekając się równocześnie w kształt masywnego, obracającego się powoli walca. Stacja Satelitarna. Wyspecjalizowany satelita dla pojazdów kosmicznych. Tutaj cumowały liniowce galaktyczne, jednostki całkowicie budowane w próżni kosmosu, które nigdy nie wchodziły w bezpośredni kontakt z atmosferą planet. Obsługiwane były przez smukłe wahadłowce jak ten, na pokładzie którego znajdował się teraz Jan, które startowały i lądowały na powierzchni planet leżących poniżej. Było to także miejsce postoju krępych holowników przestrzennych, niezgrabnych pojazdów, których głównym zadaniem była konserwacja lub wymiana satelitów komunikacyjnych Ziemi. To właśnie było powodem podróży Jana, podróży, która — miał nadzieję — służyć będzie dwojakim celom.

Błyskając płomieniami z dysz silników manewrujących, wahadłowiec wolno sunął w stronę olbrzymiego masywu Stacji, prowadzony do dokowania przez komputer główny. Po chwili wszyscy poczuli leciutki wstrząs, gdy pojazd dotknął zapadek cumowniczych. Głucho szczerknęły magnetyczne obejmy i przedział cumowniczy wypełnił się sykiem sprężonego powietrza. W parę sekund później nad drzwiami zapłonęło zielone światło i steward otworzył je, kręcąc olbrzymim kołem zamachowym. Do kabiny wpłynęło pięciu umundurowanych mężczyzn, poruszając się z gracją i swobodą, której nabywa się jedynie w trakcie długotrwałego pobytu w kosmosie. W końcu złapali za wystające ze ścian uchwyty i zawiśli nieruchomo w powietrzu.

— Widzieli państwo, jak należy to robić — powiedział uśmiechając się steward. — Ale proszę nie próbować nawet poruszać się samodzielnie, jeżeli nie mają państwo niezbędnego doświadczenia. Większość z obecnych dziś na pokładzie pasażerów jest wysokiej klasy technikami i z pewnością wiedzą — chociaż powiem jeszcze raz dla przypomnienia — iż ciało w stanie nieważkości nie posiada co prawda wagi, lecz ma za to swoją własną masę. Jeżeli uderzycie o coś głową, będziecie się czuli tak właśnie, jakbyście uderzyli o coś głową. A więc proszę pozostać na swoich miejscach i nie odpinać pasów bezpieczeństwa. Asystenci wyprowadzą każdego z was pojedynczo i bez pośpiechu. I bezpiecznie, jakbyście byli w ramionach matek. Dziękuję.

Jeszcze podczas tej przemowy czterech mężczyzn w pierwszym rzędzie rozpięło swe pasy i uniosło się w powietrze. Z ich ruchów widać było, iż nie pierwszy raz są w stanie nieważkości. Jan nie miał co do siebie żadnych złudzeń i wołał nawet nie próbować. Rozpiął swój pas dopiero wtedy, gdy mu polecono i poczuł, jak jest windowany w górę i płynie przez całą długość kabiny. Starał się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

— Proszę się złapać za ten kabel i nie puszczać, dopóki nie dotrze pan do końca.

Przez całą długość rękawa łącznikowego biegł gruby, gumowy kabel, który wąską nitką nikał w końcu po drugiej stronie, już we wnętrzu stacji. Metaliczna powłoka rękawa musiała wytwarzać słabe pole magnetyczne — a sam kabel bez wątplenia zawierał żelazny rdzeń — przywierał bowiem na całej długości do ściany, przesuując się równomiernie do przodu z irytującym, ostrym zgrzytem. Jednak podróż okazała się stosunkowo łatwa. Jan uchwycił się go obiema dłońmi i płynął powoli przez całą długość rękawa, w stronę znajdującej się na jego końcu okrągłej wnęki.

— Proszę teraz puścić — polecił znajdujący się tam mężczyzna. — Zatrzymam pana.

Dłonie mężczyzny odwróciły Jana do metalowej drabinki, na której natychmiast zacisnął palce.

— Czy zaryzykuje pan opuszczenie się po tej drabinie do pomieszczenia transferowego?

— Mogę spróbować — odparł Jan. Po paru próbach poszło mu całkiem nieźle, chociaż stopy przez cały czas miały tendencję do unoszenia się ponad głowę — jeżeli „ponad” było w tych warunkach właściwym określeniem. Drabina prowadziła aż do otwartych drzwi pomieszczenia transferowego. W środku znajdowało się już czterech innych mężczyzn, i po wejściu Jana, obsługujący to urządzenie natychmiast zamknął za nim drzwi. Wkrótce całe pomieszczenie zaczęło się obracać.

— W miarę powrotu siły ciężenia, wasze ciała zaczną stopniowo przybierać na wadze. Ta czerwona płaszczyzna jest w rzeczywistości podłogą. Proszę starać się dotykać jej pewnie obiema stopami.

Szybkość obrotu stopniowo rosła i wkrótce poczuli, jak ich ciała stają się coraz cięższe. Gdy w pomieszczeniu transferowym zapanowało wreszcie takie samo ciężenie, jak na całej stacji, wszyscy stali pewnie na nogach i czekali na otwarcie wjazdu. Do wnętrza stacji prowadziły już normalne, wygodne schody. Jan wyszedł jako pierwszy i wszedł do obszernego pokoju z licznymi drzwiami wyjściowymi. Stał tam już wysoki, jasnowłosy mężczyzna, baczny spojrzeniem lustrując wszystkich nowoprzybyłych. Na widok Jana skinął lekko głową i podszedł w jego kierunku.

— Inżynier Kulozik? — zapytał.

— Tak, to ja.

— Jestem Kjell Norrvall — wyciągnął rękę. — Odpowiedzialny za prace konserwacyjne. Witamy na pokładzie.

— Dziękuję. To była moja pierwsza podróż w kosmos.

— Tak naprawdę to nie znajdujemy się jeszcze w pełnej przestrzeni kosmicznej — chociaż jesteśmy dość daleko od Ziemi. Posłuchaj, nie wiem czy jesteś głodny ale ja schodzę właśnie ze zmiany i umieram z głodu.

— Daj mi tylko parę minut, a sądzę, że będę w stanie coś przełknąć. Te zaniki i powroty grawitacji z pewnością nie wzmagają apetytu.

— Istotnie, mało przypomina to podróż superekspresem. Ale przyzwyczaisz się chłopcze, przyzwyczaisz...

— Kjell, proszę...

— Przepraszam. Zmieniamy temat. Cieszę się, że tu przybyłeś. Od pięciu lat nie mieliśmy tutaj ani jednego inżyniera z Londynu.

— Żartujesz.

— Wcale nie. Wszystkie grube ryby w zarządzie siedzą na swych grubych tyłkach i tylko mówią nam, co powinniśmy robić, nie mając najmniejszego pojęcia o problemach, z jakimi borykamy się na co dzień. Tak więc nie żartuję mówiąc, iż twoja obecność tutaj jest rzeczywiście bardzo pożądana. Jesteśmy na miejscu.

Mesa, do której właśnie weszli urządzona została z dużą dozą dobrego smaku. W tle rozbrzmiewały dźwięki cichej, nastrojowej muzyki. Umieszczone pod ścianami kwiaty tylko na pierwszy rzut oka wyglądały na sztuczne — w rzeczywistości były najzupełniej prawdziwe. Pod samoobsługowym barem stało w kolejce kilku mężczyzn, lecz Jan nie mógł się jeszcze zmusić, by do nich dołączyć.

— Poszukam jakiegoś wolnego stolika — powiedział.

— Przynieść ci coś?

— Tylko filiżankę herbaty.

— Nie ma sprawy.

Jan starał się nie zwracać większej uwagi na posiłek, który Kjell pochłaniał z iście wilczym apetytem. Herbata była mocna i gorzka, co w tej chwili wystarczało mu w zupełności.

— Kiedy będę mógł wyjść i zobaczyć satelitę? — zapytał.

— Nawet zaraz, jeżeli chcesz. Twoje bagaże czekają już w pokoju. Masz tutaj klucz, numer pokoju wybity jest na breloku. Zapoznam cię jeszcze z działaniem skafandra kosmicznego i możemy wychodzić na zewnątrz.

— Jak to właściwie jest z tym wyjściem w przestrzeń? Czy to łatwe?

— Tak i nie. Kombinezony są absolutnie bezpieczne, a więc z tej strony nie masz żadnych powodów do obaw. A jedynym sposobem, by nauczyć się pracować w grawitacji zerowej jest po prostu wyjście i praca na zewnątrz. Na razie nie będziesz jeszcze orbitował swobodnie — wymaga to długiej praktyki — więc po prostu zapakuj się w kombinezon i po dotarciu na miejsce przez cały czas będę cię asekurował. Z powrotem ściągnę cię w taki sam sposób. Możesz pracować jak długo zechcesz, a gdy będziesz chciał kończyć, powiesz mi o tym przez radio. Pamiętaj, że na zewnątrz nigdy nie jesteś sam. Ktoś z nas zawsze może do ciebie dotrzeć w przeciągu sześćdziesięciu sekund. Nie ma strachu.

Kjell przysunął sobie talerz z deserem. Jan odwrócił wzrok, przyglądając się ciepłej w tonacji boazerii, którą wyłożone były wszystkie ściany.

— Żadnych okien — powiedział w końcu. — Od momentu przyjazdu nie widziałem jeszcze żadnych okien.

— I nie zobaczysz. Jedyne okno znajduje się w wieży kontrolnej. Tak jak większość satelitów, my także znajdujemy się na orbicie geosynchronicznej. Dokładnie pośrodku pasa Van Allen'a. Na zewnątrz jest sporo promieniowania — ale otaczające nas ściany stanowią solidną pokrywę ochronną. Skafandry, w których pracujemy także wyposażone są w odpowiednie osłony, ale nawet w nich nie wychodzimy na zewnątrz podczas słonecznych sztormów.

— A jak wygląda sytuacja w chwili obecnej?

— Jeszcze przez dłuższy okres będziemy mieli spokój. Gotowy?

— Prowadź.

Kombinezony kosmiczne były w pełni zautomatyzowane. Temperatura wnętrza, dopływ tlenu, obwody podtrzymujące życie — wszystko było kontrolowane za pomocą komputera.

— Mów po prostu do skafandra — objaśnił Kjell. — Zaczynaj od słowa: kontrola, powiedz co chcesz a na zakończenie dodaj: kontrola koniec. W ten sposób — podniósł jeden z hełmów i przemówił do środka. — Kontrola, podaj mi stan ogólny skafandra.

„Pusty, obwody wewnętrzne sprawne, zbiornik tlenu pełen, baterie naładowane do maksimum”. — Głos był beznamiętny, lecz czysty i wyraźny.

— Czy używacie specjalnych komend lub zwrotów? — zapytał Jan.

— Nie. Mów po prostu wyraźnie, a obwody wybierające same wyłapią to, co trzeba. Jeżeli będą jakieś wątpliwości, komputer każe ci powtórzyć polecenie.

— Wygląda to dość prosto. Zaczynamy?

— Dobrze. A więc siadaj i włóż nogi tutaj...

Przywdziewanie skomplikowanego kombinezonu okazało się stosunkowo prostsze, niż Jan przypuszczał. Nabrał też całkowitego zaufania, gdy komputer ostrzegł go, iż jego prawa rękawica nie jest uszczelniona całkowicie. W końcu założył baniasty hełm i udał się za Kjell'em do śluzy powietrznej. Na zmniejszające się szybko ciśnienie skafander zareagował lekkim szumem, gdy zewnętrzna, ochronna warstwa napinała się i twardniała. Gdy ciśnienie opadło wreszcie do zera, drzwi automatycznie otworzyły się.

— Oto i jesteśmy — rozległ się w słuchawkach głos Kjella, wypłynęli na zewnątrz.

Żadne słowa nie przygotowały Jana wcześniej na widok gwiazd, nie przesłoniętych atmosferą czy też ograniczonych wielkością ekranu. Było ich tak wiele, różniących się jaskrawością i kolorem. Widział już arktyczne niebo w nocy — lecz nie było w nim tego majestatycznego piękna, którego widok wszędzie dookoła zapierał po prostu dech. Nieświadomy upływającego czasu tkwił bez ruchu, dopóki w słuchawkach ponownie nie zabrzmiał głos Kjella:

— Zawsze tak się dzieje, gdy człowiek wychodzi w kosmos. Ale ten pierwszy raz jest specjalny.

— To po prostu niewiarygodne!

— Masz rację. Ale ten widok nie ucieknie, a my w tym czasie możemy zająć się jakąś robotą.

— Przepraszam.

— Nie musisz. Czuję to samo.

Kjell włączył silniczki odrzutowe w swoim skafandrze i podholował Jana do satelity, zakotwiczonego przy wysięgniku. Niedaleko od nich tkwił masywny kształt liniowca galaktycznego, którego kadłub rozbłyskiwał maleńkimi iskrami laserowych spawarek. Oglądany w przestrzeni, w środowisku niejako naturalnym, satelita komunikacyjny sprawiał o wiele bardziej imponujące wrażenie,

niż umieszczony w sterylnej hali laboratoryjnej na Ziemi. Pancierz zewnętrzny był pożłobiony i skorodowany na skutek trwających lata uderzeń mikrocząsteczek. Z metalicznym szczękiem wylądowali na powierzchni i Jan gestem wskazał na pokrywę, którą chciał usunąć. Obserwował uważnie, jak Kjell odkręca masywne śruby śrubokrętem przeciwbieżnym i po chwili spóbował tego samego. Początkowo szło mu dość opornie, lecz szybko nabierał wprawy. Jednak po godzinie pracy zmogło go zmęczenie i dał znak Kjellowi, iż chce wracać. Wyswobodził się z kombinezonu i udał się prosto do swojej kabiny, gdzie prawie natychmiast zapadł w sen.

Drugiego dnia zabrał ze sobą opakowane w folię dyskietki. Łatwo mieściły się w wewnętrznej kieszeni na prawej nogawce skafandra.

Trzeciego dnia Jan poczynał już sobie całkiem nieźle i Kjell nie ukrywał swego zadowolenia.

— Zostawię cię teraz samego. Krzycz, gdybyś potrzebował pomocy — będę wewnątrz tego satelity.

— Może uda mi się tego uniknąć. Jestem dobrze zakotwiczony i nie sądzę, by doszło do poważniejszych kłopotów. Ale dziękuję.

— Ja także. Ten złom przez lata czekał na rękę prawdziwego fachowca.

Jan musiał być pod stałą obserwacją, lub też jego rozmowy radiowe były przechwytywane — prawdopodobnie obie te rzeczy na raz. Mocował się właśnie z opornymi zaczepami monitora ekranowego, gdy spoza kadłuba najbliższego liniowca wyłoniła się postać w skafandrze kosmicznym, płynąc powoli w jego kierunku używając oszczędnie silniczka raketowego, umieszczonego na plecach. Mężczyzna zbliżył się, zatrzymał z łatwością wskazującą na dużą wprawę i przytknął swój hełm do hełmu Jana. Co prawda radia były wyłączone, lecz głos mężczyzny był wyraźnie słyszalny poprzez płyty kontaktowe hełmów.

— Czy sprawdzał pan ostatnio linię bezpieczeństwa?

Rysy jego twarzy skryte były za lustrzanym wizjerem hełmu. Jan sięgnął do kieszeni i wyjął dyskietkę, w świetle reflektora dostrzegając równocześnie, iż była to ta prawdziwa. Nieznajomy mężczyzna wyrwał mu ją z dłoni i zanim Jan zdążył zareagować, odepchnął się od niego i uniósł w przestrzeń.

W tej właśnie chwili w ciemności wyłoniła się kolejna sylwetka. Poruszała się szybko, dużo szybciej niż jakikolwiek człowiek w skafandrze, jakiego Jan do tej pory widział. Postać sunęła kursem kolizyjnym i wkrótce zderzyła się bezgłośnie z pierwszym mężczyzną, naciskając w tym samym momencie spust trzymanej przed sobą spawarki laserowej.

Nastąpiła mikrosekundowa eksplozja, a czerwony jęzor przeszedł na wylot przez skafander i ciało mężczyzny. Z dziury trysnął strumień czystego tlenu, zamieniając się natychmiast w chmurę błyszczących kryształków. Nie nastąpiło żadne radiowe wezwanie na pomoc — najwidoczniej promień lasera napastnika zniszczył komputer w skafandrze ofiary.

Jan, wciąż sparaliżowany szokiem obserwował, jak napastnik puszcza spawarkę, która zawisa na linie łącznikowej a sam obejmuje skafander martwego mężczyzny. Dysze jego silników zapłonęły zimnym ogniem i obie postacie zaczęły się oddalać — a po chwili rozdzieliły się. Napastnik zawrócił a martwy korpus w rozdartym skafandrze oddalał się coraz bardziej, niczym kometa pozostawiając za sobą ogon zamarzniętego tlenu, aż w końcu zniknął z oczu.

Mężczyzna zatrzymał się tuż przed Janem i wyciągnął dłoń. Przez dłuższą chwilę Jan, wciąż zaskoczony siłą i bezwzględnością ataku, nie bardzo wiedział, czego ten tajemniczy człowiek sobie życzy. W przebłysku zrozumienia sięgnął do kieszeni, wyjął dyskietkę i włożył ją w czekającą nieruchomo dłoń. Cofnął się odruchowo, gdy hełm mężczyzny drgnął i przywarł do płyty czołowej jego hełmu.

— Dobra robota — usłyszał w słuchawkach.

Po chwili nieznajomy mężczyzna zniknął.

Rozdział 18

Dwa dni później Jana rozbudził niespodziewany, głośny terkot telefonu. Spojrzał na zegarek i z rozdrażnieniem stwierdził, iż spał jedynie trzy godziny. Mrużąc coś niepochlebnego pod nosem podniósł słuchawkę i na ekranie ukazała się zatroskana twarz Soni Amariglio.

— Jan, jesteś tam? — zapytała. — Mój ekran jest zupełnie ciemny.

Mając nadzieję na rychły powrót w objęcia snu włączył ekran noktowizyjny, zamiast zapalać światło. Jego obraz będzie czarno-biały, lecz wystarczający do rozmów telefonicznych.

— Obawiałam się, że właśnie w tej chwili możesz spać — powiedziała Sonia. — Przepraszam, że cię obudziłam.

— Nic się nie stało. I tak musiałem wstać, by odebrać telefon.

Ściągnęła w zamyśleniu usta — a po chwili uśmiechnęła się.

— To był dowcip? Bardzo dobry — jej uśmiech zniknął. — Niestety, musiałam do ciebie zadzwonić o tak nieszcześnie porze, ponieważ musisz natychmiast wracać do Londynu. To bardzo ważne.

— Ale nie zakończyłem jeszcze wszystkich prac.

— Przykro mi, lecz będziesz musiał wszystko pozostawić. Wiem, iż trudno to wyjaśnić, ale to konieczne.

Jan z dreszczem przerażenia zdał sobie nagle sprawę że najprawdopodobniej nie jest to jej własna decyzja. Ktoś musiał wydać jej polecenie, by ściągnęła go z powrotem. Nie chciał jej jednak naciskać.

— W porządku. Skontaktuję się z kontrolą lotów promowych i oddzwonię. . .

— To nie będzie konieczne. Masz zarezerwowane miejsce na wahadłowcu odlatującym stamtąd za dwie godziny. Zdażysz?

— Chyba tak. Zadzwonię natychmiast po powrocie. Przerwał połączenie i ziewając szeroko zapalił światło. Przez chwilę siedział nieruchomo, masując sobie skronie. Ktoś chciał, by rzucił tutaj wszystko i zjawił się bezzwłocznie w Londynie. — To z pewnością sprawka Służb Bezpieczeństwa. Ale dlaczego? Odpowiedź wydawała się stosunkowo prosta. Ludzie nie znikają ot, tak sobie w przestrzeni kosmicznej. Ten jednak zaginął. Czyżby z tego właśnie powodu ściągnano go w takim pośpiechu? Miał niezbyt przyjemne wrażenie, że tak.

Podróż powrotna przebiegała bez zbędnych sensacji. Nieważkość nie robiła już na nim większego wrażenia a po zejściu po rampie już na Ziemi czuł się dziwnie ociężały, ponieważ po paru dniach pobytu na Stacji przywykł do zmniejszonego ciężenia. Podróż przez Atlantyk była równie mało ciekawa, więc większość lotu po prostu przespał. Gdy wysiadał z samolotu na lotnisku Heathrow, czuł się rześki i wypoczęty. Londyn przywitał go swą zwykłą, nieprzyjemną pogodą, pobiegł więc szybko do czekającego na parkingu samochodu, osłaniając twarz przed przenikliwymi, mokrymi podmuchami wiatru. Śnieg zaczynał już tajać, zamieniając się w grząskie błoto. Szybko naciągnął wyjęte z bagażnika wysokie buty i ciepłe palto.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył po wejściu do mieszkania był czerwony napis PILNA WIADOMOŚĆ na ekranie wideofonu. Nacisnął odpowiedni przycisk i odczytał zakodowaną wiadomość:

CZEKAM U SIEBIE W BIURZE. PRZYJEDŹ NATYCHMIAST
PO POWROCIE.
THURGOOD-SMYTHE

Było to mniej więcej to, czego oczekiwał. Jednak Służba Bezpieczeństwa, a także jego szwagier mogli mu dać trochę czasu aby się umył, przebrał i zjadł coś wreszcie treściwego. Racje na stacji były zamrożone, pozbawione zapachu i smaku.

W trakcie posiłku przyszła mu do głowy niezwykła myśl. Wiedział już, co powinien zrobić, gdy spotka się ze Smitty'm. Uśmiechnął się do siebie w duchu. No proszę, a więc można przeprowadzić dywersję w samym legowisku lwa! Pomysł był niebezpieczny, lecz równocześnie trudno mu było się oprzeć. W kieszeni starego ubrania znalazł niewielkie urządzenie, które skonstruował jeszcze przed swym wyjazdem na Stację. Sprawdzi teraz, czy działa.

Centralna Służba Bezpieczeństwa była szarym kompleksem pozbawionych okien betonowych budynków, rozrzuconych na północy od Marylebone. Jan był już tutaj wcześniej i komputer centralny skrzętnie odnotował ten fakt. Gdy wsunął kartę kasety identyfikacyjnej w szczelinę przy drzwiach garażu, otworzyły się prawie natychmiast. Zostawił samochód w sektorze przeznaczonym dla gości i windą udał się do sali recepcyjnej.

— Dzień dobry, inżynierze Kulozik — powitała go siedząca za masywnym biurkiem dziewczyna, spoglądając na ekran podręcznego monitora. — Proszę udać się na górę windą numer trzy.

Jan skinął krótko głową i wszedł do komory detekcyjnej. Rozległ się ostry brzęk i strażnicy spojrzeli na niego uważnie znad swych monitorów.

— Czy mógłby pan podejść tu na chwilę, wasza dostojność? — polecił grzecznie jeden z nich.

To się nigdy przedtem nie zdarzyło. Jan poczuł ciekący wzdłuż kręgosłupa lodowaty strumyczek strachu, starał się zamaskować to przed strażnikami.

— Co stało się z tą maszyną? — zapytał. — Nie przenoszę przecież żadnej broni.

— Przykro mi, sir. Czy mógłby pan opróżnić kieszenie? Z pewnością ma pan tam jakiś metaliczny przedmiot.

Dlaczego zdecydował się to przynieść? Jakie szaleństwo nim owładnęło, iż zdecydował się na tak beznadziejnie głupi krok? Włożył powoli rękę do kieszeni i zaprezentował strażnikom leżący na dłoni niewielki przedmiot.

— Czy o to wam chodzi? — zapytał siląc się, by jego głos zabrzmiał jak najbardziej naturalnie.

Strażnik spojrzął na zapalniczkę i skinął głową.

— Tak, sir. Zapalniczki tego typu nie powodują zazwyczaj alarmu.

Nachylił się, by przyjrzeć się jej lepiej i wyciągnął dłoń. Jednak wyciągnięta ręka opadła.

— To z pewnością ta złota oprawa. Przepraszam, że pana fatygowałem sir.

Jan schował zapalniczkę do kieszeni i skinął głową — nie odważył się powiedzieć ani słowa — i skierował się w stronę otwartych drzwi windy. Gdy zamknęły się za nim z cichym szumem, oparł się plecami o ścianę i pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi. To było naprawdę blisko. Na razie nie może sobie pozwolić na uaktywnienie wbudowanych w środek obwodów, było to zbyt niebezpieczne.

Thurgood-Smythe siedział za swym biurkiem i na widok wchodzącego do pokoju Jana zimno, bez uśmiechu skinął powoli głową. Nie czekając na zaproszenie Jan usiadł wygodnie w fotelu, tak jak zwykle krzyżując przed sobą nogi.

— Co się właściwie stało? — zapytał.

— Mam przecucie, iż znalazłeś się w bardzo poważnych kłopotach.

— A ja mam przecucie, że nie bardzo rozumiem, o czym właściwie mówisz.

Thurgood-Smythe, wyraźnie zły, wycelował w niego oskarżycielsko palec.

— Nie próbuj bawić się ze mną, Janie. Właśnie wydarzył się kolejny z tych niezwykłych zbiegów okoliczności. Wkrótce po twoim przybyciu na Stację Dwanaście, z jednego z liniowców zaginał członek załogi.

— No to co? Naprawdę uważasz, że miałem z tym cokolwiek wspólnego?

— W normalnych okolicznościach nie zwracałbym sobie czymś takim głowy. Ale tak się nieszczęśliwie składa, iż człowiek ten był jednym z naszych.

— Z Bezpieczeństwa? Teraz rozumiem. . .

— Naprawdę? Tu nie chodzi o tego człowieka, lecz o ciebie — zaczął wyliczać zginając palce. — Masz dostęp do komputerów którymi posłużono się, by uzyskać zastrzeżone informacje. Byłeś w Szkocji, w czasie ucieczki jednego więźnia z obozu. A teraz jesteś akurat tam, gdzie znika jeden z naszych ludzi. Nie podoba mi się to.

— Zbieg okoliczności. Sam to przecież powiedziałeś.

— Nie. Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. Jesteś zamieszany w działalność wymierzoną przeciwko istniejącemu porządkowi społecznemu. . .

— Smitty, posłuchaj. Nie możesz mnie oskarżać o coś takiego, nie mając żadnych właściwie dowodów. . .

— Nie potrzebuję żadnych dowodów — głos Thurgood-Smythe niósł w sobie lodowatą zapowiedź śmierci. — Gdybyś nie był bratem mojej żony zostałbyś natychmiast aresztowany. Zabraną stąd i odesłany na przesłuchanie, a potem — jeżeli byś jeszcze żył — zesłany do obozu pracy na resztę życia. Zniknąłbyś z wszystkich oficjalnych kartotek, twoje konto bankowe zostałoby anulowane a mieszkanie opróżnione.

— Ty. . . naprawdę mógłbyś to zrobić?

— Już to zrobiłem — padła szybka, pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu odpowiedź.

— Nie mogę w to uwierzyć. To. . . to po prostu potworne. Jedno twoje słowo — a gdzie jest w takim razie sprawiedliwość. . .

— Jesteś głupcem, Janie. Jedyna istniejąca na świecie forma sprawiedliwości to ta, która służy rządzącym do kierowania społeczeństwem. Wewnątrz tego budynku nie istnieje żadna sprawiedliwość. Żadna. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Rozumiem, ale wciąż nie mogę uwierzyć, by było to prawdą. Mówisz, iż życie które znam nie jest prawdziwe. . .

— Bo nie jest. I nie oczekiwałem nawet, że przyjmiesz moje słowa bez zastrzeżeń. Dlatego też przygotowałem dla ciebie specjalny pokaz — coś, czego nigdy nie zapomnisz.

Thurgood-Smythe nacisnął jeden z przycisków na biurku i drzwi do jego gabinetu otworzyły się. Umundurowany policjant wprowadził mężczyznę w szarym, więziennym uniformie, zatrzymał go przed biurkiem i wyszedł. Mężczyzna stał po prostu bez ruchu, nieruchomym wzrokiem wpatrując się martwo w przestrzeń.

— Skazany na śmierć za nadużywanie narkotyków — oświadczył Thurgood-Smythe. — Śmieć, taki jak ten, jest zupełnie bezwartościowy dla społeczeństwa.

— A to człowiek, a nie śmieć.

— Teraz jest śmieciem. Przed egzekucją dokonano mu lobotomii płata czołowego. Nie ma świadomości, pamięci, osobowości. Po prostu mięso. Lecz nawet samo mięso w dalszym ciągu odczuwa ból.

Jan zacisnął bezsilnie dłonie na poręczach fotela widząc, jak jego szwagier wyciąga z szuflady biurka niewielki przedmiot, z jednej strony zakończony izolowaną rękojeścią, a z drugiej zaopatrzony w dwa wystające pręty. Stał tuż przed więźniem, przyłożył pręty do jego czoła i nacisnął spust.

Przez ciało mężczyzny przebiegła seria gwałtownych, bolesnych konwulsji, po czym zwałił się bezwładnie na podłogę.

— Trzydzieści tysięcy volt — powiedział Thurgood-Smythe i odwrócił się, spoglądając prosto na Jana. Podszedł bliżej, by zademonstrować mu trzymane w dłoni narzędzie. Gdy po chwili przemówił, jego głos był bezbarwny, wyprany z wszelkiej emocji:

— Równie dobrze mógłbyś to być ty. To jeszcze ciągle możesz być ty — nawet w tej chwili. Rozumiesz?

Jan z fascynacją i rosnącą grozą wpatrywał się w poczerniałe elektrody, znajdujące się tuż przed jego twarzą. Gdy zbliżyły się jeszcze bardziej, nieświadomie drgnął i odsunął się. Po raz pierwszy zaczął się naprawdę bać. O siebie i o świat, w którym żyje. Do tej pory był jedynie wplątany w rodzaj skomplikowanej gry. Inni mogli zostać zabici — on nigdy. Nagle przyszła bolesna świadomość, iż reguły, w które aż do tej pory wierzył, nigdy nie istniały. To już nie była gra. Teraz wszystko było prawdziwe. Strach, ból i . . .

— Tak — odparł głosem, który nawet w jego własnych uszach zabrzmiał jak ochryply szept. — Tak, panie Thurgood-Smythe, zrozumiałem, co mi pan powiedział. To nie należało do dyskusji — spojrzał na rozciągnięte na podłodze ciało. — Ten pokaz miał mi coś powiedzieć, prawda? Coś, czego pan ode mnie oczekuje.

— Właśnie.

Thurgood-Smythe powrócił za biurko i odłożył instrument na bok. Otworzyły się drzwi i wszedł ten sam policjant, wyciągając bezwładne ciało z gabinetu. Głowa trupa obijała się bezwładnie o podłogę. Jan odwrócił na ten widok głowę, przenosząc spojrzenie na swego szwagra.

— Wyłącznie dla dobra Elizabeth nie będę cię pytał, jak głęboko tkwisz w ruchu oporu. Zignorowałaś moje rady, więc teraz będziesz wykonywał moje instrukcje. Po wyjściu stąd zerwiesz wszystkie kontakty, zaprzestasz wszelkiej działalności. Na zawsze. Gdy ponownie padnie na ciebie choćby cień o prowadzenie jakiegokolwiek podejrzanego działania — nie zrobię nic, aby cię ochronić. Zostaniesz aresztowany, sprowadzony tutaj, przesłuchany i do końca życia osadzony w obozie. Czy to jasne?

— Jasne.

— Głośniej. Nie słyszałem cię.

— Jasne. Tak, jasne, zrozumiałem.

Gdy Jan wypowiadał te słowa poczuł, jak strach ustępuje miejsca rosnącej wściekłości. W tym momencie absolutnego upokorzenia niezwykle jasno zdał sobie sprawę, jak perfidnie podstępni byli ludzie dzierżący władzę i jaką niemożliwością będzie życie z nimi ponownie w zgodzie. Nie chciał umierać — jednak jasno wiedział, iż nie ma już dla niego miejsca w świecie, którym rządzą tacy Thurgood-Smythe'owie. Czując, jak drżą mu ramiona opuścił twarz ku ziemi. Jednak nie był to symbol poddania — nie chciał jedynie, by jego szwagier dostrzegł malującego się na twarzy uczucia gniewu, które paliło, niczym ogień.

Jego dłonie wepchnięte były głęboko w kieszenie kurtki. Nacisnął ukryty przycisk w zapalniczce.

Silny sygnał z niewielkiego, lecz o dużej mocy ukrytego w zapalniczce transmitera uaktywnił mechanizm ukryty w piórze, wystającym z górnej kieszeni marynarki oficera Bezpieczeństwa. W mikrosekundach pamięć pióra została opróżniona i przetransmitowana do urządzenia rejestrującego w zapalniczce. Jan zwolnił przycisk i wstał.

— Jeżeli to już wszystko — czy mogę wyjść?

— To wszystko jest dla twojego dobra, Janie. Ja nic na tym nie zyskuje.

— Proszę, Smitty. Bądź kimkolwiek — ale nie bądź przynajmniej hipokrytą — nie mógł się powstrzymać przed tą ostatnią uwagą. Thurgood-Smythe musiał się jednak spodziewać czegoś podobnego, bowiem skinął jedynie bez wyrazu głową. Jan powziął nagłą decyzję.

— Nienawidzisz mnie, prawda? — zapytał niskim głosem. — Zawsze mnie nienawidziłeś.

— Masz absolutną rację.

— No cóż — bardzo dobrze. Mogę teraz szczerze przyznać, iż jest to uczucie w pełni odwzajemnione.

Wyszedł szybko z gabinetu obawiając się, że być może powiedział zbyt dużo. Jednak przy wyjściu z budynku nie czekały nań żadne przykre niespodzianki. Lecz dopiero gdy wjeżdżał na rampę w pełni zrozumiał, co właśnie zrobił.

Miał w swej kieszeni zapis wszystkich przeprowadzanych przez swego szwagra w ciągu ostatnich kilku tygodni rozmów, i to najprawdopodobniej na najwyższym szczeblu Służb Bezpieczeństwa.

To było jak bomba, która w każdej chwili może go zniszczyć. Co powinien właściwie z tym zrobić? Wymazać pamięć do czysta, a samą zapalniczkę wrzucić do Tamizy, zapominając tym samym, iż kiedykolwiek odważył się coś podobnego zrobić. Automatycznym ruchem skręcił samochodem w stronę rzeki. Jeżeli tego nie zrobi będzie to równoznaczne z wydaniem na samego siebie wyroku śmierci.

Zaprzątnięty kłębiącymi się w głowie myślami nie zwracał uwagi, co dzieje się dookoła. Prawie przejechał czerwone światło, którego nawet nie zauważył, jednak komputer zareagował prawidłowo i uaktywnił hamulec.

Nagle uświadomił sobie, iż ta chwila jest punktem zwrotnym. Momentem, który jasno określi jego całe przyszłe życie.

Skręcił w Savoy Street, zatrzymał się przy krawężniku, zbyt pochłonięty myślami, by prowadzić dalej. Był także zbyt podekscytowany, by usiedzieć spokojnie. Wsiadł z samochodu, zatrzasnął drzwiczki i skierował się w stronę rzeki. Nagle zatrzymał się. Wciąż jeszcze nie potrafił się zdecydować. Zawrócił, otworzył bagażnik i wyjął niewielką skrzynkę z narzędziami. Wewnątrz znalazł parę małych słuchawek; wsunął je do kieszeni i ponownie ruszył w stronę rzeki.

Wiał zimny, porywisty wiatr ponownie ścinając błoto na chodnikach w pofałdowany lód. Z wyjątkiem paru odległych sylwetek, całe Nabrzeże Wiktorii było praktycznie puste. Przystanął przy kamiennym murku, wpatrując się z roztargnieniem w płynące w stronę morza białe płaty kry. Dłoń trzymająca zapalniczkę zacisnęła się nieświadomie w pięść. Wszystko co powinien teraz zrobić, to cisnąć ją do rzeki i zapomnieć o całej sprawie. Otworzył dłoń i przyjrzał jej się z bliska. Taka maleńka, a jednocześnie taka ważna. . .

Drugą ręką wyjął z kieszeni słuchawki i podłączył je do gniazdka w boku zapalniczki.

Wciąż jeszcze mógł to wszystko wyrzucić. Musiał jednak usłyszeć, co Thurgood-Smythe mówił w zaciszu własnego biura, o czym rozmawiał z ludźmi swego pokroju. Należało mu się chociaż tyle.

Po chwili w jego uchu zabrzmiały słabe głosy. Przeważnie niezrozumiałe rozmowy o ludziach, których nazwisk nigdy nie słyszał; o skomplikowanych wykroczeniach, omawianych w chłodny, rzeczowy sposób. Eksperci z pewnością potrafiliby to rozplatać i nadać sens specyficznym frazesom i komendom. Jednak dla Jana nie miało to większego sensu. Przewinął do końca i znalazł fragment ich ostatniej rozmowy, przewinął więc ponownie do tyłu. Nic szczególnie interesującego. Nagle aż drgnął, słysząc wyraźne słowa:

„Tak, właśnie, ta izraelska dziewczyna. Mieliśmy z nią wystarczająco dużo kłopotów. Musimy to dzisiaj skończyć. Czekać przy łodzi na kanale dopóki zebranie nie rozpocznie się i. . .”

Sara — w niebezpieczeństwie!

Podjął decyzję — nieświadomy nawet momentu, w którym to nastąpiło. Szybkim krokiem — nie biegiem, gdyż mogłoby się to wydać podejrzanym — ruszył w stronę samochodu. Dzisiejszego wieczoru! Czy uda mu się dotrzeć tam pierwszy?

Prowadził samochód z chłodną rozwagą, wykorzystując czas do maksimum. Łodzie na kanale. To musi być gdzieś na kanale Regent, tam gdzie spotkali się po raz ostatni. Jak wiele wie Służba Bezpieczeństwa? Od jak dawna obserwują każdy ich ruch, bawiąc się nimi, czekając na odpowiednią okazję? Nie miało to teraz znaczenia. Musi ocalić Sarę. Ocalić ją, nawet jeżeli nie będzie już w stanie ocalić siebie samego. Za wszelką cenę. Światła samochodu zapaliły się automatycznie, bowiem zaczynało zmierzchać.

Musi mieć jakiś plan. Musi myśleć, zanim zacznie działać. W samochodzie prawdopodobnie znajdowały się urządzenia podsłuchowe. Jeżeli pojedzie w stronę Little Venice, natychmiast zostanie to zauważone. A więc część drogi musi przejść na piechotę. Zaparkował przy kompleksie handlowym na Maida Vale i wszedł do największego ze sklepów. Szybkim krokiem wmieszał się w tłum i wyszedł tylnym wyjściem.

Gdy dotarł wreszcie do kanału, było już zupełnie ciemno. Wzdłuż całego chodnika płonęły lampy, a jakaś idąca wolno para zbliżała się właśnie w jego kierunku. Skrył się w cieniu drzewa i pozwolił, by go minęła. Gdy tylko zniknęli, pośpieszył do łodzi. Stała w tym samym miejscu, ciemna i cicha. Gdy wszedł na pokład, z cienia nadbudówki wysunął się jakiś mężczyzna.

— Na twoim miejscu nie posuwałbym się ani kroku dalej.

— Rondel, muszę się tam dostać. Wszystkim grozi niebezpieczeństwo.

— To niemożliwe, chłopcze, odbywa się tam właśnie bardzo ważne spotkanie.

Nikt obcy...

Jan strącił dłoń Rondla ze swego ramienia i pchnął go silnie w pierś, tak że mężczyzna potknął się i upadł. Gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi i wskoczył do kabiny.

Sara spojrzała na niego okrągłymi ze zdziwienia oczyma.

Wyraz takiego samego zdziwienia malował się na twarzy Soni Amariglio, szefa laboratoriów satelitarnych, która siedziała po drugiej stronie stołu naprzeciwko Sary.

Rozdział 19

Zanim Jan zdążył cokolwiek powiedzieć, ktoś objął go od tyłu z siłą, która wycisnęła z jego płuc resztki powietrza.

— Puść go, Rondel — poleciła Sara i Jan poczuł, że jest popychany do przodu. — Zamknij drzwi, szybko.

— Nie powinieneś tu przychodzić — powiedziała Sonia. — To niebezpieczny błąd. . .

— Słuchajcie, nie mamy czasu — przerwał Jan. — Thurgood-Smythe wie o tobie, Saro i wie o tym spotkaniu. Policja jest już w drodze. Musicie się stąd wydostać, szybko.

Wpatrywali się w niego w milczącym osłupieniu. Pierwszy trzeźwością umysłu wykazał się Rondel:

— Transport będzie tutaj dopiero za godzinę. Mogę się nią zająć — wskazał na Sonię. — Lód na kanale jest wciąż wystarczająco gruby. Znam drogę, którą możemy przejść na drugą stronę — ale tylko nasza dwójka.

— Idźcie zatem — polecił Jan i spojrzał na Sarę. — A ty chodź ze mną. Jeżeli dotrzemy do mojego samochodu zanim się tutaj pojawią, wymkniemy się im.

Zgaszono światła i Rondel otworzył drzwi. Zanim Sonia wyszła, wyciągnęła rękę, dotknęła lekko twarzy Jana.

— Teraz mogę ci powiedzieć, że praca którą dla nas wykonywałeś była naprawdę bardzo ważna. Dziękuję ci, Janie — uśmiechnęła się i zniknęła za drzwiami.

Jan i Sara wyszli na pokład i wspięli się na puste jeszcze nabrzeże.

— Nikogo nie widzę — powiedziała dziewczyna.

— Mam jedynie nadzieję, iż nie mylisz się.

Puścili się biegiem po oblodzonej nawierzchni w stronę spinającego oba brzegi kanału mostu, Mieli już na niego wbiec, gdy nagle zza zakrętu wypadł samochód, rycząc przeciążonym silnikiem i kierując się w ich stronę.

— Pod drzewa! — krzyknął Jan i pociągnął Sarę za sobą. — Może nas jeszcze nie dostrzegli.

Wbiegli pod osłonę gałęzi, podczas gdy za nimi ryk silnika nasilał się coraz bardziej. Jan rzucił się na ziemię, a Sara nie zwlekając poszła w jego ślady. Wkrót-

ce światła samochodu na krótko oświetliły miejsce, w którym leżeli i pomknęły dalej. Rozległ się metaliczny zgrzyt, gdy samochód w pełnym pędzie wpadł na nabrzeże.

— Chodźmy — powiedział Jan, pomagając dziewczynie podnieść się na nogi. — Gdy tylko przekonają się, że łódź jest pusta, rozpoczną poszukiwania.

W wyścigu po życie skręcili w pierwszą przecznicę i nie zatrzymując się pobiegli dalej. Na następnej ulicy było już sporo pieszych, musieli więc zwolnić do szybkiego marszu. Nigdzie nie dostrzegali jednak żadnego śladu pogoni. Zwolnili jeszcze bardziej, by uspokoić oddech.

— Czy możesz mi powiedzieć, co się właściwie stało? — zapytała Sara.

— W moim ubraniu są z pewnością urządzenia podsłuchowe więc wszystko, co powiem, będzie przez nich nagrane.

— Twoje ubranie zostanie zniszczone. Ale muszę teraz wiedzieć, co się stało.

— Podśluchałem mego ukochanego szwagra, oto, co się stało. W kieszeni mam nagrane jego wszystkie ostatnie rozmowy. Większość z tego jest dla mnie kompletnie niezrozumiała — lecz ostatni kawałek był wystarczająco jasny. Nagrany dzisiaj. Na dziś wieczór zaplanowali włamać się na pokład łodzi stojącej w kanale. To jego własne słowa. I miało to związek z „izraelską dziewczyną”

Sara syknęła i wbiła się palcami w jego ramię.

— Jak wiele wiedzą?

— Cholernie dużo.

— A więc muszę natychmiast zniknąć z Londynu i tego kraju. A to nagranie musi dotrzeć do naszych ludzi. Trzeba ich ostrzec.

— Możesz to zrobić?

— Chyba tak. A co z tobą?

— Dopóki nie wiedzą, że byłem tu dziś wieczorem, jestem stosunkowo bezpieczny — nie było sensu mówić jej o śmiertelnym ostrzeżeniu, które właśnie otrzymał. Jej ocalenie było w tej chwili sprawą najważniejszą. Gdy to się uda, wtedy pomyśli o sobie. — Mój samochód wydaje się czysty. Powiedz mi teraz, dokąd chcesz się udać i nie powtarzaj tego w samochodzie.

— Koniec komputerowej strefy samochodowej jest na Liverpool Road. Znajdź jakąś spokojną uliczkę jeszcze po tej stronie i wysadź mnie. Pójdę do Islington.

— W porządku — przez chwilę szli w milczeniu, przechodząc obok sklepów na Maida Vale.

— Ta kobieta na łodzi — powiedział nagle Jan. — Co się z nią stanie?

— Czy mógłbyś zapomnieć, iż ją tam widziałeś?

— Będzie to trudne, ale postaram się. Czy naprawdę jest taka ważna?

— Stoi na czele naszej organizacji w Londynie. Jest jednym z naszych najlepszych ludzi.

— Z pewnością. Jesteśmy na miejscu. Teraz nic nie mów.

Jan otworzył drzwiczki i wsiadł do środka. Mruczając coś do siebie pod nosem zapalił światło i silnik. Wsiadł, otworzył bagażnik i pogrzechotał przez chwilę w skrzynce na narzędzia. W końcu skinął dłonią na Sarę. Gdy wsiadła, zamknął za nią drzwi, wśliznął się za kierownicę i ruszyli.

Droga przez Marylebone byłaby najkrótsza, ale Jan nie mógł się zmusić, by jeszcze raz przejeżdżać w pobliżu Centrali Służb Bezpieczeństwa. Zamiast tego skręcił w St. John's Wod, a potem przejechał przez Regens Park. Wtedy właśnie muzyka w radiu ucichła i zastąpił ją głośny, wyraźny męski głos mówiący:

— Janie Kulozik, jesteś aresztowany. Nie próbuj opuszczać, swego pojazdu. Czekaj na najbliższy patrol policji.

Gdy głos w radiu zamarł, silnik samochodu nagle wyłączył się i pojazd po przejechaniu jeszcze kilku metrów stanął.

Strach Jana znalazł pełne odbicie w przerażonym spojrzeniu dziewczyny. Bezpieka wiedziała gdzie się znajduje, śledziła go, wysłała za nim patrol. A razem z nim znajdą także i Sarę.

Jan złapał za klamkę przy drzwiach, lecz ta ani drgnęła. Drzwi były zablokowane. Znaleźli się w pułapce.

— To nie będzie takie łatwe, wy dranie! — wrzasnął Jan sięgając do schowka po mapę. Oddał kawałek papieru i przytknął koniec do płomienia wyjętej z kieszeni zapalniczki. Gdy zajął się ogniem, przyłożył go do reszty zwiniętej mapy.

Po chwili rulon buchnął wysokim płomieniem. Jan zaczął wymachiwać nim nad deską rozdzielczą pojazdu.

Nie musiał czekać długo, by obwody przeciwpożarowe zareagowały prawidłowo. Zabrzmiał głośny brzęczyk i wszystkie drzwi otworzyły się.

— Uciekaj! — wrzasnął wypychając oszołomioną dziewczynę z samochodu.

Ponownie rzucili się przed siebie, uciekając przed niewidzialną, lecz wszechobecną policją. Biegli na przelaj ciemnymi uliczkami, starając się zwiększyć dystans pomiędzy sobą a porzuconym samochodem. Biegli, dopóki Sara nie opadła z sił — wtedy zwolnili i dalej szli szybkim marszem. Nigdzie jednak nie dostrzegali żadnego śladu prześladowców. Szli, dopóki nie znaleźli się w bezpiecznym tłumie na ulicach Camden Town.

— Idę z tobą — powiedział Jan. — Wiedzą o mnie wszystko, także o moich powiązaniach z ruchem oporu. Zostałem ostrzeżony przed dalszą działalnością. Czy możesz mi pomóc się stąd wydostać

— Przykro mi, iż cię w to wszystko wplątałam, Janie.

— A ja cieszę się, że to zrobiłaś.

— Jeden człowiek nie będzie stanowił większej różnicy. Będziemy się starać uciec do Irlandii. Lecz chyba zdajesz sobie sprawę, że gdy nam się uda, będziesz bezpaństwowcem. Już nigdy nie będziesz mógł wrócić do własnego kraju.

— Wiem. Wiem także, że jeżeli mnie złapią, jestem trupem. Być może w ten sposób będę mógł być razem z tobą. Chciałbym, aby tak było. Kocham cię.

— Janie, proszę. . .

— Czy to coś złego? Aż do teraz nie zdawałem sobie z tego sprawy. Przykro mi, iż nie wypadło to w bardziej romantyczny sposób ale przypuszczam, że to wina mego technicznego wykształcenia. A ty?

— Nie możemy dyskutować o tym teraz, nie jest to odpowiednia pora. . .

Jan złapał dziewczynę za ramiona, zatrzymał i odwrócił twarzą ku sobie. Spojrzał jej prosto w oczy i lekko przytrzymał za podbródek, gdy próbowała odwrócić głowę.

— Nie ma lepszego czasu — powiedział cicho. — Właśnie zadeklarowałem ci swoją miłość. Jaka jest twoja odpowiedź?

Sara uśmiechnęła się leciutko.

— Wiesz, że jestem z ciebie bardzo, bardzo dumna. To wszystko, co mogę ci w tej chwili powiedzieć. Musimy już iść.

Gdy ruszyli dalej wiedział, że będzie się musiał tym zadowolić. Na razie. Przeklinał w duchu chwilę słabości, która zmusiła go do wyznania miłości właśnie teraz, w tak nieodpowiednim miejscu i w tak nieodpowiedni sposób. A jednak była to prawda. Wyznał ją — i był z tego faktu zadowolony.

Byli śmiertelnie zmęczeni na długo, nim dotarli do punktu przeznaczenia, jednak nie odważyli się zatrzymać. Jan otoczył talię dziewczyny ramieniem, pomagając jej iść.

— Nie mogę. . . już ani kroku — wyszeptała w końcu Sara.

Oakley Road była kiedyś ulicą eleganckich domków jednorodzinnych, opuszczonych teraz i bezpańskich. Zeszli po zmurszałych stopniach ku wejściu w suterenie jednego z nich i Sara otworzyła drzwi wyjętym z kieszeni kluczem. Poczekała, aż Jan wślizgnie się do środka i starannie zamknęła za nim drzwi. Poprzez pogrążony w ponurych ciemnościach holi przeszli do położonego na tyłach domu pokoju. Dopiero gdy zamknęły się za nimi drzwi, Sara zapaliła światło. Wzdłuż ścian znajdowały się rzędy szafek, z elektrycznego grzejnika promieniowało przyjemne ciepło a w rogu pokoju stał staromodny, od dawna nie używany kafłowy piec. Dziewczyna wyjęła z szafki stertę kocy i wyciągnęła jeden z nich w stronę Jana.

— Całe ubranie, buty, wszystko do pieca — poleciła. — Musimy to od razu spalić. Potem wyszukam ci jakieś ubranie zastępcze.

— Przede wszystkim weź to — powiedział, wręczając jej zapalniczkę. — Pokaż to naszym ludziom od elektroniki. Wewnątrz znajduje się zapis rozmów Thurgood-Smythe'a.

— To bardzo ważne. Dziękuję ci, Janie.

Nie mieli dużo czasu na odpoczynek. Kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi i Sara wyszła do hollu, by porozmawiać z nowo przybyłym.

— Musimy dostać się do Hammersmith, zanim przestaną jeździć wszystkie autobusy — powiedziała po powrocie. — Musimy założyć stare ubrania. Mam

też parę kaset identyfikacyjnych. Nie są najlepsze, ale będą musiały wystarczyć. Spaliłeś wszystko?

— Tak — odparł Jan, przewracając pogrzebaczem tłące się w piecu resztki ubrań. W ogniu spłonął także jego portfel, karta identyfikacyjna, tożsamość, wszystko. On sam. To, co kiedyś było nie do pomyślenia, stało się. Życie, które toczył skończyło się, świat, który znał, przepadł. Przyszłość jawiła się jako mglista tajemnica.

— Musimy już iść — powiedziała Sara.

— Oczywiście. Już idę — zapiął swój obdarty, lecz ciepły płaszcz, usiłując zwalczyć narastające w nim uczucie depresji. Gdy przechodzili przez ciemny holi ujął jej dłoń i nie puszczał, dopóki nie znaleźli się na ulicy.

Rozdział 20

Jan po raz pierwszy w życiu znalazł się na pokładzie słynnego, londyńskiego omnibusu. Co prawda jeżdżąc samochodem mijał je często, nigdy nie zwracał nań jednak żadnej uwagi. Wysokie, dwupoziomowe, napędzane energią wprawiającą w ruch potężne koło zamachowe tuż pod podłogą. Czerpiące prąd bezpośrednio z głównej sieci miasta były tanimi, praktycznymi i nie powodującymi zanieczyszczenia środowiska środkami transportu. Jan wiedział o tym doskonale z teorii, nie miał jednak najmniejszego pojęcia jak te pojazdy potrafią być zimne, zaśmiecone, wypełnione charakterystycznym swądem nie mytych ciał. Jan, ściskając w dłoni bilet wyglądał na ulicę, na przemykające tuż obok samochody. Gdy zatrzymali się na skrzyżowaniu, do autobusu wsiadło dwu umundurowanych policjantów.

Wyprostował się i spojrzał na nieprzenikniętą twarz Sary, siedzącej naprzeciwko niego. Jeden z policjantów stanął blokując tylne wyjście, a drugi ruszył przez całą długość autobusu, spoglądając na twarze mijanych po drodze ludzi. Nikt jednak nie odwzajemniał jego spojrzenia, ani nie wydawał się nawet zauważać jego obecności.

Na następnym przystanku obcy policjanci wysiedli. Jan odczuł przypływ ulgi, lecz już po chwili strach zawładnął nim ponownie. Czy kiedykolwiek uda im się w ten sposób uciec?

Dojechali wreszcie do przystanku końcowego, Hammersmith Terminal. Tak jak uzgodnili Sara ruszyła pierwsza, a Jan podążył za nią. Paru ostatnich pasażerów wkrótce zniknęło i pozostali sami. Wiaduktem nad nimi przemknął jakiś samochód. Sara zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę podtrzymujących całą konstrukcję betonowych słupów. Z ciemności wyszedł jej na spotkanie niewielki człowiek. Dziewczyna skinęła na Jana, by do niej dołączył.

— Witajcie, kochani. Pójdziecie teraz grzecznie ze mną. Old Jemmy pokaże wam drogę — żyłasta szyja wydawała się zbyt cienka, by podtrzymywać kulisty globus jego głowy. Spoglądał na nich okrągłymi oczyma i uśmiechał się, ekspozując pozbawione zębów dziąsła. Był niespełna rozumu — lub też wyjątkowo dobrym aktorem. Sara wzięła Jana pod rękę, i ruszyli za swym przewodnikiem w ciemność, przechodząc przez puste ulice i mijając rzędy zrujnowanych domów.

— Dokąd właściwie idziemy? — zapytał Jan.

— Na spacer — odparła Sara. — Zaledwie parę mil. Musimy przejść przez Londyńską Bariere Bezpieczeństwa, zanim postaramy się o jakiś środek transportu.

— Przez tych przyjacielskich policjantów, którzy zawsze salutowali mi, gdy mijałem ich samochodem?

— Dokładnie tych samych.

— Co się stało z tymi wszystkimi domami tutaj? Są w zupełnej ruinie?

— Wieki temu Londyn był o wiele większy, posiadał też o wiele większą liczbę mieszkańców. Nie znam dokładnych cyfr lecz wiem, iż w ciągu ostatniego stulecia populacja całego kraju zmniejszyła się znacznie. Częściowo było to skutkiem głodu i chorób, a częściowo polityką rządu.

— Tylko nie opowiadaj mi, jak to robili. Nie dzisiaj.

Byli zbyt zmęczeni, aby dłużej rozmawiać. Wolno, potykając się szli za Old Jemmy'm, który w sobie tylko wiadomy sposób odnajdywał drogę w otaczających ich ciemnościach. W końcu zamajaczyło przed nimi parę słabych świateł.

— Teraz ani słowa — szepnął przewodnik. — Wszędzie dookoła porzucane są mikrofony. Idźcie tuż za mną i starajcie trzymać się w cieniu. I żadnego hałasu, albo jesteście martwi.

Pomiędzy dwoma zrujnowanymi budynkami rozciągał się spory, oczyszczony starannie obszar, dobrze oświetlony i zamknięty zaporą z drutu kolczastego. Zbliżał się do niej niebezpiecznie blisko gdy ich przewodnik nagle skręcił, prowadząc ich do wnętrza jednego ze zrujnowanych domów. Będąc już w środku, zapalił niewielką latarkę i omijając zalegające podłogę złomy gruzu, poprowadził ich do piwnicy. Odsunął na bok stare, przerdzewiałe arkusze blachy, odsłaniając w ten sposób ukryte drzwi.

— Przejdziemy tędy — powiedział. — Ja pójdę ostatni, by zamaskować wejście.

To był tunel, ciemny i pachnący świeżą ziemią. Dość niski, więc Jan zmuszony był iść w niewygodnej, silnie zgiętej pozycji. Tunel biegł prosto i bez wątpienia przechodził bezpośrednio pod barierą. Posuwając się naprzód w zupełnych ciemnościach, co chwila ślizgali się niebezpiecznie na zamarzniętych taflach lodu. W końcu dołączył do nich Old Jemmy, który po chwili wyprzedził ich i oświetlał dalszą drogę latarką. Gdy dotarli wreszcie do leżącego po drugiej stronie wyjścia, Jan z prawdziwą trudnością wyprostował obolałe plecy.

— Jeszcze przez chwilę pozostańcie cicho — polecił im przewodnik — parę kroków i będziemy poza barierą.

Te parę kroków okazało się dobrą godziną i Sara była już blisko zupełnego wyczerpania. Lecz Old Jemmy był dużo silniejszy niż na to wyglądał, więc razem z Janem podtrzymywali potykającą się dziewczynę. Szli wzdłuż autostrady, kierując się w stronę odległego źródła światła.

— Stacja Heston — oświadczył Old Jemmy. — Koniec drogi. W domku możecie chwilę odpocząć.

Zniknął, zanim zdążyli mu podziękować. Sara usiadła przy ścianie, opierając głowę na kolanach, a Jan zajął miejsce przy oknie. Sama stacja znajdowała się sto metrów dalej, oświetlona jaskrawymi, żółtymi światłami. Przy dystrybutorach z paliwem stało parę samochodów osobowych, lecz większość pojazdów stanowiły potężne ciężarówki.

— Szukamy ciężarówki z napisem London Brick — powiedziała Sara. — Widzisz ją?

— Nie. Chyba jej jeszcze nie ma.

— Może przybyć w każdej chwili. Zatrzyma się przy ostatniej pompie. Gdy przyjedzie, zabieramy się stąd. Przy rampie wyjazdowej kierowca będzie na nas czekał z otwartymi drzwiami kabiny. To będzie nasza jedyna szansa.

— Będę na nią uważał. Uspokój się.

— To wszystko, co mogę w tej chwili zrobić.

Zimno porządnie już zaczęło dawać się im we znaki, gdy nagle na podjazd wtoczył się długi, ciemny kształt obdarzony dodatkowo przyczepą.

— Jest — szepnął Jan.

Unikając przestrzeni zalanych potokami jasnego światła, przedzierali się przez krzewy rosnące dookoła stacji. W końcu przeszli przez niewielki płótek, skryli się w cieniu rampy. Nadjeżdżająca wolno ciężarówka zatrzymała się, drzwi do kabiny otworzyły się szeroko.

— Teraz biegiem — syknęła Sara.

Gdy znaleźli się już w środku, drzwi zatrzasnęły się a pojazd drgnął i ruszył do przodu. W kabinie było rozkosznie ciepło. Kierowca był jedynie sporym, majacącym niewyraźnie w ciemnościach kształtem.

— W termosie macie herbatę — powiedział. — Obok leżą kanapki. Możecie się także trochę przespać. Zatrzymamy się dopiero w Swansea. Wysadzę was przed punktem kontrolnym. Wiecie, dokąd macie się udać dalej?

— Tak — odparła Sara. — I dziękujemy.

— Nie ma za co.

Jan nie sądził, by udało mu się zasnąć, lecz w końcu ciepło i łagodne ruchy kabiny zmożyły go. Następną rzeczą, jakiej był w pełni świadomy to syczenie hydraulicznych hamulców, gdy pojazd w wolna zatrzymywał się. Na zewnątrz było wciąż ciemno, chociaż gwiazdy były dużo jaśniejsze. Sara spała smacznie przytulona do jego ramienia. Pogłaskał ją leciutko po włosach.

— To już tutaj — powiedział kierowca.

Dziewczyna przebudziła się natychmiast, sięgając jednocześnie do drzwi.

— Powodzenia — rzucił kierowca. Drzwi kabiny zatrzasnęły się za nimi i zostali sami, wystawieni na kąsające zimno pierwszych godzin świtu.

— Spacer nas rozgrzeje — powiedziała ruszając Sara.

— Gdzie my właściwie jesteśmy?

— Na obrzeżu Swansea. Idziemy do portu. Jeżeli wszystko zostało przygotowane, wydostaniemy się stąd na pokładzie łodzi rybackiej. Na morzu przesiądziemy się na irlandzki statek. Już przedtem wykorzystywaliśmy ten kanał przerzutowy z pełnym powodzeniem.

— A potem?

— Irlandia.

— To rozumiałe. Ale chodziło mi raczej o nasz przyszłość. Co się ze mną stanie?

Przez chwilę szła w milczeniu, a jedynym dźwiękiem było głucho echo ich kroków.

— To wszystko wydarzyło się tak nagle, iż nawet nie zdążyłam o tym pomyśleć. Być może uda nam się urządzić cię w Irlandii pod zmienionym nazwiskiem, chociaż przez cały czas musiałbyś być niezwykle ostrożny. Jest tam mnóstwo angielskich szpiegów.

— A może do Izraela. Przecież ty tam pojedziesz, prawda?

— Oczywiście. A twoje techniczne umiejętności bardzo by się nam przydały.

— Do diabła z tym — odparł Jan uśmiechając się pod nosem. — A co z miłością? To znaczy z twoją miłością? Pytałem cię już o to wcześniej.

— To w dalszym ciągu nie jest pora na takie dyskusje. Gdy się stąd wydostaniemy, wtedy. . .

— To znaczy, gdy będziemy bezpieczni. A czy kiedykolwiek rzeczywiście będziemy bezpieczni? Czy twoja praca zakazuje ci kochać? Lub przynajmniej mogłabyś udawać, by nakłonić mnie do dalszej współpracy. . .

— Janie, proszę cię. Ranisz mnie, i siebie zresztą też, mówiąc w ten sposób. Nigdy ci nie skłamałam. I nie musiałam się z tobą kochać, abys zgodził się dla nas pracować. Zrobiłam to dla tego samego powodu, co ty. Ponieważ tego chciałam. A teraz, proszę, nie rozmawiajmy już w ten sposób. Przed nami najniebezpieczniejszy odcinek drogi.

Gdy weszli do miasta był już jasny, zimny świt. Po ulicach kręciło się już paru przechodniów, jednak nigdzie nie dostrzegali żadnego śladu policji. Skręcili za róg a za nim, na końcu pokrytej lodem ulicy, znajdował się port. Wyraźnie widzieli rufę stojącego przy nabrzeżu trawlera.

— Dokąd teraz? — zapytał Jan.

— Za tymi drzwiami mieści się biuro. Tam już będą wiedzieli.

Gdy podeszli bliżej, drzwi otworzyły się niespodziewanie i na ulicę wyszedł mężczyzna.

Był to Thurgood-Smythe.

Przez chwilę stali sparaliżowani szokiem, spoglądając po sobie rozszerzonymi grozą oczyma. Na wargach Thurgood-Smythe błąkał się zimny, niewesoły uśmiech.

— Koniec drogi — powiedział.

Sara z nieoczekiwaną siłą popchnęła Jana do tyłu — pośliznął się na lodzie i runął na kolana. Równocześnie wyciągnęła z kieszeni niewielki pistolet i wypaliła dwukrotnie w stronę Thurgood-Smythe, który obrócił się na pięcie i upadł. Jan podnosił się właśnie na nogi, gdy dziewczyna odwróciła się i pobięła w górę ulicy.

Lecz tym razem ulica zablokowana była przez trzymających gotową do strzału broń policjantów.

Nie zwalniając, zaczęła strzelać.

Policjanci odpowiedzieli ogniem, dziewczyna potknęła się i upadła.

Jan pobięł w jej kierunku i ignorując wymierzone w siebie lufy klęknął, i wziął ją w ramiona. Głowa dziewczyny opadła bezwładnie na bok, z kącika uchylonych ust wyciekł strumyczek krwi. Nie żyła.

— Nie wiedziałem — szepnął. — Nie wiedziałem, że tak to się skończy.

Nieświadom spływających mu po policzkach łez, przycisnął jej nieruchome ciało do piersi. Nie obchodzili go ci stojący dookoła, uzbrojeni ludzie. Po prostu nie widział ich, tak samo jak nie widział stojącego pośrodku nich Thurgood-Smythe'a, któremu spomiędzy zaciśniętych na ramieniu palców sączyła się struga krwi.

Rozdział 21

Ściany pokoju, podobnie jak sufit i podłoga, były białe. Niepokalane a zarazem posępne. Takie samo było krzesło i ustawiony przed nim stół. Cały pokój był zimny i sterylny, w pewnym sensie przypominający pokój szpitalny. Lecz nie był to szpital.

Jan siedział na krześle opierając się łokciami, o blat stołu. Jego ubranie także było białe, na stopach miał białe sandały. Twarz była blada i zmęczona, jedynie czerwone obwódki dookoła oczu pozostawały w rażącym kontraście z otaczającą go zewsząd, wszechobecną bielą.

Ktoś podał mu filiżankę kawy, która wciąż tkwiła pomiędzy jego zaciśniętymi kurczowo palcami. Nieruchomym spojrzeniem wpatrywał się gdzieś nieświadomie w przestrzeń. Drzwi otworzyły się i wszedł ubrany na biało strażnik. W rękę trzymał strzykawkę i Jan nie zaprotestował, nawet nie zauważył, gdy mężczyzna podwinął mu rękaw i robił zastrzyk.

Strażnik wyszedł, lecz drzwi pozostały otwarte. Po chwili wrócił ponownie, przynosząc ze sobą drugie, identyczne białe krzesło, które ustawił po drugiej stronie stołu. Wychodząc, tym razem zamknął za sobą drzwi.

Po kilku minutach Jan zadrżał i rozejrzał się dookoła. Spojrzał na własne dłonie jakby dopiero teraz uświadamiając sobie, iż trzyma w nich filiżankę. Wypił łyk i skrzywił się z niesmakiem, czując w ustach zimny już płyn. Odstawił właśnie filiżankę, gdy do pokoju wszedł Thurgood-Smythe i zajął miejsce naprzeciwko niego.

— Rozumiesz mnie? — zapytał.

Jan zmarszczył na chwilę czoło, a potem skinął głową.

— Dobrze. Dostałeś zastrzyk, który powinien cię trochę ożywić. Przez dość drugi czas żyłeś w kompletnej nieświadomości.

Jan spróbował przemówić, lecz zamiast tego zakrztusił się i wybuchnął gwałtownym kaszlem. Jego szwagier czekał cierpliwie. Po chwili Jan spróbował ponownie. Jego głos był zachrypnięty i niepewny.

— Który to dzisiaj dzień? Czy możesz mi powiedzieć, który dzień?

— To nieważne — odparł Thurgood-Smythe machając lekceważąco dłonią. — Który dzień, gdzie jesteś, to wszystko nie ma teraz żadnego znaczenia. Musimy podyskutować o innych rzeczach.

— Nic ci nie powiem. Nic.

Thurgood-Smythe roześmiał się chrapliwie i z rozmachem klepnął się po kolanie.

— To zabawne — powiedział wreszcie. — Byłeś tu przez dni, tygodnie, miesiące, upływ czasu jest nieistotny, jak już powiedziałem. Istotne jest jedynie to, iż powiedziałaś nam wszystko, co wiedziałaś. Była to bardzo wyrafinowana operacja, lecz mieliśmy lata, by ją udoskonalić. Z pewnością słyszałeś pogłoski o tajemniczych pokojach tortur — lecz to my sami rozpowszechniamy takie pogłoski. Rzeczywistością jest natomiast prosta efektywność. Za pomocą narkotyków, perswazji i bodźców elektrycznych przeciągnęliśmy cię na naszą stronę. Palłeś się wręcz, by opowiedzieć nam wszystko ze szczegółami. I to właśnie zrobiłeś.

— Nie wierzę ci, Smitty — odparł Jan czując, jak ogarnia go gniew. — Jesteś kłamcą. To część procesu, który ma za zadanie zrobić mi wodę z mózgu.

— Naprawdę? Musisz mi uwierzyć, gdy mówię ci, iż wszystko już skończone. Opowiedziałaś nam o Sarze i o pierwszym spotkaniu na pokładzie izraelskiej łodzi podwodnej, o twojej małej przygodzie w Szkocji i na Stacji Satelitarnej. Powiedziałaś wszystko i to dokładnie miałem na myśli, mówiąc ci o tym. O ludziach, którym od dawna chcieliśmy przyjrzeć się z bliska — takich jak Sonia Amarglio, czy impulsywny osobnik przewiskiem Rondel. Większość z nich została już schwytana i osądzona. Paru jest jeszcze na wolności, ciesząc się pozorną wolnością — tak samo, jak niegdyś ty. Byłem naprawdę zadowolony, gdy cię zrekrutowali. I to nie tylko z powodów osobistych. Do tej pory obserwowaliśmy jedynie mało istotne płotki — ty zaś wprowadziłeś nas do samego jądra organizacji. Nasza polityka jest prosta: pozwalamy niewielkim grupom planować i przeprowadzać ich śmieszne intrygi, pozwalamy nawet niektórym z nich później uciec. Czasami. Po to, by potem w nasze sidła wpadły wszystkie grube ryby. I zawsze wiemy, co się naprawdę dzieje. Nigdy nie pozwalamy, by rzeczy biegły swoim własnym torem.

— Jesteś chory, Smitty. Dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę. Chory i kompletnie zepsuty, tak samo jak wszyscy, którzy cię otaczają. I zbyt dużo kłamiesz. Nie wierzę ci.

— To nie ważne czy wierzysz mi, czy też nie. Po prostu słuchaj. Wasza patetyczna rebelia nigdy nie miała najmniejszej szansy na powodzenie. Władze Izraela informują nas szczerze o swych młodych buntownikach, których zamiarem jest zmiana oblicza świata. . .

— Nie wierzę ci!

— Proszę. Śledzimy pilnie każdy taki ruch, pomagamy mu rozkwitnąć i okrzepnąć. A potem go miażdżymy. Tutaj, na satelitach, a nawet na planetach.

Bez przerwy próbują od nowa, lecz nigdy im się to nie udaje. Są zbyt głupi i porywczy by zauważyć, iż nie są samowystarczalni. Satelity wymarłyby, gdybyśmy odcięli dostawy żywności. Planety tak samo. To nie przypadek, iż jedna planeta jest typowo wydobywcza, inna wytwórcza a jeszcze inna rolnicza. Wszystkie potrzebują się nawzajem, by przetrwać. A my kontrolujemy ich wzajemne powiązania i kontakty. Zaczynasz to wreszcie rozumieć?

Jan poczuł, jak zaczynają drżeć mu dłonie. Spojrzał na ich grzbiety i spostrzegł, iż skóra była blada i wysuszona na pergamin. Nagle zrozumiał, iż to, co z taką chętnością w głosie mówi mu Thurgood-Smythe, jest prawdą.

— Dobrze, Smitty, wygrałeś — powiedział z rezygnacją. — Zabrałeś moją pamięć, lojalność, mój świat, kobietę, którą kochałem. I nie musiała nawet umierać, by zachować swój sekret. Została przecież zdradzona przez swoich własnych ludzi. A więc zabrałeś mi wszystko — prócz życia. Weź je także. Zasłużyłeś sobie na to.

— Nie — odparł Thurgood-Smythe. — Nie zabiję cię. I obiecując ci to rzeczywiście skłamałem.

— Czy próbujesz mi wmówić, iż zachowujesz mnie przy życiu ze względu na moją siostrę?

— Nie. Jej odczucia nigdy nie miały wpływu na podejmowane przeze mnie decyzje. Twoja bezrozumna wiara, iż nie zrobię niczego, by jej nie zranić była mi bardzo pomocna. Teraz powiem ci całą prawdę. Zostaniesz zachowany przy życiu ze względu na swe użyteczne umiejętności. Nie marnujemy rzadkich talentów w obozach w Szkocji. Zostaniesz zesłany na odległą planetę i tam będziesz pracował, aż pewnego dnia umrzesz. Musisz zrozumieć, że jesteś tylko wymienną częścią ogromnej maszyny. Spełniałeś tutaj jedynie określoną funkcję. A teraz zostaniesz przeniesiony, by spełniać ją gdzie indziej. . .

— Nie odmówię — odparł Jan z wyraźnym sarkazmem w głosie.

— Też tak uważam. Nie jesteś ważną częścią w tej maszynie. Jeżeli nie będziesz pracował, zostaniesz zniszczony. Przyjmij moją radę i wykonuj swoją pracę z pokorą. Prowadź szczęśliwe, produktywne życie — Thurgood-Smythe wstał.

— Czy mogę zobaczyć Liz, zanim. . . ?

— Oficjalnie uznany jesteś za martwego. Wypadek. Dużo płakała na twoim pogrzebie, tak samo zresztą jak dość liczne grono twoich przyjaciół. Trumna była oczywiście zamknięta. Żegnaj, Janie, nie zobaczymy się już więcej.

Ruszył w stronę drzwi, gdy powstrzymał go nagły krzyk Jana:

— Jesteś draniem, draniem!

Thurgood-Smythe odwrócił się i spojrzał na niego z góry.

— I po co te obraźliwe słowa? To wszystko, na co cię stać? Żadnego pożegnania?

— Mam jeszcze parę słów, panie Thurgood-Smythe — powiedział Jan drżącym z nieskrywanej już pasji głosem. — A może nie powinienem ci ich mówić?

O tym, jak beznadziejne jest życie, jakie prowadzisz? Sądzisz, że takie życie będzie trwało wiecznie. Otóż nie. Wcześniej czy później zostaniesz strącony w dół. I mam nadzieję, że będę mógł to zobaczyć. Po to właśnie będę pracował. I lepiej mnie zabij, bowiem nigdy nie przestanę czuć nienawiści do ciebie i ludzi twego pokroju. I zanim odejdiesz — chciałbym ci jeszcze podziękować. Za to, iż pokazałeś mi, jaki ten świat naprawdę jest i pozwoliłeś mi przeciwko temu walczyć. A teraz możesz odejść.

Jan odwrócił się, by nie patrzeć więcej w jego stronę — więzień odprawiający swego strażnika.

Były to słowa wyrażające prawdziwe uczucia, ostre, niczym rozpalony nóż. Na policzki Thurgood-Smythe'a zaczął powoli wypływać ciemny rumieniec. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Splunął z wściekłością i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. W końcu Jan pozostał tym, który śmiał się ostatni.